ANNA MAZUREK

DZIWKA

korporacja ha!art

Anna Mazurek

Dziwka

Korporacja Ha!art
Kraków 2019

Anna Mazurek, *Dziwka*, Kraków 2019

Copyright © by the Author, 2019
Copyright © for this edition by Korporacja Ha!art, 2019

Redakcja serii *Piotr Marecki*
Redakcja *Marta Syrwid*
Korekta By Mouse | www.bymouse.pl
Projekt okładki *Bolesław Chromry*
Projekt typograficzny, skład i łamanie By Mouse | www.bymouse.pl

Partner wydania

KRAKÓW
MIASTO LITERATURY
UNESCO

Fundacja Korporacja Ha!art prowadzi księgarnię w Bunkrze Sztuki

GALERIA
SZTUKI WSPÓŁCZESNEJ
BUNKIER SZTUKI

Wydanie I
ISBN 978-83-65739-69-8

Wydawnictwo i księgarnia *Korporacja Ha!art*
pl. Szczepański 3a, 31-011 Kraków
tel. 698 656 756 (księgarnia),
12 422 25 28 (biuro)
korporacja@ha.art.pl
www.ha.art.pl

Konwersja: eLitera s.c.

Więcej darmowych ebooków i audiobooków na chomiku
JamaNiamy

Spis treści

Strona tytułowa
Karta redakcyjna
Seria prozatorska pod redakcją Piotra Mareckiego

Prolog
1. 5 lutego
2. 11 lutego
3. Gabinet w Wydziale Kultury
4. Słoneczny
5. Prokurator Remigiusz Huk
6. Ambasada
7. Matylda
8. Tomek
9. Red Velvet
10. Nieważne
11. Daniel
12. Znowu Ambasada
13. Ambasada ostatni raz
14. Noc
15. Dla Matyldy
16. Lotus Flower
17. Ten sam pokój w mieszkaniu Słonecznego
18. Przeczekalnia
19. Południe
20. Długa historia

21. Sama sobie winna
22. Przepaście
23. Marsz
24. Czarni i biali
25. Matka
26. To nie on
27. Ojciec/Huk
28. Pokój Tomka
29. Zamek
30. Sklepik
31. Przeładowanie
32. Quasi-przyjaciele
33. Pogrzeb
34. Lalka
35. Płyniesz
36. Ostatni dzień
37. Jak najdalej
38. Kluczenie
39. Dziewczyna z klubu
40. Więzienie
41. Miasteczko
42. Ciągle sny
43. Ciało
44. Okna i drzwi
45. Trop
46. Mieszkanie numer siedem
47. Przesłuchanie
48. Rozwarstwienia
49. Pożar
50. Pamiętam

51. IP
52. Luki
53. Ostatnie słowa
54. Kostnica
55. Ja

Seria prozatorska

Seria prozatorska pod redakcją Piotra Mareckiego

- Jerzy Franczak, *Trzy historye*
- Sławomir Shuty, *Bełkot*
- Łukasz Orbitowski, *Szeroki, głęboki, wymalować wszystko*
- Piotr Cegiełka, *Sandacz w bursztynie*
- Sławomir Shuty, *Cukier w normie*
- Michał Palmowski, *Przygody Hiszpana Dete*
- Michał Witkowski, *Lubiewo*
- Marta Dzido, *Małż*
- Marian Pankowski, *Rudolf*
- Maciek Miller, *Pozytywni*
- Ewa Schilling, *Głupiec*
- Adam Wiedemann, *Sceny łóżkowe*
- Jan Dzban, *Dentro*
- Piotr Szulkin, *Socjopatia*
- Marian Pankowski, *Bal wdów i wdowców*
- Jerzy Nasierowski, *Zbrodnia i...*
- Piotr Czerski, *Ojciec odchodzi*
- Maciek Miller, *Zakręt hipokampa*
- Łukasz Orbitowski, *Horror Show*
- Joanna Pawluśkiewicz, *Pani na domkach*
- Joanna Wilengowska, *Zęby*
- Marta Dzido, *Ślad po mamie*
- Jan Krasnowolski, *Klatka*
- Marian Pankowski, *Pątnicy z Macierzyzny*
- Hubert Klimko-Dobrzaniecki, *Raz. Dwa. Trzy*
- Michał Zygmunt, *New Romantic*
- Joanna Pawluśkiewicz, *Telenowela*
- Jerzy Franczak, *Przymierzalnia*
- Wojciech Bruszewski, *Fotograf*
- Krzysztof Niemczyk, *Kurtyzana i pisklęta*
- Sylwia Chutnik, *Kieszonkowy atlas kobiet*
- Juliusz Strachota, *Cień pod blokiem Mirona Białoszewskiego*

- Natalia Rolleczek, *Drewniany różaniec*
- Marian Pankowski, *Niewola i dola Adama Poremby*
- Maciek Miller, *Cockring*
- Dominika Ożarowska, *Nie uderzy żaden piorun*
- Ewa Schilling, *Codzienność*
- Marian Pankowski, *Tratwa nas czeka*
- Piotr Szulkin, *Epikryza*
- Jerzy Franczak, NN
- Sławomir Shuty, *Jaszczur*
- Darek Foks, *Kebab Meister*
- Tomasz Pułka, *Vida Local*
- Ziemowit Szczerek, *Przyjdzie Mordor i nas zje, czyli tajna historia Słowian*
- Wojciech Bruszewski, *Big Dick. Fikcja dokumentalna*
- Jan Krasnowolski, *Afrykańska elektronika*
- Daniel Kot, *Kierunkowy 22*
- Marian Pankowski, *Nastka, śmiej się! Opowiadania*
- Sławomir Shuty, *Dziewięćdziesiąte*
- Łukasz Orbitowski, *Horror Show* [wyd. II popr.]
- Joanna Dziwak, *Gry losowe*
- Søren Gauger, *Nie to / nie tamto*
- Maciej Bobula, Katarzyna Gondek, Adam Miklasz, Aleksander Przybylski, Michał Zantman, *Bękarty Wołgi. Klechdy miejskie*
- Ziemowit Szczerek, *Siódemka*
- Juliusz Strachota, *Relaks amerykański*
- *Flash fiction. Antologia*
- Dariusz Orszulewski, *Zjednoczone Siły Królestwa Utopii*
- Stanisław Czycz, *Nie wierz nikomu. Baza*
- Konrad Janczura, *Przemytnicy*
- Maciej Piotr Prus, *Przyducha*
- Marta Dzido, *Frajda*
- Olga Hund, *Psy ras drobnych*
- Juliusz Strachota, *Turysta polski w ZSRR*
- Jakub Michalczenia, *Gigusie*
- Anna Mazurek, *Dziwka*

Prolog

Siedzi bez ruchu na długiej drewnianej ławce w poczekalni. Jego stopy stykają się piętami – a zaplecione dłonie zwisają między udami. Spędził w tej pozycji już kilkadziesiąt minut. Próbuje nie osunąć się na zabłoconą posadzkę. Musi wkładać w to całą siłę mięśni. Żyła na czole pulsuje. Krople potu spływają po skroniach, ociera je wierzchem dłoni. Ciało ciągnie go w dół. Prostuje plecy i wbija wzrok w białą ścianę. Przed przyjściem do szpitalnej kostnicy wypił pół butelki wiśniówki. Wezwali go tu po wstępnej identyfikacji zwłok. Wie, że teraz to już tylko formalność. Znaleźli dokumenty, sprawdzili imię i nazwisko. Zdjęcie z dowodu osobistego przedstawiało jej twarz z czasu, kiedy płynąca w żyłach krew nadawała różowość policzkom.

Nie ma już nadziei, że wszystko okaże się wielkim nieporozumieniem, a jednak z każdą kolejną chwilą oczekiwania ten scenariusz wydaje mu się coraz bardziej prawdopodobny. Jeśli spędzi tu jeszcze chociażby minutę, po prostu wejdzie tam i z ulgą stwierdzi: „To nie jest moja córka". Jeszcze istnieje taka możliwość, choć wydaje się absurdalna.

Może to rodzaj kary? Może ma teraz przemyśleć całe swoje życie i znaleźć w nim to konkretne, wielkie przewinienie? Nie przychodzi mu do głowy nic, za co mógłby żałować. Jest przecież uczciwym człowiekiem, a w ciągu wielu lat pracy na stanowisku bibliotekarza nigdy nie miał nawet okazji do przekrętów finansowych. Raz tylko ukradł

z biblioteki książkę dla córki. Chciała mieć ją na własność, a nigdzie indziej nie można było zdobyć egzemplarza.

A może to jego czekanie to wcale nie kara, tylko najbardziej ludzki gest, na jaki są w stanie zdobyć się ci ludzie w mundurach i białych kitlach? Ma dzięki temu możliwość oswojenia się z myślą o widoku córki leżącej na długiej, metalowej ladzie. Jest pewnie naga, po pachy przykryta białą tkaniną, spod której, na drugim końcu, wystają nagie stopy. Na dużym palcu wisi kartka z imieniem i nazwiskiem. Nie, to chyba już przesada. Ta kartka na palcu. Będzie musiał patrzeć na jej twarz. Białe powieki, niebieskie usta, fioletowe sińce wokół uszu. Kolory śmierci. Dlaczego fioletowe sińce wokół uszu? Drzwi po drugiej stronie korytarza otwierają się i wychodzi starsza pielęgniarka. Przechodzi obok, jakby w ogóle go nie zauważyła.

Zaczyna wiercić się na niewygodnej ławce. Za chwilę chyba zwymiotuje. Podda się i zwymiotuje na podłogę. Rozgląda się, czy w pobliżu nie ma jakiegoś kosza na śmieci. Kołatanie serca. Posmak alkoholu na języku i w gardle. Chciałby się napić, ale tutaj nie ma automatu z wodą, nie ma nawet toalety. Zaciska powieki. Prawie wszystko jest dziełem przypadku. Reszta to jego konsekwencje, którym próbuje się nadać celowość i znaczenie albo odwrócić ich bieg. Co zwykle się nie udaje. Wszystko to tylko zadawanie sobie pytania: „Co ja tutaj robię?". Nie ma na nie odpowiedzi. Istnieją za to fakty. Niewygodna ławka. Biała, odrapana ściana. Alkohol pchający się z żołądka do ust. Zimne ciało córki leżące na metalowym stole nie należy jeszcze do faktów.

Myśli o książkach ze swojej biblioteki. Nie wie, jak wiele razy przeczytał, a potem powtarzał w myślach zaklęcie: „Może to tylko zły sen? Za chwilę się obudzę i wszystko będzie jak dawniej". Teraz mógłby

się założyć o wszystko, że nikt nigdy tak nie pomyślał. Tak się po prostu nie myśli. Nie myśli się, że to, co nas spotyka, nie dzieje się naprawdę.

Trzeba mozolnie tworzyć fałszywy obraz rzeczywistości, nadawać ludziom ekscentryczne i niepasujące do nich imiona, przekładać fakty jak klocki i dopisywać dialogi. Powstaje historia, w której nie przegrywasz, nie siedzisz pijany na ławce w prosektorium, czekając na okazanie ciała córki.

1. 5 lutego

Tego wieczoru nie pada śnieg, tak jak poprzedniego i właściwie każdego w tym tygodniu. Pan Albert, oglądając prognozę pogody po wieczornym dzienniku, wieszczy swojej żonie Alicji fiasko ich zbliżającego się wypadu na narty. Jutro wyjeżdżają z dwójką wnuków, którzy wchodzą w wiek, w którym spędzenie paru dni z dziadkami przestaje być najlepszą zabawą. Alicja postanawia, że wyruszą w drogę o szóstej rano. Albert, od dawna już przyzwyczajony do tego, że żona przedkłada pragmatyczne korzyści nad przyjemność snu, nie protestuje.

Punktualnie o piątej Alicja wyciąga chłopców z łóżek. Posłusznie szorują zęby i jedzą płatki kukurydziane z mlekiem. Płatki im nie smakują. Jeszcze w stanie sennego otumanienia, które czyni małego człowieka zupełnie bezwolnym, taszczą walizki przed klatkę. To tylko kilka dni. Mroźne powietrze ożywia ich na tyle, że zaczynają ociągać się już świadomie, upychając do bagażnika torby pełne rzeczy, z których większość na pewno się nie przyda. Alicja wciska między butami narciarskimi ostatni tobół i zagania rozespanych chłopców do samochodu.

– Codziennie wstajecie tak wcześnie? – pyta Kamil, mocując się z pasami młodszego brata.

– Babcia tak, ja godzinę później – mówi Albert z uśmiechem, odpalając silnik.

Kamil zakłada białe słuchawki, które dostał od rodziców na święta. Model pożądany przez gimnazjalistów. Okolica dziadków o tej porze

wydaje się chłopcu wyjątkowo ożywiona. Budzący się o szóstej emeryci nie wiedzą, co zrobić z czasem, który został im do ponownego zapadnięcia w sen, więc razem ze swoimi grubymi psami wyruszają na targ warzywny. Kiedy Albert odjeżdża z chodnika, sąsiad w kaszkiecie naciągniętym na uszy przystaje i wzrokiem odprowadza ich samochód.

Stary volkswagen powoli sunie przez miasto. Kiedy opuszczają centrum, Albert musi przyznać rację żonie. Wylotówka jest o tej porze niemal pusta.

– Widzisz. O siódmej już byłyby korki – mówi Alicja, chcąc przypieczętować swój sukces.

Albert kiwa głową i skupia się na drodze. Prawdę mówiąc, z powodu pogarszającego się wzroku powinien już ograniczać długie podróże samochodem. Dobrze przynajmniej, że na szosę za miastem nie wybiegają lisy, od których o świcie roi się w centrum. Lisy przegoniły koty z opuszczonych piwnic. Lepiej od innych dzikich zwierząt radzą sobie też w parkach, bo potrafią kopać nory. Lisy z miasta są mniejsze od tych zupełnie dzikich. Wypłowiałe i zażółcone od kurzu przemykają nocą uliczkami, ale mieszkańcy coraz częściej mówią o śmiertelnych chorobach, które roznoszą. Władze miasta zastanawiają się, co z tym zrobić: czy bardziej opłaca się szczepić lisy, czy raczej zasypać ich nory? Wskakują pod koła, ale mimo tego Albert je lubi. Ujmuje go ta ich samotność i że zawsze chodzą tak, jakby starały się przemknąć niezauważone. Wydają też z siebie piski, przypominające coś pomiędzy miauczeniem kota a szczeknięciem małego psa. Przeglądał kiedyś w księgarni wielką ilustrowaną mitologię, nie pamięta już jakiego kraju, i o lisach pisano tam, że są tchórzliwe, słabe i przebiegłe, ale potrafią oszukać śmierć, cokolwiek miałoby to oznaczać.

Z samochodowego radia cicho sączy się *She's lost control* Joy Division.

– Znacie? To jest klasyk – zwraca się dziadek do przysypiających z tyłu chłopców.

Młodszy, Bartek, budzi się, ale nie w celu nawiązania dyskusji na temat przebojów zimnej fali.

– Chce mi się siku – oznajmia, marszcząc czoło.

– Za chwilę powinna być jakaś stacja – stwierdza spokojnie Albert, żałując, że w ogóle się odezwał. Trzeba było korzystać z ostatnich chwil spokoju.

– Ale ja chcę teraz! – Krzyk chłopca na dobre rozprasza senną atmosferę w samochodzie.

– On tak ma. Mama mówi, że to za niedługo przejdzie. Lepiej się zatrzymajmy, bo zacznie wariować – mówi znudzonym głosem starszy brat.

– Dobrze, dobrze, zaraz się zatrzymujemy… – wzdycha Albert i w tym momencie ma już pewność, że w tym roku należało zostać w domu. Włącza kierunkowskaz i zjeżdża na pobocze.

Las ciągnący się wzdłuż szosy to głównie wysokie świerki. Ziemia jest pokryta cienką warstwą śniegu. Bartek, gdy tylko samochód zatrzymuje się, wyskakuje i biegnie między drzewa.

– Idę z nim! – woła Kamil, widząc oburzoną minę babci.

Śnieg trzeszczy pod butami. Słońce wstało dopiero kilkanaście minut temu i niebo nad lasem jest jeszcze różowo-pomarańczowe. Gdy Kamil widzi brata kucającego między drzewami i przyglądającego się czemuś, jeszcze przez chwilę myśli, że wszystko jest w porządku. Dopiero gdy podchodzi bliżej, widzi śnieg czerwony od krwi.

– Dziadku! Chodź tu szybko! – wrzeszczy Kamil.

Albert wściekły biegnie przez las. Widzi młodszego z wnuków kucającego wśród krwistych plam na śniegu, po chwili dostrzega jego

mokrą od łez twarz.

– Co się dzieje!? – woła z szosy Alicja.

Nie ma odpowiedzi, za to Kamil zauważa coś jeszcze. Parę metrów dalej, pod najniższymi gałęziami świerków leży nagie kobiece ciało, całe we krwi.

– Patrz tam… – szepcze chłopiec i robi krok do przodu, ale cofa się, słysząc głos dziadka.

– Weź małego do samochodu! – rozkazuje zimno Albert i sam ostrożnie podchodzi do dziewczyny.

Widok pokiereszowanych zwłok większość osób przyprawiłby o mdłości, ale Albert w ciągu trzydziestu lat pracy w szpitalu widział wiele zmasakrowanych ciał. Ofiary wypadków czy pożarów nie robią jednak tak wstrząsającego wrażenia, jak widok ciała, które zostało skatowane. Dziewczyna ma wyrwane włosy, każdy centymetr jej skóry pokrywają siniaki albo ślady po oparzeniach. Ten, kto jej to zrobił, może jeszcze być w pobliżu. Krwawa ścieżka w śniegu, prowadząca od miejsca, gdzie kucał Bartek, do ciała, wygląda na świeżą. Ktoś niósł ją od szosy przez las, ale nie dał rady. Upuścił ciało i ciągnął je jeszcze kilka metrów po śniegu, żeby ukryć zwłoki za drzewami. Gdzieś po lewej stronie trzaska gałąź. Może to był mój nieostrożny krok? Stoję kilkadziesiąt metrów dalej i obserwuję starszego mężczyznę pochylonego nad ciałem Weroniki, a może leżę w jej łóżku i nie mogę się podnieść? Znowu słychać chrupnięcie gałązki. Albert gwałtownie odwraca głowę i wytęża wzrok. To tylko sarna przebiega między drzewami. Oddycha z ulgą.

Drżącą ręką szuka tętnicy na szyi dziewczyny. Po chwili oddycha z ulgą po raz drugi. Ona jeszcze żyje.

2. 11 lutego

Pan Albert nie nazywał się wcale Albert.

Pani Alicja nie była panią Alicją.

W notatce prasowej nie pojawiła się też żadna informacja o wieku dwóch chłopców. Na pewno przez las przebiegła jedna albo nawet kilka spłoszonych saren, a śnieg był zabarwiony krwią. A może nie było żadnej krwi i żadnych saren? Tylko mroźny, różowy świt i ciało w worku na czystym śniegu. W worku? A może w dużej sportowej torbie?

W notatce prasowej nie wspomniano o szczegółach, ale z samochodowego radia mogła sączyć się jakaś muzyka, nawet *She's lost control*.

Radio mogło też być zepsute albo nie łapało żadnej stacji i całą drogę szumiało. Mroźne powietrze ścinało łzy w kącikach oczu. Alicja stała przy samochodzie i zmarzniętymi palcami po raz pierwszy w życiu wystukiwała numer alarmowy. Albert biegł przez las z folią termiczną z podręcznej apteczki, której nigdy wcześniej nie musiał otwierać. Kamil siedział w samochodzie z zapłakanym młodszym bratem. Weronika leżała na śniegu i umierała powoli – to jest akurat pewne. W ciągu kilku sekund w głowach wszystkich, poza Weroniką, bo ona nie myślała już o niczym, powstały obrazy nie do wymazania. Takie obrazy, które będą wracać w najbardziej nieodpowiednich momentach, a Weronika będzie ich centralnym punktem.

Kim była ta dziewczyna? Kto jej to zrobił? Czemu jej nienawidził? Musiał jej przecież nienawidzić, skoro tak ją zmasakrował. Może coś

przeskrobała? Może była prostytutką? A może po prostu wracała skądś późno leśną drogą i trafiła na jakiegoś zboczeńca? A może zabił ją znajomy? Chłopak, z którym zerwała? A może miała długi, bo była narkomanką?

Czuję się jak stary człowiek, jak pacjent na oddziale ratunkowym zagipsowany od stóp po czubek głowy, spod gipsu wystają tylko jedno oko i ciemny otwór na usta, plama na suficie, który wisi nade mną, jest już coraz niżej. Poruszę się dopiero, gdy poczuję zapach starej farby i tynku. Muszę wstać. Nie mogę zasnąć w jej płaszczu. Śmierdzi kościołem. Tym piwnicznym zaduchem, który nie wiadomo skąd się bierze. Poszłam na pogrzeb Weroniki w jej czarnym płaszczu.

Zostanę tu najwyżej tydzień, nie dłużej. Za tydzień wyjadę z tego miasta i znowu będę nerwowo obgryzać paznokcie. Kombinować, spisywać niekończące się listy rzeczy do zrobienia. Będę sobie mówić, że rzucę palenie, zacznę pić więcej wody i zdrowo się odżywiać, będę chodzić spać przed północą i wrócę do biegania. W kieszeni płaszcza Weroniki wibruje mój telefon. „Eryk Scenarzysta" – wyświetla się na ekranie. Studiowałam z nim. Telefon przestaje wibrować i po chwili przychodzi esemes. Eryk pisze: „Cześć, Mery, słyszałem, że jesteś w mieście, wyrazy współczucia z powodu Weroniki, jak się już ogarniesz, to może jakiś meeting? Napisałem scenariusz". Chciałabym odpisać tylko: „Spierdalaj", ale nie odpisuję nic.

Zrobię w końcu film, i to będzie taki film, w którym słyszy się myśli głównego bohatera, a myśli innych postaci trzeba odczytywać z wyrazów ich twarzy i słów, których wypowiadają za dużo albo za mało, albo wcale się nie odzywają, albo mówią tyle, ile trzeba. Czasem też nie widzi się ich twarzy, pamięta się je tylko, albo po prostu nie można ich dostrzec

w ciemności. Będzie jak w kryminałach, czyli pięknie. Przez tony gnoju do dobrego zakończenia.

Słyszę dzwonek do drzwi i sufit przestaje spadać. Odczekuję. Znowu dzwonek. Wstaję z łóżka. Biały owczarek obserwuje mnie ze swojego legowiska pod drzwiami. Zerkam przez wizjer, choć zwykle tego nie robię, co pewnie jest błędem, „kuszeniem losu", jak by powiedział ojciec. Przed drzwiami stoi starsza kobieta w beżowym swetrze. Luks podnosi głowę, on na pewno wie, co zrobić, otworzyć czy nie. Macha ogonem. Otwieram.

– Dzień dobry, ja jestem właścicielką mieszkania i sąsiadką Weroniczki, świętej pamięci. Może mnie pani pamięta? Ja panią trochę kojarzę z widzenia – mówi na jednym wydechu.

– Dzień dobry. Niestety, ja pani nie pamiętam – odpowiadam.

– Widziałam panią dziś na pogrzebie, mogę wejść? Amelia Potoczek.

Kobieta podaje mi rękę. Ściskam ją i przechodzi mnie dreszcz, bo jest zimna jak lód.

– Tak, tak, proszę. – Dopiero kiedy przepuszczam ją w drzwiach, widzę, że ma ze sobą tekturowe pudełko szczelnie oklejone czarną taśmą.

Przechodzi przez pokój i lustruje wzrokiem mieszkanie. Czy zrobiłam coś, co mogłoby ją zaniepokoić? Nie zdążyłam niczego przestawić ani w jakikolwiek sposób naznaczyć swoją obecnością. Zabrałam ze sobą tylko plecak z laptopem i najpotrzebniejszymi rzeczami, który leży teraz na kanapie. I tylko jedną walizkę. Wielki stół oraz wszystkie wolne przestrzenie na szafkach i pod ścianami wypełniają zaschnięte farby, pędzle, pocięte tkaniny, rysunki i obrazy. Na wielu pojawia się Luks w otoczeniu małych dziewczynek bez twarzy, ludzkich organów wewnętrznych, wesołych miasteczek, bagien,

gabinetów dentystycznych. Ciepłe światło popołudnia zalewające mieszkanie sprawia, że obrazy wydają się tu nie pasować, jakby zabłądziły i tylko przez przypadek znalazły się w tym przytulnym mieszkaniu. Weronika nie była dobrą malarką. Uwieczniała swoje koszmary i w tym nie można było jej odmówić oryginalności, ale nie była dość cierpliwa. W ogóle nie przykładała wagi do detali. Nie wiem, dlaczego zajęła się akurat malarstwem, a nie fotografią albo tańcem, czymś natychmiastowym, gwałtownym – takim jak ona.

Amelia Potoczek odkłada pudełko na kuchenną wysepkę, otwiera jedną z wiszących szafek i wyjmuje z niej puszkę z herbatą. Dziwi mnie jej swobodne zachowanie, ale nie zdobywam się na żaden komentarz. Luks wciąż leży obojętnie przy drzwiach.

– Taka tragedia, to była miła dziewczyna – wzdycha Amelia, nalewając wodę do czajnika.

– Pani ją dobrze znała? – pytam, siadając przy stole.

– Bardzo dobrze, pomagała mi: zakupy zrobić, okna wymyć, zostawiała u mnie czasem pieska – mówi, a biały owczarek Weroniki podnosi głowę. – Bardzo była dobra, tylko te obrazy takie mroczne…

Siada obok mnie, stawiając między wyrwanymi ze szkicownika kartkami dwa kubki z herbatą.

– Pani się teraz wszystkim zajmie, tak?

W odpowiedzi kiwam głową. Piję herbatę, parząc sobie wargi.

Amelia mówi dalej:

– Dużo mi o pani opowiadała. Chyba z panią była najbliżej, chociaż miała tu tylu znajomych… Ja myślę, że to któryś z tych jej kolegów jej to zrobił.

– Jakich kolegów? – pytam, odstawiając kubek.

– Ja nie chcę nikogo oskarżać, ale do niej tu różni przychodzili.

– Odzyskała przytomność na kilka godzin. Nie chciała powiedzieć w szpitalu, kto jej to zrobił. Albo nie wiedziała – mówię i przyglądam się starszej kobiecie.

Po moich słowach kręci głową, jakby miała za chwilę ciężko westchnąć: „O Boże, Boże". Moja matka tak wzdychała, przy każdej możliwej okazji.

– Jakiś czas temu przyszła do mnie i powiedziała, że wyjeżdża i chce u mnie coś zostawić – mówi Amelia i wstaje, żeby podać mi paczkę, którą ze sobą przyniosła. – Mówiła, że woli zostawić u mnie niż w swoim mieszkaniu.

– A mówiła, dokąd wyjeżdża? Na jak długo?

Dreszcz przebiega mi po plecach. Może miała z kimś wyjechać albo wręcz przeciwnie, przed kimś chciała uciec? Pakunek okazuje się lekki.

– Tak, tak, mówiła, że jedzie do Norwegii malować fiordy. Może to nie ma nic wspólnego z tym wszystkim? – pyta Amelia, uspokajając sama siebie. Nie wygląda na osobę, która chce pakować się w kryminalne afery.

– Zbieg okoliczności, mam nadzieję – odpowiadam powściągliwie.

Kobieta przygląda mi się uważnie.

– Ma pani bardzo ładną buzię, ale nie myślała pani, żeby zapuścić trochę włosy? – pyta nagle, troskliwym, ale sugestywnym tonem, którego nie słyszałam już od bardzo dawna.

To krępujące.

– Może kiedyś. Dlaczego nie przekazała pani tego policji? – pytam, starając się nie brzmieć oskarżycielsko, choć cała ta wizyta, jakieś przekazywanie tajemnic i paczek, przypomina mi sytuację z kiepskiego kryminału.

– Może trzeba pokazywać, może nie. Weronika miała tajemnice. Jak każdy – stwierdza Amelia i wstaje od stołu. Podchodzi do psa, który dalej

nie ruszył się z legowiska, i drapie go za uchem. – Dobrze, w takim razie już pani nie przeszkadzam. Gdyby coś było potrzebne, jestem pod siódemką. Trzeba będzie komuś wynająć… Ale co z tymi wszystkimi rzeczami? – pyta, obrzucając spojrzeniem mieszkanie.

– Nie mam na razie pojęcia.

– Do końca miesiąca jest zapłacone już, może tu pani zostać, a potem pomyślimy. Do widzenia.

Gdy tylko wychodzi, przytykam oko do wizjera. Podchodzi do drzwi naprzeciwko, ale rozmyśla się i ciężko sapiąc, wspina się schodami na wyższe piętro. Dobra, może to nie jest intryga z kiepskiego kryminału, tylko z kiepskiego życia. Staruszka zestresowała się zawartością pudełka i wolała przerzucić na mnie odpowiedzialność za jego otwarcie.

Paczka wygląda niewinnie. Zawiera pewnie coś, czego pani Amelia wolałaby nie zobaczyć, skoro mierziły ją „takie mroczne obrazy". Rozcinam czarną taśmę kuchennym nożem. Naiwnie spodziewam się, że znajdę pierwszy okruszek na ścieżce, którą przecież zawsze zostawia sprawca. Okruszek po okruszku, do celu. W środku są zdjęcia. Większość została zrobiona polaroidem. Te na samym wierzchu mają najpóźniejsze daty. Zrobiono je dwudziestego szóstego stycznia. Weronikę znaleziono piątego lutego przy wylotówce z miasta. Umarła w szpitalu, szóstego lutego. Dziś mamy jedenasty. Amelia Potoczek dostałaby zawału, gdyby otworzyła pudełko. Kilka zdjęć przedstawia Weronikę. Na jednym ma związane uda i dwóch mężczyzn polewa jej piersi woskiem, na drugim ze związanymi z tyłu rękami ssie fiuta porządnie zbudowanemu facetowi w średnim wieku, na innym całuje się z krągłą, młodziutką dziewczyną z burzą blond loków. Ostatnie zdjęcie wywołuje u mnie ukłucie zazdrości. Siadam na parapecie i zapalam papierosa. W dole widzę obładowaną siatkami kobietę, grupę dzieci z ciężkimi szkolnymi

plecakami i jeszcze kogoś. Stoi przy swoim starym, czarnym volvo, które dobrze znam, i pali papierosa. Nie boję się, że spojrzy w górę i mnie zauważy. Z odległości czterech pięter nie mogę mu się dobrze przyjrzeć, ale rozpoznaję go bez problemu. Tak zwany prokurator Remigiusz Huk wyrzuca niedopalonego papierosa na ulicę. Drepcze chwilę w miejscu, ale w końcu wsiada do samochodu i odjeżdża. Tchórz.

Wracam do przeglądania zawartości pudełka. Mężczyzna z jednego ze zdjęć wydaje mi się znajomy. Nie potrafię sobie przypomnieć skąd. Łysy, średnio przystojny. Wygląda na zagubionego, nie zdążył zasłonić się otwartą dłonią przed mignięciem flesza.

To pewnie jeden z tych kulturalnych, starszych mężczyzn, piszący pod stołem przy rodzinnym obiedzie sprośne esemesy do swoich suczek z internetu. Większość z tych kolesi jest właśnie taka: mili panowie z brzuszkami i zarostem ogolonym na specjalną okazję, żonaci zapewne z niczego nieświadomymi kobietami, które codziennie przygotowują im do pracy kanapki z szynką i serem.

Czasem wśród nich zdarzają się szaleni, samotni biznesmeni, skaczący na bungee miłośnicy adrenaliny i sikania na partnerki.

Niechciane wspomnienie pojawia się na sekundę, która wystarcza, by oddzielić się od siebie. Poczuć zażenowanie tym, co zrobiła kiedyś część mnie, która teraz jest już tylko jak wycięta dawno narośl.

Obraz sprzed może czterech, pięciu lat. Zakładam konto na portalu dla zboków. Umawiam się z jakimś czterdziestoletnim, łysym mięśniakiem. Właściwie nie pamiętam już jego twarzy. Tylko że miał wielkie dłonie. Kładka nad rzeką, gdzie zakochani przypinają kłódki, w nocy podświetlona na różowo i fioletowo. Strasznie pretensjonalne miejsce, mówię mu o tym. To miejsce nie pasuje do sytuacji, w której chodzi tylko o popaprany seks. Mówi mi, że przypominam „Amelię z tego

filmu". Pyta, czy mam skończone osiemnaście lat. Kłamię, że tak. Masturbuję się w jego samochodzie, on dotyka moich piersi. Mam orgazm. Mówi, że mu stanął. Bierze moją rękę i kładzie na swoim kroczu. Jakbym dotykała wielkiego rozpierającego niebieskie jeansy guza, chorego miejsca rozpalonego gorączką. Wysłałam mu zdjęcie swoich stóp zrobione w łazience w szkole. Nie widzimy się już potem. Umawiam się z nim drugi raz, a potem nie odpowiadam na wiadomości i idę powłóczyć się po mieście. Nie mam odwagi.

Zdjęcia zostały zrobione kilka dni przed zniknięciem Weroniki. Widać, że już od jakiegoś czasu dokumentowała te spotkania. Zestawów zdjęć jest dokładnie czternaście, zrobiono je w ciągu dziesięciu ostatnich miesięcy. Na zdjęciach z kilku poprzednich spotkań rozpoznaję Słonecznego, naszego wspólnego znajomego z czasów sprzed mojej wyprowadzki z miasta. Choć określenie „znajomy" nie jest najtrafniejsze.

Na samym dnie paczki leżą zdjęcia o innym charakterze, zrobione prawdopodobnie aparatem z dobrym zoomem. Siadam na parapecie. Weronika fotografowała okna kamienicy naprzeciwko. Zdjęcia są niepokojące, ale nie sugerują niczego konkretnego. Te zrobione w dzień przedstawiają głównie trzech mężczyzn w średnim wieku, w eleganckich koszulach albo marynarkach, jeden z nich jest łysy. Mężczyźni powtarzają się w różnych konfiguracjach, znajdują się na różnych piętrach kamienicy. Zerkam przez okno. Budynek wydaje się opuszczony. Elewacja jest brudna od zacieków, ramy okien drewniane i stare, gdzieniegdzie ze ścian zwisają przecięte kable telefoniczne. Na wszystkich zdjęciach mężczyźni ustawieni są profilem. Oprócz tego jednego, na którym łysy i najniższy z nich patrzy prosto w obiektyw aparatu. Weronika została przyłapana na podglądaniu. Nocne zdjęcia przedstawiają już tylko okna, w których ktoś zawiesił zasłony, żeby

świecące w pomieszczeniach światło nie zdradzało, co dzieje się w środku. Na tych fotografiach nie ma dat. Przypomina mi się, jak kiedyś wymyśliłyśmy taką podglądacką zabawę i fotografowałyśmy życie sąsiadów. Zsuwam się z parapetu i sięgam po leżący na stole telefon.

– Cześć. – Karolina odbiera po drugim sygnale. Ton jej głosu zdradza, że domyśla się, dlaczego dzwonię.

– Dawno się nie widziałyśmy, ale pewnie słyszałaś, co się stało… – bełkoczę jakieś brednie. Nie wiem, jak zacząć tę rozmowę.

– Straszna sprawa – wchodzi mi w słowo. – Chcesz się spotkać?

– Ale wiesz, dlaczego dzwonię? Właściwie nic nie chcieli mi powiedzieć…

– Z tym ci nie pomogę. Nie chcemy, żeby wszystko wyciekło do mediów.

– Chcę po prostu wiedzieć. Nie pójdę do gazet, nie zamierzam bawić się w jakieś własne śledztwa. To dla mnie po prostu ważne…

– Jestem na aplikacji w prokuraturze. Mogę za to wylecieć.

– Nie będę cię do niczego nakłaniać – mówię.

Karolina namyśla się nad odpowiedzią.

– A co chcesz zobaczyć? – pyta w końcu z niechęcią.

– Właściwie wszystko, co macie. Całą dokumentację, zeznania świadków, zdjęcia z sekcji, z miejsca, w którym ją znaleziono, wszystko.

– Nie musisz akurat mnie o to prosić. Wystarczy, że zadzwonisz do…

Przerywam jej:

– Ale zadzwoniłam do ciebie!

– Dam znać, co mogę zrobić, cześć – odpowiada i rozłącza się.

Odkładam telefon. Karolina nie jest typem osoby, która załatwia cokolwiek bezinteresownie, a jeżeli już robi wyjątek, ostentacyjnie

demonstruje, że jest to z jej strony akt łaski.

Dalej mam na sobie czarny płaszcz Weroniki. Pewnie istnieje jakiś przesąd, który mówi, że nie powinno się iść na pogrzeb w ubraniu zmarłego, że czernieje od tego skóra albo wypadają włosy. Dobrze, że jestem łysa. Zrobiłam to, bo nie miałam nic czarnego, nic odpowiedniego. Nie spakowałam się porządnie przed przyjazdem tutaj. Między innymi to nas łączyło: drobne niedopatrzenia, rozproszenia, które często kończyły się małym pożarem w sypialni, zgubionymi dokumentami, zniszczonym obrazem, niedogonionym ostatnim pociągiem.

„Jesteśmy jak muchy owocówki" – powiedziała kiedyś, latem, kiedy umierałyśmy z gorąca w jej kuchni nad kieliszkami taniego wina. Zapytałam dlaczego, choć wiedziałam, że usłyszę jakąś niezbyt błyskotliwą metaforę. Odpowiedziała: „Wszystko chciałybyśmy na już. Nie umiemy na nic czekać. Jakby nasze życie miało trwać tylko dwadzieścia cztery godziny". Zaśmiałam się wtedy.

Zdejmuję płaszcz i odkładam go do szafy. Wycięła na jej drewnianych drzwiczkach kwiatowe wzory. Wszystko w tym mieszkaniu jest nią nasycone. Przywiązywała się do miejsc. Gromadziła wokół siebie mnóstwo zbędnych przedmiotów, a to, co zastała, zmieniała i ozdabiała. Ja nigdy nie miałam takiej potrzeby. W mieszkaniu, które wynajmuję już od czterech lat, dalej stoi na parapecie jakaś uschnięta roślina, którą zostawili poprzedni lokatorzy.

Luks podnosi głowę na dźwięk przychodzącego esemesa. Ten pies już chyba nigdy nie ruszy się ze swojego miejsca pod drzwiami. Na pewno przeczuwa, że coś się stało.

Esemes od Karoliny: „Przyjdź dzisiaj o 19.00 do Ambasady". Szybko odpowiadam. Ktoś kiedyś powiedział mi, że z Karoliną można konie

kraść, ale był wtedy pijany, a ja w odpowiedzi złośliwie się zaśmiałam.

Zakładam skórzaną kurtkę z kożuchem. Po chwili zastanowienia chowam zdjęcia do torby. Pies i tak nigdzie się nie wybiera, więc zostawiam go w spokoju.

Wychodzę z mieszkania i kieruję się pod siódemkę, do drzwi Amelii Potoczek. Pewnie wie coś o opuszczonej kamienicy. Dzwonię pod siódemkę, ale nikt nie podchodzi do drzwi. Jeszcze raz naciskam dzwonek.

– Pani tu zostaje? – Słyszę nagle za plecami chrapliwy głos.

Odwracam się gwałtownie. Z mieszkania obok wygląda staruszek po tracheotomii. Między jego stopami w skórzanych kapciach mały, czarny piesek ohydek usiłuje przecisnąć się na korytarz. Ten piesek na pewno nazywa się Szatan albo Murzyn.

– Może pan powtórzyć?

– Pytam, czy pani będzie wynajmować teraz to mieszkanie.

– Możliwe. Ile tu jest jeszcze pięter? – pytam, a sąsiad wskazuje głową na schody prowadzące do góry.

– Tu jest ostatnie, tam jest tylko strych – odpowiada i blokuje nogą wyrywającego się pieska. – Ale jak pani chce wynajmować, to lepiej dzwonić do syna pani Potoczek.

– Dlaczego?

– Ona ma alzheimera, wszystko jej się już miesza. Ta, co tu mieszkała wcześniej, to się doczekała – dodaje na zakończenie rozmowy.

Nie muszę dopytywać, co ma na myśli. Zaciskam zęby i schodzę na dół. To wysoka, duża kamienica. Na każdym piętrze są trzy mieszkania.

Wychodzę na spokojną, boczną ulicę. Okna kamienicy naprzeciwko są szare, jakby w środku całą przestrzeń wypełniał zawieszony między ścianami gęsty kurz. Przechodzę na drugą stronę. Lista lokatorów na

budynku jest niekompletna. Na drzwiach ktoś sprejami namalował jakieś symbole, przypominające dwie celtyckie runy.

Dzwonię pod pierwszy numer. Nikt się nie zgłasza. Dopiero pod ostatnim numerem podnosi się słuchawka.

– Dzień dobry, poczta! – wołam, używając wypróbowanego sposobu.

Drzwi nie otwierają się, ale ktoś jest na górze i teraz w głośniku domofonu słyszę jego oddech. Miarowy i ciężki. Dreszcz i zimny pot na karku.

– Halo? – pytam, starając się, żeby mój głos brzmiał pewnie.

Odpowiada mi tylko oddech i inny zniekształcony przez stary domofon dźwięk, który brzmi tylko jak niedające się zidentyfikować buczenie. Przechodzę na drugą stronę ulicy i zadzieram głowę. W kamienicy Weroniki hałaśliwie otwiera się okno. Jakaś szalona sąsiadka gwałtownie trzepie kołdrę przez okno, jakby zaraz miała ją zrzucić na ulicę. Robi sobie przerwę, żeby wykrzyczeć kilka zdań nieskładnego monologu.

– Wujek palił całe życie i umarł na raka! Miał czterdzieści sześć lat! Macie krzywe gęby… Stare kurwy… Śmierdzi tu wszystko… Duszę się przez was! – Wącha kołdrę i zamyka okno.

Chwilę później w mieszkaniu gaśnie światło.

W opuszczonej kamienicy jedno okno jest wybite. Gołębie zrobiły na jego parapecie gniazdo. Zapada zmrok, a w żadnym z okien budynku nie zapalają się światła.

3. Gabinet w Wydziale Kultury

Przestronny gabinet w urzędzie miasta. Na ścianach wiszą obrazy przedstawiające jelenie na rykowisku i zachód słońca. Ten dywan w orientalne wzory przyprawia sprzątaczki o migreny. Kilka oszklonych szaf i regałów. Właściciel tego gabinetu nazywa się Daniel i siedzi przy zdobionym biurku. Jest łysy i średnio przystojny, ubrany w szary garnitur. Wyjmuje kilka tabletek z pomarańczowej fiolki i popija je wodą ze szklanki. Rozlewa trochę na biurko i nerwowo ściera plamę rękawem koszuli. Otwierają się drzwi gabinetu i wchodzi prokurator Remigiusz Huk, siwiejący, grubszy mężczyzna z brodą. Ma dobrotliwy wyraz twarzy, ale małe, przekrwione oczy patrzą na Daniela z niechęcią. Daniel chowa mokry mankiet koszuli w rękawie marynarki.

– Nie zapukałem, wybacz – usprawiedliwia się prokurator, widząc zdenerwowanie Daniela.

Wie, że Daniel jest histerykiem, a dziś nie ma czasu na długie rozmowy. Zwykle nie przeprasza, po prostu nie ma w zwyczaju pukać. Pukanie to strata czasu. Jeśli ktoś ma coś do ukrycia, powinien zamknąć drzwi na klucz, a nie polegać na dobrych manierach innych ludzi.

– Prokurator nie musi pukać – żartuje Daniel. Jest roztrzęsiony i nie umie tego ukryć.

Huk siada po stronie biurka przeznaczonej dla petentów.

– Jestem służbowo. Musimy cię znowu wezwać na przesłuchanie.

– Czy tym razem mogę po prostu sam do was przyjść? – pyta Daniel. Podnosi się, obchodzi kilka razy pokój i zatrzymuje się przy oknie.

– Tak. Nie jesteś już podejrzany. Chodzi o uzupełnienie zeznań. Okręgowy chciał mieć winnego, stąd ten cały cyrk.

– Sąsiedzi i koledzy w pracy myślą, że jestem jakimś seryjnym mordercą… Moja żona już wie, że miałem romans…

– Bo miałeś.

– Tak, miałem! – Daniel podnosi głos, ale po chwili się uspokaja. – Ale z tym wszystkim nie mam nic wspólnego!

– Przyjdź jutro rano. – Prokurator wstaje z krzesła i wychodzi, nawet się nie żegnając.

Daniel nadal stoi przy oknie i obserwuje plac przed urzędem, czeka, aż Huk wyjdzie z budynku. Tramwaje trąbią nerwowo na wlekących się środkiem ulicy turystów. Bezdomny wyłudza papierosy od ubranych w krótkie spódniczki studentek. Krótkie spódniczki. Huk pojawia się w zasięgu wzroku. „Przyszedł tu osobiście tylko po to, żeby zobaczyć, jak drżą mi ręce. Nie ma pewnie żadnych podejrzanych oprócz mnie", myśli Daniel, „żadnych sensacyjnych postępów w śledztwie, a wszyscy przecież czekają na nie jak chorzy odcięci od kroplówek. Tym się stałem, padliną, nad którą Huk będzie krążył jak sęp". Prokurator zaparkował volvo po drugiej stronie ulicy. Wymienia kilka zdań ze strażnikami miejskimi, którzy zabierali się już do zakładania blokady na koła, i odjeżdża. Daniel siada przy biurku i chowa twarz w dłoniach.

4. Słoneczny

Jadąc tramwajem, układam zeznania, które pójdę jutro złożyć. A więc: staruszka – podobno z alzheimerem – wręczyła mi pudełko z właściwie nic niemówiącymi zdjęciami okien kamienicy z naprzeciwka, i słyszałam jeszcze oddech w głośniku domofonu. Złożę te absurdalne zeznania i jutro, najpóźniej po południu, stąd wyjadę.

Z rogu placu Bohaterów zniknęła uliczna kwiaciarka i sklep ze sprzętem medycznym, a w jego miejscu wyrosła kolejna kawiarnia. Tramwaj sunie szybko po odremontowanym torowisku, otwarto park, który od lat straszył szczelnie ogrodzony aluminiowym murem. Może nigdy stąd nie wyjechałam?

Wysiadam pod teatrem. Niebo jest jeszcze ciemnogranatowe, ale powietrze w okolicach rynku, przesycone zapachem papierosów i kebabu, powoli gęstnieje od wieczornego smogu. Latarnie świecą mdłym światłem. Ludzie wyłaniają się z mgły i znikają w niej, goniąc odjeżdżające tramwaje.

Na chodniku pod jakąś meliniarską knajpą, kilka metrów dalej stoi Słoneczny z dziewczyną. Rozmawiają, gwałtownie gestykulując. Odwraca się od niej, żeby zapalić papierosa. Zauważa mnie i nie mam już szans na ucieczkę.

– Mery Malinowska! – woła i rusza w moją stronę, zostawiając towarzyszkę, bardzo chudą i mocno umalowaną nastolatkę w krótkiej spódniczce niedopasowanej do pogody, a tym bardziej do tej jej ciężkiej, skórzanej, brązowej kurtki.

Dziewczyna idzie za nim, dość niechętnie. Chyba przerwałam im jakąś ważną rozmowę. Słoneczny ściska mnie i całuje w policzek.

Kiedyś próbował zostać prawdziwym pisarzem, czyli wydawać książki i dostawać za to pieniądze. Próbował wiele lat i nigdy mu się nie udało, a może tylko mnie się wydawało, że próbował? Może tak naprawdę mu na tym nie zależało. Słoneczny to stary znajomy, właściwie były kochanek. Z czasów, kiedy byłam jeszcze głupsza niż teraz. Od lat Słoneczny realizuje pewien wizerunkowy plan, który finansowo raczej nigdy mu się nie opłaci. Patrzę na niego, brzydząc się swojego poczucia wyższości. Opieram je tylko na tym, że ja mam na sobie drogie, modne ciuchy, a on wymięty czarny płaszcz, który wygląda jak znaleziony na śmietniku. Pewnie ciągle czyta w knajpach fragmenty swojej jedynej, wciąż niewydanej powieści. Chociaż lepsze określenie dla tego tekstu to „niegramatyczny zapis wszystkich anegdot z jego życia, który stworzył, siedząc przez trzy miesiące w areszcie śledczym".

– To Mery, moja przyjaciółka – przedstawia mnie dziewczynie, która nie wydaje się zainteresowana zawieraniem znajomości.

Pewnie kolejna kochanka, ich wielka miłość trwa już od miesiąca, a polega na ruchaniu jej w dupę, bo prezerwatywy są przecież takie drogie. Idę o zakład, że to uczennica liceum plastycznego, która przed chwilą groziła mu, że popełni jutro samobójstwo, jeśli nie pójdzie z nią na imprezę w internacie.

– Jak się trzymasz? – pyta Słoneczny, teatralnie zmieniając ton.

– Nie wiem. Jestem wkurwiona – odpowiadam zgodnie z prawdą. Już go dziś widziałam dwa razy: na pogrzebie Weroniki i na zdjęciach z czarnego pudełka.

– Może się zobaczymy jakoś na dniach? Zostajesz tu trochę? – pyta, widząc zniecierpliwione spojrzenie Nastolatki.

– Na kilka dni, może. Właściwie mam sprawę, bo znalazłam zdjęcia… – mówię, a on przez chwilę nie wie, o co chodzi, ale szybo się orientuje. – Zdjęcia dość prywatne. Nie wiem, czy mogę je przekazać policji…

– O *fuck*, lepiej tego nie rób. To znaczy, wiesz, tam nie przychodzą jacyś psychopaci, tylko normalni ludzie, choć większość ukrywa swoje wizyty w tym miejscu… Jeden gość jest katechetą, uczy religii w podstawówce. A wiesz, ludziom czasem odpierdala, kiedy wali się ich światek.

– No właśnie… Zrobiła te zdjęcia dwudziestego szóstego stycznia, właściwie tydzień przed zniknięciem – mówię, a Słoneczny słucha mnie uważnie.

– Mnie nie było wtedy w mieście – wyrzuca z siebie jednym tchem. Reaguje na moje słowa z typową dla siebie przesadą.

– To jest twoje alibi? Jesteś podejrzany? – pytam, bardziej w tonie zwykłej złośliwości niż oskarżenia.

– O co podejrzany!? – wcina się nagle zainteresowana rozmową Nastolatka.

– O nic! Nie, kurwa, o co ci chodzi!? To znaczy, formalnie pewnie tak, przesłuchiwali mnie. Ja zawsze jestem podejrzany…

– No tak, siedziałeś w końcu w areszcie za usiłowanie zabójstwa byłej dziewczyny – wchodzę mu w słowo i obserwuję reakcję Nastolatki.

– Cooo?! Ona mówi prawdę?! – pyta dziewczyna i zamiera z głupkowato otwartymi ustami.

– Nie! To znaczy tak. Trzy miesiące, wypuścili mnie, nie mam nawet wyroku, to znaczy mam, ale w zawieszeniu. To była pomyłka! Przyszedłem do niej z nożem, ale nic nikomu się nie stało. A poza tym nikt nie widział żadnego noża! – tłumaczy się pokrętnie, ostatnie zdanie wypowiadając z akcentem na każde słowo.

– Spierdalaj! Słyszysz? Mój ojciec ma rację… Spierdalaj! – wrzeszczy dziewczyna i cofa się do kawiarni.

Widzę, że liczy na to, że on za nią pójdzie, że zacznie się tłumaczyć, prosić, przepraszać.

– To oddaj kurtkę! – woła za nią tylko.

Słoneczny dryfuje po powierzchni. Kiedy byliśmy ze sobą, miałam wrażenie, że jest kompletnie bezwolny: nic nie planuje, nie kalkuluje, ulega tylko okolicznościom i impulsom, nie zastanawiając się nad korzyściami albo konsekwencjami. Jeśli jakiś prąd utrzymuje go na powierzchni, to dryfuje, jeśli tonie – nie broni się i opada na dno.

Nastolatka próbuje trzasnąć drzwiami, żeby przypieczętować swoje „spierdalaj", ale mechanizm blokujący udaremnia to spektakularne zakończenie.

– Widzisz, co zrobiłaś… – zwraca się do mnie Słoneczny i wyciąga z kieszeni płaszcza paczkę papierosów.

– Straszna szkoda. To coś poważnego?

– Ona? Oczywiście, że nie – mówi niewyraźnie, wyciągając zębami papierosa z paczki. Odpala go i dodaje po chwili: – Ale z tym wszystkim ja nie mam nic wspólnego.

– Wiem… Ty jesteś zwykłym frajerem, a nie psychopatą. Ale możesz wiedzieć, kto to zrobił.

– Tak, jasne, i go kryję. – Wypuszcza dym z płuc i przeczesuje nerwowo jasne włosy, wprawiając je w jeszcze większy nieład.

– Albo mógł zrobić. Mógłby zrobić – mówię i wyciągam zdjęcia z kieszeni kożucha. – Nie było cię tam, ale ty ich wszystkich znasz.

– Ty też ich przecież znasz.

– To było dawno temu…

Wciskam mu do ręki plik zdjęć. Gdyby on nie zawołał, minęłabym go na ulicy, odwracając wzrok. Tak bym pewnie zrobiła.

– To jest Bruno. Barman z Red Velvet i fotograf – mówi, wskazując na młodego, umięśnionego brodacza z długimi włosami spiętymi z tyłu głowy, który pojawia się na kilku zdjęciach.

– I co dalej?

– Wiem tylko tyle, że go olała, a on jest upierdliwy… Chcesz się bawić w śledztwo? – Oddaje mi zdjęcia, trochę rozbawiony.

– Powiedziałeś to policji?

– Nie. Nie pytali mnie o wszystkich kolesi, z którymi nie chciała pójść na spacer… A ja nie mówię niepytany. Pożyczysz mi sto złotych? – pyta nagle i wbija wzrok w zapalniczkę, którą nerwowo obraca w dłoni.

Wyciągam z kieszeni pomięty banknot. Jest trochę zdziwiony, nie liczył chyba na taką odpowiedź.

– Dzięki, oddam w tym tygodniu. – Uśmiecha się i bezmyślnie gasi papierosa o białą elewację budynku.

Nastolatka wychodzi z kawiarni z koleżanką, bardzo do niej podobną. Właściwie wyglądają jak dwa klony.

– Poczekaj! Wytłumaczę ci wszystko – woła Słoneczny i rusza za nimi. Odwraca się do mnie szybko i rzuca na pożegnanie: – Trzymaj się! Dzwoń, jak coś! Przyjdź do Red Velvet dziś!

Odchodzi ulicą ze wściekłą Nastolatką i jej koleżanką. Obserwuję, jak się oddalają. Przeglądam zdjęcia. Słoneczny nie oddał mi jednego. Zmiął je i schował do kieszeni jak ulotkę reklamową. Podnoszę głowę i próbuję wypatrzyć go w tłumie na rynku, ale już zniknął, porwany przez kolejny prąd.

5. Prokurator Remigiusz Huk

Szklanka brandy z lodem zawsze pomaga na wieczorny ból głowy i karku, a pół butelki zupełnie go usuwa. Prokurator Huk w samotności odziedziczonego po babce mieszkania kończy właśnie kolację. Paluszki rybne, buraczki ze słoika i frytki smakują całkiem nieźle z brandy.

Tego wieczoru pije trochę więcej niż zwykle. Nie ma pojęcia, jaki wykonać teraz krok, żeby śledztwo posunęło się chociaż o milimetr. Brakuje dowodów, świadków, jakichkolwiek poszlak. Z bardzo wielu powodów to nie jest rutynowe dochodzenie w sprawie morderstwa ze szczególnym okrucieństwem. Wiele lat temu dobrze znał Weronikę. Pamiętał ją jeszcze z czasów, kiedy była nastolatką. Beztroską, bardzo ładną, miłą dziewczyną. Do morderstwa ze szczególnym okrucieństwem doszło porwanie, przetrzymywanie, gwałt… a to podsyca niezdrowe podniecenie mediów.

Ostatni raz miał z czymś podobnym do czynienia na samym początku kariery, jeszcze zanim przeniósł się z rodziną do tego miasta, ale nawet tamta sprawa miała inny charakter. Sprawców było wtedy czterech, przez tydzień przetrzymywali ofiarę w piwnicy, pod nieobecność żony jednego z nich. Dziewczynie udało się uciec, ale nie zmarła z powodu odniesionych obrażeń, tylko popełniła samobójstwo pół roku później. Wszystko właściwie było od początku jasne. Sprawcom szybko postawiono zarzuty, dwóch z nich odpowiadało później z wolnej stopy. Na stole oprócz zdjęć roześmianej Weroniki, dokumentacji z sekcji zwłok i opróżnionej do połowy butelki brandy stoi jeszcze

magnetofon kasetowy. Huk naciska przycisk nagrywania i taśma zaczyna się kręcić.

– To będzie pewnie moja ostatnia sprawa. Przechodzę na emeryturę. Jestem już za miękki. Nie znajdziemy ich, w każdym razie szanse są małe. Ktoś dobrze zatarł ślady. To też się czasem zdarza. Ja ich już na pewno nie znajdę. Nie wiem… To będzie się wlekło przez lata. Rozmawiałem z nią w szpitalu. Miała całą głowę zabandażowaną. Próbowałem sobie przypomnieć, jak wyglądała wcześniej. Potem zobaczyłem zdjęcia. Nie mogłem uwierzyć, że była taka piękna. Rozmawiałem z nią bardzo krótko, obudziła się na chwilę, trudno jej było mówić. Nikomu nie powiedziałem, że ją znam. Mogliby mi jeszcze zabrać tę sprawę…

Taśma przestaje się kręcić. Prokurator wyciąga kasetę. Nakleja na jej bok plaster – taki, jakiego używa się do opisywania słoików z konfiturami – i cienkim czarnym flamastrem pisze: „Dla Matyldy. 11 lutego”. Kasetę wkłada do segregatora. Nalewa kolejną szklankę brandy i siada w wytartym fotelu przed telewizorem.

6. Ambasada

Ambasada nie zasługuje jeszcze na miano meliny, ale jak każdy lokal otwarty całą dobę przyciąga ćmy barowe i dziwaków. Przychodząc tu na śniadanie o dziewiątej, spotykasz zalanych, smutnych facetów, którzy wiszą przy barze nad ostatnim piwem zamówionym jeszcze w nocy. Jest to właściwie jedyne miejsce, które zawsze odwiedzam, gdy wracam do tego miasta. Dalej spotykam tu troje stałych bywalców. Należy do nich między innymi pan Lesiu, który nosi okulary grubości denek od słoików i gra na flecie pod sklepem za rogiem. Za zebrane pieniądze kupuje czarną kawę i przez resztę dnia czyta gazety.

Jest też Niemiec, blondyn w czarnym golfie, około czterdziestki, który przychodzi wypić jedno piwo i wypalić kilka papierosów nad cienkimi tomikami z poezją. Czyta kilka wersów, odkłada książkę i zastyga w skupieniu, przyglądając się innym gościom albo patrząc w okno.

Ostatnia z trójki to owinięta w szale, chusty i paciorki emerytowana wróżka, jeśli wróżki w ogóle przechodzą na emeryturę. Też przeważnie czyta gazety i pali papierosy, pijąc herbatę albo sok pomarańczowy. Często opowiada innym klientom o swojej największej pasji: malowaniu złotymi pisakami geometrycznych ornamentów na tekturowych kartonikach. Czasem je sprzedaje, zapewniając, że przyniosą szczęście, ale przeważnie rozdaje jako prezenty, choć wtedy już nie wspomina o ich magicznej mocy.

Zdarza się, że cała trójka siada razem przy stoliku. Muszą raz na jakiś czas odbyć naradę. Dzięki temu, że oni pozostają nieruchomi, to miasto nie zapadło się jeszcze pod ziemię razem z całą resztą bezładnie machających rękami, biegających, miotających się i wrzeszczących w niezrozumiałych językach szaleńców. Kiedy Słonecznego porywają prądy, a w lasach znajduje się zakrwawione ciała, oni ze spokojem unoszą filiżanki do ust. Za wiele już przeżyli, żeby cokolwiek mogło wyprowadzić ich z równowagi. Papierosy palą oszczędnie, dla przyjemności albo z przyzwyczajenia, nie odpalają nerwowo jednego od drugiego. Z mieszaniną dystansu i zainteresowania śledzą wzrokiem wchodzących i wychodzących z sali, bo tak naprawdę nikt z tych chaotycznych, hałaśliwych klientów kawiarni nie jest w stanie pozostawić w ich pamięci najmniejszego śladu.

Karolina czeka na mnie w sali dla palących. Wybrała stolik najdalej od wejścia, w najciemniejszym kącie. Wstaje, żeby mnie przywitać. Muskają mnie w szyję miękkie, równo przycięte włosy, czuję zapach jej cytrusowych perfum, kiedy pochyla się, żeby pocałować mnie w policzek. Chciałabym być jak Karolina. Tak sobie czasem mówię do siebie.

– Nie wiedziałam, że tu przychodzisz – mówię, siadając naprzeciwko niej.

– Chyba żartujesz, dlatego właśnie tu się z tobą umówiłam, bo tu nie przychodzę. Jak Huk się o tym dowie… – Kręci głową i wyciąga z torebki papierosy. Klika zębami miętową kulkę.

Wystarcza ten gest i już nie chcę być jak ona.

– Huk to stary idiota – komentuję po chwili jej słowa.

– Nie powinnaś tak mówić. Robi w tej sprawie wszystko, co na tym etapie śledztwa można zrobić. I nie powinnaś tak mówić, bo to w końcu…

– Alkoholik ze sklerozą… – wchodzę jej w słowo, a ona, zirytowana, gasi niedopalonego papierosa i kręci głową z dezaprobatą.

– Chcesz się czegoś dowiedzieć? – pyta, a ja kiwam głową. – Dobra. Zgromadzono już dwa tomy akt.

– Czyli ile to jest?

– Jakieś czterysta stron.

– To chyba dużo…

– Jak na ten etap śledztwa to sporo – odpowiada wymijająco. – To od początku: mniej więcej około 6.30, za miastem, w lesie przy wylotówce znalazło ją małżeństwo. Jechali na urlop z wnukami. Sprawca przywiózł ją tam samochodem. Zostawił ją właściwie przy samej drodze. Nie znaleziono żadnego materiału genetycznego. Nie znaleziono kompletnie nic. Żadnych rodowych sygnetów, żadnego lakieru samochodowego za paznokciami, nic.

– Tak, zrozumiałam.

– Złożyła bardzo krótkie zeznania. Umówiła się z porywaczem na kolację, w Malinie. Nie zdążyła podać jego rysopisu, nawet nazwiska, to była naprawdę krótka rozmowa… On zaproponował, że ją odwiezie. Pojechał boczną drogą, twierdził, że w centrum są korki. Uśpił ją w samochodzie chloroformem. Potem znęcał się nad nią ktoś inny.

– Czyli sprawców było dwóch? Nie zapytaliście od razu o rysopisy?

– Pytaliśmy, ale nie mogliśmy jej naciskać, była w ciężkim stanie. Dobrze, że powiedziała cokolwiek. Poza tym nie widziała tego drugiego, tego, który się nad nią znęcał. Powiedziała coś o jego głosie, że „jak się obudzi, to sobie przypomni”. I tylko tyle.

– Pamiętała jego głos, czyli to był ktoś, kogo znała?

– Możliwe, ale to mógł być nawet ktoś, z kim rozmawiała tylko raz w ciągu ostatniego roku. W kolejce, w sklepie, barman w kawiarni,

znajomy znajomych na imprezie. To jest jakaś poszlaka, ale nie zawęża kręgu podejrzanych.

– Kto ją przesłuchiwał?

– Huk. On z nią rozmawiał.

– A co znaleźli w mieszkaniu?

– Telefon i komputer najprawdopodobniej miała w torbie, którą zabrała na kolację. Widzisz, to nie jest jak w filmach. Mamy ślady butów na śniegu. Bardzo małe, rozmiar trzydzieści dziewięć. Zidentyfikowaliśmy ją tylko dzięki temu, że jej ojciec zgłosił zaginięcie kilka dni wcześniej.

– Jej ojciec? – pytam zdziwiona.

– Tak. Dzwoniła do niego codziennie. Zaniepokoił się i zadzwonił na policję.

– Gdzie on teraz jest?

– Chyba już wyjechał po pogrzebie. Mieszka za granicą.

– Wiem. W Anglii. A ta restauracja? Ten typ nie zrobił rezerwacji? – pytam, a Karolina wydaje się coraz bardziej zirytowana naszą rozmową.

– W Malinie nie trzeba robić rezerwacji. Może myślisz, że tam pójdziesz i akurat spotkasz tę samą kelnerkę, a ona powie: „Dopiero teraz sobie przypomniałam, widziałam tutaj taką dwójkę, mężczyzna dziwnie się zachowywał, był zdenerwowany, wie pani co, teraz sobie przypomniałam, że wyrzucił do kosza w toalecie świstek papieru, o proszę, tu mam wszystkie śmieci z zeszłego tygodnia, to ten świstek, jest na nim napisane: »Chata w lesie, obok przystani dla jachtów, nad zalewem«”. Pojedziesz tam i znajdziesz dowody, i sprawa rozwiązana. Oczywiście obsługa została przesłuchana – dodaje asekuracyjnie po chwili.

– Wszystko zostawia ślady – mówię, wzruszając ramionami. Po tym monologu złośliwości nie mam ochoty już jej słuchać.

– Oczywiście, że tak, ale takie sprawy mogą ciągnąć się latami. To może być jakaś pierdoła, która nas do nich doprowadzi. Nawet obraz z monitoringu, do którego ktoś dokopie się za pięć lat. Mogą ich znaleźć równie dobrze za tydzień, a równie dobrze za dwadzieścia lat, ale to nie jest zabawa w skakanie po dachach, tylko mrówcza robota. Naprawdę, nie pakuj się w nic. Wy obie zawsze miałyście posrane pomysły, ale to naprawdę nie jest łażenie po nawiedzonych domach… – Karolina chce jeszcze coś dodać, ale ja wstaję od stolika i bez pożegnania wychodzę z sali.

Niemiec podnosi wzrok znad tomiku poezji. Czuję, jak spojrzeniem odprowadza mnie do drzwi.

7. Matylda

Siedzi na łóżku i patrzy w ścianę. Czasem się uśmiecha. Ale to nie jest prawdziwy uśmiech. Raczej cień, wspomnienie uśmiechu. Wygląda, jakby twarz wykrzywiał delikatny elektryczny impuls albo jakby poczuła na skórze zimny podmuch wiatru. Kąciki ust drżą i unoszą się. Ich ruch nie jest płynny – zatrzymują się w połowie, wracają do poprzedniego położenia i znowu drżą, by powoli unieść się do góry. Oczy pozostają jednak puste. Uśmiecha się i poważnieje, zastygając wpatrzona w ścianę.

Huk siedzi na krześle koło łóżka i nie patrzy na Matyldę. Nerwowo poprawia odklejającą się od ściany różę, wyciętą z ogrodniczego czasopisma. Różnokolorowe wycinki ze zdjęciami roślin i kwiatów pokrywają całą ścianę nad łóżkiem Matyldy. Pamiętam wszystkie ich nazwy. Uczyła mnie ich, kiedy byłam mała. Żółte lilie, fioletowe powojniki, białe dalie, niebieskie lobelie, pomarańczowe nemezje, smagliczki z ogromnymi, białymi kulami kwiatów, jasnoróżowe werbeny, drobne gipsówki. Kochała kwiaty, ale nie mogłaby tu mieć żadnego. Pielęgniarki musiałyby się nimi zajmować. Zawsze też istnieje niebezpieczeństwo, że zjadłaby jakieś trujące pędy w czasie ataku. Choć ataki zdarzają się już coraz rzadziej.

Huk wstaje z krzesła. Obchodzi dwa razy wąski pokój, od ściany do ściany, i zatrzymuje się w miejscu, w którym utkwiło spojrzenie Matyldy. Kuca, tak żeby znaleźć się w zasięgu jej wzroku. Zero kontaktu. Wiadomość bez odpowiedzi. Szybko spuszcza wzrok, zakłopotany. Kosmyk siwych włosów opada jej na czoło. Nie wyciąga ręki, żeby założyć

jej go za ucho, nie ma na to odwagi. Czuje ból w łydkach. Prostuje się i ciężko wzdycha. Matylda wypuszcza powietrze z płuc jak zawodnik sumo. Wygląda, jakby go przedrzeźniała. Znowu to robi. Rozbiera dźwięk na części pierwsze, przetwarza go.

Huk czuje, jak zalewa go złość, niczym nieuzasadniona, nieskierowana w żadną stronę złość. Wstydzi się jej. Podchodzi do okna i zaciska dłonie na kaloryferze.

– Ty dziwko… Dziw-ko, dziiiwkooo, dziwko – z uporem powtarza słowo Matylda.

Podśpiewuje, zmienia intonację. Z trudem rozkłada sylaby, rozciąga je. Podnosi dłoń i delikatnie skrobie paznokciami w ścianę. Huk wie, że to odprysk wspomnienia w umyśle Matyldy, i nie może już na to patrzeć.

Odgrywa jednoosobowy spektakl zbierania się do wyjścia. Nie musiałby tego robić, bo przed Matyldą nie trzeba udawać. Mógłby po prostu wyjść, ale odgrywa tę scenkę dla siebie. Prostuje się, przygładza klapy marynarki, patrzy na zegarek, wykonuje niezręczny gest pożegnalny: unosi do góry prawą dłoń, kiwa głową. Wyjmuje z szafki przy łóżku stary magnetofon, wkłada do niego kasetę „Dla Matyldy, 12 lutego 2018 roku", naciska przycisk odtwarzania. Zostawia na szafce sześć innych kaset, sześć minionych dni. Wychodzi z pokoju, a Matylda kładzie się na łóżku i wbija wzrok w sufit. Głos Huka cicho sączy się z szumiącego nagrania.

8. Tomek

Mijam go na schodach, kiedy wracam do mieszkania Weroniki. Nie wygląda na więcej niż trzydzieści lat, ale na pewno jest trochę ode mnie starszy. Wyszedł wynieść śmieci. Na czerwony podkoszulek założył czarną puchową kurtkę. Jest wysoki. Czarne włosy zaczesane do tyłu. Pod nosem ma dziwnego wąsa, który przypomina zarost nastolatka. On idzie w dół, ja w górę. Pół piętra niżej wychyla się chyba przez barierkę, żeby mi się przyjrzeć. Zamykam drzwi i zastygam przy wizjerze. Za minutę wraca na górę i znika w mieszkaniu Amelii Potoczek. Syn, który nie ma alzheimera.

***

Idzie do kuchni. Starannie myje ręce. Robi to tak, jak teoretycznie zawsze powinno się to robić: mydli każdy centymetr dokładnie, również między palcami, nie omijając zagłębień dłoni i nadgarstków. Kuchnia jest taka jak beżowy sweter Amelii, i to nie tylko ze względu na kolor: elegancka, staroświecka, urządzona bez zbędnego przepychu. Kremowe blaty dębowych szafek błyszczą czystością. Stół z dwoma krzesłami. W oknach koronkowe firanki. Na parapecie rząd ziół, bazylia, mięta, tymianek w małych fioletowych doniczkach.

Tomek otwiera lodówkę. Jego wzrok zatrzymuje się na dużym talerzu z krwistymi cielęcymi wątróbkami. Wykrzywia usta. Wyciąga talerz. Wącha wątróbki i wstrząsa nim raczej przesadny odruch wymiotny.

Kaszle bardzo długo, jakby się dusił. Siada na podłodze koło lodówki. Do kuchni przybiega Amelia.

– Tomasz! Co się dzieje? Zadławiłeś się?! Możesz oddychać? – Klepie syna po plecach.

Próbuje podnieść go z podłogi, ale Tomek odpycha ją, tak że kobieta zatacza się i prawie upada.

– Tak mnie traktujesz...! – mówi do niego z wyrzutem.

– Nie potrzebuję żadnej pomocy... Chcesz mnie zabić. Nienawidzę wątróbki. Dlaczego ciągle kupujesz wątróbkę. Chcesz mnie wykończyć! – Tomek dalej kuli się obok lodówki, a Amelia siada przy stole i chowa twarz w dłoniach.

– To zostaw mnie tutaj z tym wszystkim, jak ci tak źle. Zostaw matkę i idź do obcych, niech ci obcy pomogą! – wyrzuca z siebie histerycznie.

– To jest wszystko twoja wina, twoja wina... – Tomek mamrocze pod nosem.

Amelia nie rozumie słów syna, ale wie, że zaczyna się atak.

– Uspokój się. Zaraz dostaniesz lekarstwo. I nie tak głośno, na miłość boską!

Tomek wstaje i podchodzi do otwartej lodówki. Amelia szybko opuszcza kuchnię. Chłopak sięga po wątróbkę, a potem zaciska pięść na kawałku mięsa i nagle rzuca nim w okno. Wątróbka spływa na parapet, zostawiając na szybie czerwonobrązową smugę. Tomek wyciąga z lodówki słoiki, miski, talerze i ciska nimi o podłogę. Amelia wraca ze strzykawką. Szamocze się z synem. Nie trwa to długo, bo ma już wprawę. Bez wahania wbija strzykawkę w jego wątłe przedramię. Tomek uspokaja się i opada na matkę. Przechodzą przez kuchnię w pokracznym uścisku. Szkło chrupie pod podeszwami cienkich skórzanych kapci. Amelia sadza syna na krześle, a on wtula się w nią jak małe dziecko.

– Już dobrze. Dobrze. Tobie nikt nie zrobi krzywdy. Mama nie pozwoli. Trzeba zapomnieć już. Dobrze, już, cicho. Zrobię ci herbatki. Położysz się. – Głaszcze go po głowie i zakłada cienkie czarne włosy za uszy, starannie przyklepując wymykające się kosmyki.

***

Luks podnosi głowę z posłania. Opuszczam klapkę na wizjer i odchodzę od drzwi. W mieszkaniu jest tak cicho, że słyszę, jak klapka na wizjerze kołysze się jeszcze przez chwilę. Kładę się na podłodze. Luks obserwuje mnie brązowymi oczami.

W kieszeni wibruje telefon. Dzwoni mój agent, Łukasz Sosnowski. Waham się przez chwilę, ale odbieram.

– Cześć, Łukasz – mówię tonem, który ćwiczyłam latami: wyluzowanym, ale stanowczym.

– No cześć, to przemiłe, że w końcu odebrałaś. Kiedy wracasz? – Łukasz od razu przechodzi do rzeczy. Mówi bardzo szybko. Prawdopodobnie jednocześnie pisze trzy maile.

– Za kilka dni. A w ogóle co ty mówisz? Nie dzwoniłeś do mnie przecież…

– Dzwonię do ciebie od dwóch dni, ustawiłem sobie powiadomienie, co godzinę: „Zadzwonić do Mery”, więc sobie policz, ile to razy. A za kilka dni to będzie pozamiatane. Masz pojutrze ustawione spotkanie z producentami, szczegóły prześlę esemesem.

– Możesz przełożyć to spotkanie w razie czego?

– Nie, nie mogę. Słuchaj, Mery, ja wiem, że ty się teraz intensywnie kontaktujesz ze swoją rozpaczą, nie wiem, ile zostało ci na to środków na koncie, ale podejrzewam, że niezbyt wiele, więc nie przeginaj i wracaj jutro – mówi szybko Łukasz i rozłącza się bez pożegnania.

Zaglądam do szuflad toaletki z lustrem. Między pudełkami rzęs, tandetnych diamencików do twarzy i różnokolorowego brokatu leży krótka blond peruka z grzywką. Akcesoria Rity. Weronika wymyśliła sobie takie alter ego. Rita była kimś w rodzaju scenicznej osobowości, w którą Weronika wcielała się, by wszystko móc podnieść do rangi performansu i dzięki temu usprawiedliwić.

Zaczęło się od tego, że poznałyśmy Darka, barmana pracującego w jednej z knajp, które często odwiedzałyśmy. Zdradził nam kiedyś swój sekret. Występował w nocnym kabarecie jako drag queen. Od lat wcielał się w Samantę, ćmę barową, uwodzicielkę, Marlenę Dietrich, która zabłądziła w pedalskiej dzielnicy. W knajpie przy stoliku pod ścianą siedziała wtedy męska drużyna pływacka. To znaczy: tak wyglądali. Wszyscy byli blondynami, a kiedy podnosili kufle, ich muskularne ramiona naprężały się. Dyskretnie wskazał na nich głową i powiedział, że Samanta nie miałaby problemu z tym, żeby do nich podejść i zagadać, natomiast Darek chciałby, ale tego nie zrobi. Weronice zaświeciły się wtedy oczy i tak narodziła się Rita.

Peruka jest splątana i gdzieniegdzie przerzedzona. Jedno miejsce wygląda, jakby ktoś celowo wyrwał kępę włosów. Widocznie Weronika schowała Ritę do szuflady. Nie potrzebowała jej już, ani do dodawania sobie odwagi, ani do usprawiedliwiania swoich numerów. Mój ojciec często powtarzał, że „życie to nie teatr". W jego ustach nie brzmiało to jak przemyślane stwierdzenie, sformułowane po odrzuceniu wielu innych koncepcji. Raczej jak frazes akcentujący grożenie palcem. Weronice też to powtarzał. Szczególnie przy okazji naszych niedzielnych obiadków, w których często brała udział. Tam odgrywałyśmy spektakl „Grzeczne dziewczynki". Weronika w domu nie musiała odgrywać takiej roli, dlatego kiedy przychodziła do mojej matki po lekcję dobrych

manier, zawsze bawiła się świetnie. Nie traktowała poważnie tych wszystkich zasad, używania odpowiedniego widelca, prostowania pleców, pilnowania, by łokcie nie oparły się na stole. W duchu kpiła sobie z tej konwencjonalnej inscenizacji, choć trochę mi tego zazdrościła, podczas gdy ja wstydziłam się za moich nadętych rodziców. Opowiadałyśmy im o szkole i chłopcach, którzy w ogóle nas nie interesują, bo są zbyt wulgarni i nieokrzesani, co akurat – chyba jako jedyne podczas tego spektaklu – było prawdą. Rodzicie nie wiedzieli jednak, jaka jest dalsza część. Nie interesowali nas chłopcy w szkole, ale interesowali nas starsi mężczyźni. Tacy, którzy więcej wiedzą, nie mają buziek jak dzieci i mogą zrobić ci jakąś krzywdę.

Podobno dziewczynki w późniejszej fazie dzieciństwa interesują się końmi, by okiełznać rozbudzającą się w nich seksualność. Przeczytałam to kiedyś w jakiejś gazetce z poradami dla nastolatek. Młoda dziewczyna może mieć na przykład poczucie, że kontrolując tak silne zwierzę, kontroluje istotę płci męskiej czy też to, co wydaje jej się seksualną zwierzęcością w niej samej. Straszne bzdury. Podobno nieumożliwienie realizacji tej potrzeby może odbijać się później problemami również poza sferą seksualności.

Ja też chciałam jeździć konno. Ojciec mi nie pozwolił. Uważał, że jazda konna jest zbyt niebezpieczna. Kiedy ze zmęczenia bolą mnie już oczy, zrzucam wszystko na ojca. Tak jest najprościej. Nie widziałam go na cmentarzu. Nie przyszedł na pogrzeb. Zadzwonił do mnie kilka dni temu, ale nie odebrałam. Napisał esemesa: „Może porozmawiamy?”.

Przymierzam perukę Weroniki. Przyglądam się swojemu odbiciu. W ogóle to do mnie nie pasuje. W rogu lustra dostrzegam męską sylwetkę. Ściągam szybko perukę z głowy, jakby przyłapano mnie na zakazanej czynności.

– Drzwi były otwarte – usprawiedliwia się szybko Tomek.

– A nie mógł pan zapukać?

– Pukałem, ale przez te drzwi nic nie słychać, a dzwonek jest zepsuty – tłumaczy, ale wiem, że na pewno nie pukał. – Tomasz – przedstawia się i podaje mi rękę. Nie daję po sobie poznać, że wiem, jak się nazywa i kim jest. – Jestem synem właścicielki. Mam pani pomóc z rzeczami, jakby pani potrzebowała pomocy. Wynieść, zapakować, coś w tym stylu.

– Może zostawi pan numer?

– Będę w mieszkaniu. Rzadko wychodzę. Pójdę już. – Przez chwilę stoi w milczeniu, a potem szybko cofa się do wyjścia i znika na korytarzu.

Wstaję i zamykam drzwi na wszystkie zamki. Dwa razy przekręcam klucz, choć nigdy tego nie robię. Peruka leży koło lustra. Jeszcze przez chwilę badam dłońmi miękkość włosów, zanim schowam ją do szuflady. Teraz nagle ciekawi mnie, czy Weronika zakładała tę perukę i malowała się godzinami po to, żeby się podobać, czy po to, żeby się uzbroić przeciwko światu. W sumie – jedno nie wyklucza drugiego.

Idę wziąć prysznic. Myję całe ciało dokładnie, golę nogi i pachy maszynką Weroniki. Obcinam paznokcie u stóp i rąk. Wyrównuję pęsetą brwi. Robię peeling, nakładam maseczkę, siedzę na łóżku bez ruchu i czekam, aż całkiem zaschnie. Zmywam ją letnią wodą po dziesięciu minutach. Maluję usta brzoskwiniową szminką Weroniki, na rzęsy nakładam jej tusz, na policzki jej puder. Patrzę w lustro. Wyglądam całkiem ładnie, ale to pierwsze, mylne wrażenie. W moim spojrzeniu jest coś dziwnego. Przybliżam twarz do lustra, coś takiego niedobrego w tym spojrzeniu jest, nie wiem co. Jakiś mały szaleniec siedzi w moim oku i puka, jakby pukał w szybę. Chyba prosi, żeby go wypuścić. Nie. Siedź tam i bądź cicho. Mrugam szybko kilka razy, to nie pomaga, dalej widzę

coś, co mnie niepokoi. Poprawiam jeszcze raz makijaż i taka cała w barwach wojennych wychodzę.

9. Red Velvet

Jedna z mnóstwa takich samych kawiarni w tym mieście. Zimna i śmierdząca pleśnią. Cała ulica składa się z przyklejonych do siebie knajp, chodnika, na który się rzyga, zaparkowanych przy nim ciasno drogich samochodów, na które strzepuje się popiół z papierosów, i z wąskiego pasa asfaltu pośrodku, na którym można urządzić motocyklowy rajd od jednej przecznicy do drugiej.

Przy barze siedzi tylko typowy knajpiany dziadek. Przyklepuje tłustą zaczeskę i zabiera się do skręcania papierosa. W drugiej sali trwa coś w rodzaju wieczorku poetyckiego. Widzę Słonecznego. Siedzi na składanym krzesełku, trzyma na kolanach Nastolatkę. Na prowizorycznej scenie gruby, spocony mężczyzna dyszy do mikrofonu. Kilkanaście zebranych w sali osób wybucha co kilka sekund śmiechem. Dolatują do mnie fragmenty tekstu. Wiersz spoconego faceta jest o jeżach. Pewnie to jego specjalność, pisze tylko wiersze o jeżach i z tego słynie w okolicznych knajpach. Ktoś czasem rozpoznaje go w kawiarni i woła: „O, to ten, co pisze wiersze o jeżach" i zrzucają się na piwo dla niego. Jest jak małpka ubrana w żółty kubraczek, garbus, który przynosi szczęście, kiedy się go dotknie. Nie znam go, ale czuję, że moglibyśmy się polubić. Najlepiej dogaduję się z dziećmi, psami i z menelami. Wszystkich łączy to, że srają byle gdzie i nie traktuje się ich poważnie, raczej z pobłażaniem i litością, ale czasem robią coś śmiesznego, więc ludzie ich tolerują, czasem nawet lubią. Jestem już prawie jak oni.

Bruno ze znudzeniem czyści kufle za barem. Wygląda tak samo jak na zdjęciu, z tą różnicą, że nie jest nagi. Wysoki brodacz o muskularnej budowie. Długie, brązowe włosy wiąże w koński ogon nad szyją.

Dziadek przywołuje Brunona ruchem dłoni.

– Ty znałeś tę dziewczynę, co o niej piszą w gazetach? – Dziadek patrzy mu w oczy, płynnym ruchem języka śliniąc bletkę. Pewnie jest gejem.

– A czemu miałbym znać? – obrusza się Bruno, jakby pytanie dziadka było oskarżeniem.

– Barmani wszystkich znają… – Dziadek milknie na chwilę, ale szybko na nowo podejmuje temat. – Zdradzę ci taki sekret. Trzeba zdawać sobie sprawę, że wszystko, co się robi, prowadzi do śmierci, bo śmierć to cel życia.

Bruno śmieje się i wraca do czyszczenia kufli.

– Może się pan jeszcze napije? – pyta.

– Nie śmiej się głupkowato, tylko pomyśl. Jak już umrzesz, to zakładając istnienie duszy i tego całego życia pozagrobowego, co będzie dla ciebie najważniejsze? Moment śmierci. Jak to się stało? Umierasz naturalnie i ze starości, masz prostą sprawę, ale jak nie… – Dziadek przerywa i zapala papierosa.

– W środku nie wolno palić. – Bruno ostentacyjnie rozgania dym ręką.

Dziadek niechętnie zbiera się do wyjścia.

– Nowe czasy, nowe porządki. Nuda, mój drogi, nuda! W tym mieście można umrzeć z nudów. Od nudy i złego powietrza ludzie tutaj wariują. Żegnam oziębłe. – Zakłada kaszkiet, kłania się i wychodzi.

– I nie zapłacił – stwierdza Bruno i wraca do czyszczenia kufli.

Uśmiecham się do niego. Odpowiada mi takim samym pustym uśmiechem i zapala papierosa.

– Podobno nie wolno tu palić.

– Już wolno. Jak nie zamawiasz nic więcej, to zamykam.

– Zamykasz? Tam jest jeszcze jakaś imprezka – mówię i wskazuję głową na zgromadzonych w drugiej sali ludzi.

Teraz wiersz, w którym, z tego co słyszę, pojawiają się słowa takie jak miłość, krew i żyletka, czyta Nastolatka.

– Oni? Oni się nie liczą – mówi i macha ręką.

– Jaki masz rozmiar buta? – pytam nagle, a on uśmiecha się lekko.

– Czterdzieści sześć. Wiesz, co mówią o rozmiarach butów? – dodaje, licząc na to, że pociągnę temat, ale nie odpowiadam, więc zadaje pytanie: – Zamierzasz tu częściej przychodzić?

– Raczej nie.

– Tak myślałem. Nie ma się co dziwić, ale szkoda, dostałabyś zniżkę dla stałych klientów. Widziałaś. Pijesz i wychodzisz, bez płacenia. Tak to działa. Ja tu pracuję tylko chwilowo, tak w ogóle. Normalnie to jestem fotografem.

– Moja przyjaciółka chyba często tu bywała – mówię, ignorując całą jego wypowiedź.

– Milutko, to wpadnijcie razem. – Gasi papierosa w kuflu, który przed chwilą pucował.

Patrzę, jak żar na końcu peta dogasa. Pewnie za chwilę znowu zacznie szorować ten kufel. Chyba się denerwuje.

– Umarła ostatnio, w szpitalu, ale ktoś jej w tym pomógł – mówię i rzucam mu spojrzenie, które w zamierzeniu ma być wyzywające.

Bruno nie zastanawia się długo nad odpowiedzią.

– Ty też o tym… Jesteś z policji? – pyta kpiąco i dodaje po chwili. – Dziadka znam, on jest raczej niewspółpracujący z nikim, ale ty? Z policji jesteś?

– Słyszałam, że cię spławiła.

– Nie mam z tym nic wspólnego.

– To chyba możesz mi opowiedzieć, jak to z wami było?

Lustruje mnie spojrzeniem.

– Nie wyglądasz jak policjantka, raczej jak jakaś zdesperowana dziennikarka na stażu. Takich łysych nie przyjmują do policji.

– A ty nie wyglądasz jak psychol, który zostawia umierającą dziewczynę pod lasem. Ale może… – Wstaję i ostentacyjnie zbieram się do wyjścia.

– Dobra, czekaj. Nieważne, kim jesteś. Pewnie i tak jakąś dziennikarką. Jak nasmarujesz o mnie jakieś pierdoły, to przynajmniej będę mógł cię pozwać. I wygram. Nie mam z tym nic wspólnego. Znaliśmy się, stąd, z jakichś wernisaży i innych… spotkań. Zrobiłem jej raz sesję zdjęciową. Możesz obczaić w necie. Jak już chcesz wiedzieć, to wyruchałem ją wtedy – mówi i widzę, że wybór tego słowa sprawia mu przyjemność. – Zapraszałem ją do siebie jeszcze potem, ale odmawiała. Kiedyś się upiłem i zwyzywałem ją tu, o, przed tą knajpą. I tyle. Nie miałbym powodu. Spuściłem jej się do ryja i dała sobie włożyć w dupę, ale nic poza tym. Miałem potem z pięć takich lasek z wąskimi pizdami, które lubią, jak się je ostro jedzie. – Kiedy to mówi, pochyla się nad barem w moją stronę.

Patrzę na niego z obrzydzeniem, tak jak patrzy się na mokrą plamę po rozgniecionym robalu.

– Pewnie miała kogoś lepszego, co? – pytam oschle.

– Miała, ale nie wiem, czy lepszego. Stary, łysy, ale ustawiony. Obleśny typ, moim zdaniem. Płacił jej czynsz za to mieszkanko, inaczej musiałaby żyć w jakiejś norze z ćpunami. No, nie zarabiała za dużo na tych swoich obrazkach. Wszystko wydawała na chlanie i wiesz na co…

– No, na co?

– Na kasyna. Ze Słonecznym. Słonecznego znasz?

– Znam.

– No, to taka była z niej właśnie szmata. Ale ja jej nie zabiłem. Jak jesteś taka mądra, to pewnie wiesz, na jakie Weronika lubiła chodzić imprezki. Tam go chyba poznała. Nazywa się Daniel. Słoneczny też go zresztą zna.

Wyciągam jedno ze zdjęć.

– To on? – Pokazuję mu to, na którym widać łysego typa.

Bruno próbuje wyrwać mi zdjęcie. Chowam je szybko do kieszeni i zsuwam się z barowego stołka.

– No on, ale skąd ty masz takie zdjęcie? – pyta, podnosząc trochę głos.

– Znalazłam u Weroniki, ale ciebie nie ma na żadnym.

– Nie wierzę i nie podoba mi się to. Nie chce mi się już z tobą gadać – mówi i zabiera się do ponownego czyszczenia kufla, w którym zgasił papierosa.

Mnie też się to wszystko nie podoba. W sali obok dalej trwa kolektywne czytanie grafomanii. Nastolatka siedzi sama na składanym krzesełku. Słoneczny musiał się ulotnić, kiedy rozmawiałam z Brunonem. Pochylam się nad siedzącą w przejściu poetką po pięćdziesiątce. Kojarzę ją z dawnych lat, przede wszystkim z powodu jej nawyku dokarmiania bezdomnych kotów i Słonecznego.

– Dzień dobry, nie wie pani, gdzie on polazł? – pytam szeptem, a ona od razu wie, o kogo chodzi.

– Zagrać z losem – odpowiada w swoim stylu, ale wiem, o co chodzi. Wychodzę z kawiarni, nie żegnając się z Brunonem.

10. Nieważne

Weronika nie była przyjaciółką, z którą spędza się czas na niewinnych zabawach takich jak wspólne chodzenie na zakupy czy siedzenie w maseczkach przed telewizorem z miską popcornu. Nie chodziła do kina na modne filmy, nie umawiała się na randki z kolegami ze szkoły, nie pisała pamiętnika, nie lubiła plotek przy kawie. Wszystko ją nudziło. Obgryzała paznokcie do krwi i czytała książki najwyżej do połowy. Poznałyśmy się w dziwnych okolicznościach. Miałam piętnaście lat i siedziałam w kawiarni, do której na pewno by mnie nie wpuszczono, gdybym nie wyglądała o kilka lat dojrzalej. Zobaczyłam ją tam, jako śliczną, szczupłą blondynkę pokazującą cycki pijanym niemieckim turystom. Dostała dwadzieścia euro i śmiejąc się, uciekła z kawiarni. To było niesamowite. Pobiegłam za nią. Potem nie zdarzało mi się już zawierać przyjaźni w podobnych sytuacjach. Może Słoneczny był wyjątkiem, ale on nie był nigdy moim przyjacielem. Szłam za nią kilkaset metrów, zanim się zorientowała, że ktoś ją śledzi. Usiadłyśmy na ławce w parku. Pamiętam, jak rzeczowym tonem opowiadała mi o swoim dziwnym hobby. Niemieccy turyści byli hałaśliwi, ale też powolni i zupełnie nieszkodliwi. Mieli mnóstwo pieniędzy. Właściwie dopiero zaczęli masowo odwiedzać nasze miasto. Anglicy i Hiszpanie pojawili się znacznie później.

Obie miałyśmy dziwną przypadłość. Budziłyśmy się nad ranem, zawstydzone tym, że całą noc śniłyśmy o chodzeniu nago po mieście, o obcych, bezosobowych dłoniach przesuwających się po naszych ciałach.

Ja w rzeczywistości nigdy nie odważyłabym się jednak na zbyt wiele. Na coś, co mogłoby zostawić we mnie jakikolwiek ślad. Weronika kilka razy namówiła mnie do udziału w swojej zabawie. Przysiadałyśmy się do stolików i zaczynałyśmy rozmowę w ryzykownej mieszaninie polskiego, angielskiego i niemieckiego. Nie chciałyśmy pić z nimi alkoholu, nie chciałyśmy iść w żadne ustronne miejsca. Proponowałyśmy transakcję, realizowałyśmy ją i kiedy oni czekali na więcej, ściskając sobie fiuty w gaciach, nas już nie było w kawiarni. Tylko raz przydarzyło się coś nieprzyjemnego, nie licząc tych sytuacji, kiedy barmani wyrzucali nas z knajpy, wyzywając od dziwek. Raz jeden z grubych, wąsatych Hansów nagle uderzył mnie w twarz. Był pijany i nie czuł ciężaru swoich rąk. Zachwiałam się. Trwało to może ułamek sekundy. Weronika chwyciła kufel i rozbiła go na głowie Niemca. Uciekłyśmy. Biegłyśmy przez kilka ulic. Zdyszane zatrzymałyśmy się w jakiejś bramie. Płakałam, a ona obiecywała mi, że z tym skończy.

Szukam kasyna. Znajduję je wciśnięte w róg placu w pobliżu Red Velvet. Jest ukryte w bramie, wchodzi się tam po kilku schodkach. Przed wejściem siwy mężczyzna pali tanie, śmierdzące papierosy, a może to drogie papierosy, ale i tak pachną mechanikiem, taksówkarzem albo murarzem – facetem, który odgryza filtr i wypluwa go na chodnik. Nie widzę, czy obrzuca mnie podejrzliwym spojrzeniem. Szybko popycham drzwi. W środku ciemność rozjaśniają tylko żółte i niebieskie punktowe światła. Nie wiem, które z nich oznacza wygraną. Jest już późno, ale to środek tygodnia, więc stoły są puste, przy maszynach siedzą tylko ci, którzy muszą tu być. Łapię spojrzenie kobiety po pięćdziesiątce. Znowu wypadły tylko dwie cytryny. Pomarszczonymi dłońmi wygrzebuje drobne z kieszeni swetra w srakowatym kolorze, brązowy kaszkiet przekrzywia się na jej głowie. Cała jest srakowata i obrośnięta pleśnią jak stara

cytryna. Przypomina mi moją matkę. Mogłabym ją stąd zabrać – na lody albo na spacer po parku, albo do kina, na film, którym będzie zdegustowana. Jest też tak samo, jak moja matka, nerwowa.

– Witam panią. Mogę prosić o dowód osobisty? – pyta uprzejmie krupierka zza ekranu komputera. To jak rejestracja w poczekalni u lekarza.

Mam na dowodzie zdjęcie jeszcze z czasów liceum, ale data urodzenia się zgadza. Jestem pełnoletnia i mogę tu przebywać.

– Pani pierwszy raz u nas – stwierdza i zabiera się do wypełniania formularza.

Przyglądam się innym pacjentom i na razie nigdzie nie widzę Słonecznego. Starszy mężczyzna po drugiej stronie sali przygląda mi się z zaciekawieniem. Paląc papierosa przy specjalnej, przeznaczonej do tego wysepce, mruczy coś pod nosem, jakby dodawał sobie otuchy, a jego głowę i ramię co kilka sekund przyciąga do siebie nerwowy tik. Ja mogę stąd wyjść, on nie. Wyjdę stąd i za rogiem będzie inny świat, będzie knajpa z francuskim pieczywem i pomarańczowym dżemem. Jeszcze mogę przemieszczać się między światami, żaden mnie nie połknął.

– Jako nowej klientce przysługuje pani powitalny drink.

Krupierka oddaje mi dowód. Nie jest na szczęście nachalnie uprzejma, jak ekspedientki w sklepach odzieżowych.

Podchodzę do baru i zamawiam colę z rumem. Bar oświetlają niebieskie światła, więc może to jest kolor zwycięstwa. W kieszeni wibruje telefon. Łukasz Sosnowski. Odrzucam połączenie i nie czytam tych kilkunastu esemesów, które wysłał mi od ostatniej rozmowy.

– Kochana! – Słyszę głos i nie udaje mi się uniknąć pocałunku w policzek.

Słoneczny mówi to jedno słowo tak, jakby to miejsce należało do niego, jakby to było Las Vegas i jakby kawa tutaj wcale nie była darmowa i paskudna. I przez chwilę, dzięki niemu, nawet w to wierzę. Z niechęcią patrzę jednak, jak zapala papierosa przy wysepce, którą przed chwilą opuścił mężczyzna z tikiem. Ciekawe, która z jego dziewczyn podarowała mu niebieskie gauloisesy, papierosy pachnące wolnością. Na pewno nie ta Nastolatka. Ta naiwna dziewczyna musiała być podobna do mnie sprzed kilku lat. Też kiedyś takie ode mnie dostał, miesiąc po tym, jak się poznaliśmy. Wysłałam mu je razem z listem w zastępstwie spotkania. Pensjonarskie zabawy.

– Ten Bruno to jakiś zwykły skurwiel. Zaraz stąd spadam i tak.

– Poczekaj na mnie. Ja też przecież tu nie zostaję.

Pali szybko, a wolną ręką wprowadza w swoich jasnych włosach jeszcze większy chaos. Ma rozbiegane spojrzenie. Coś wyprowadziło go z równowagi, jest roztrzęsiony, ale często sprawia takie wrażenie, więc może to nie ma znaczenia. Nie pyta mnie nawet, dlaczego tu za nim przyszłam i skąd wiedziałam, że tu będzie. To akurat w nim lubię.

– Ile już przegrałeś?

– Dlaczego zakładasz, że przegrałem? – pyta i uśmiecha się, ale odwraca wzrok. – Wygrałem trzysta złotych. Wcześniej wprawdzie przegrałem osiemset, ale za godzinę się odkuję – mówi i podaje mi wyciągnięty z kieszeni stuzłotowy banknot.

– Nie musisz oddawać, jeśli nie masz teraz kasy – mówię i od razu tego żałuję, bo przecież on nigdy nie ma pieniędzy. Stan jego konta zawsze wynosi minus osiemnaście złotych.

Pochyla się w moją stronę i pociąga przez słomkę łyk mojego drinka.

– Dobre.

Uśmiecha się szeroko i kiwa głową radośnie, jakby prowokacyjnie mówił: „No, co mi jeszcze powiesz ciekawego, dawaj, nic mi to nie robi". Uśmiecham się. Przyglądamy się sobie badawczo przez chwilę. Gasi papierosa. Krupier zza pustego stołu do pokera zerka na nas z zaciekawieniem. Spokojnie, nie jestem jego dziewczyną, która przyszła tu zrobić awanturę.

– Spróbuję jeszcze tylko jeden raz. Przyniesiesz mi szczęście. Jeszcze raz, a potem razem stąd wyjdziemy – mówi i nie czeka na moją odpowiedź.

Mija dziadka z tikami, który wrócił do wysepki zapalić kolejnego papierosa, i zajmuje miejsce przy stole do ruletki. Zaznacza pola, strefy, kolory na małym ekranie.

Pytam go, czy ma jakiś system i skąd wie, na co postawić. Z poważną miną zaczyna mi więc tłumaczyć swoją taktykę. W pewnym momencie, na potwierdzenie tych słów, wyciąga z torby grubą książkę zatytułowaną *Jak odnieść sukces w ruletce?*. Odmierza coś dłonią, jakby wyznaczał kurs na morzu, i mruży oczy. Odprawia magiczne rytuały, które mają przeciągnąć szczęście na jego stronę.

– Znasz tych ludzi? – pytam i obrzucam wzrokiem emerytów przy maszynach.

– Jasne. Są tu ciągle. Żyją z tego – odpowiada z przekonaniem.

– Wiesz, że będziesz jak oni? Kompletnie szalony.

Czasem nie mogę się powstrzymać od złośliwości. Uśmiecha się do mnie z politowaniem. Opuszczam wzrok i przyglądam się jego butom, ale – z tego, co pamiętam – Słoneczny nosi duży rozmiar, na pewno większy niż czterdzieści. Kulka wiruje po czarno-czerwonym kole. Trzeba przyznać, że ta gra wygląda szatańsko. Ćwiartka taka a taka, sukces, porażka, szybka śmierć, bolesna śmierć. Możesz postawić

wszystko na sukces, możesz postawić na porażkę. Ale lepiej stawiać po równo. Przynajmniej nie zostaniesz z niczym. Kulka zatrzymuje się na jednym z czerwonych pól.

– Wygrałeś czy przegrałeś?

– No, przegrałem – mówi, po chwili podrywa się i nerwowym ruchem zakłada płaszcz. – Dobra, idziemy stąd.

Nie wiem, ile przegrał, ale nie pytam o to. W tym wszystkim jest coś bardzo pociągającego. Znasz przecież finał scenariusza, ale dalej grasz. Na końcu, za każdym razem, przegrywasz wszystko, ale przecież nie chodzi o zwycięstwo, tylko o moment, gdy kulka wiruje po kole i każde zakończenie jest jeszcze możliwe. Wszystko jest dziełem przypadku. Reszta to jego konsekwencje, którym próbuje się nadać celowość i znaczenie albo odwrócić ich bieg, co zwykle się nie udaje. Krupierka nie mówi nam: „Do widzenia". Rozbłysk mdłego światła latarni na zewnątrz jest jak sygnał rozpoczęcia podróży między światami. Mróz szczypie w policzki. Słoneczny, wciąż zirytowany, wyciąga papierosa. Nie może go odpalić, zapalniczka pstryka i pstryka, a on coraz bardziej się denerwuje.

– Dlaczego nie powiedziałeś mi o tym kochanku Weroniki? Był na zdjęciach.

– Daniel jest w porządku. Pytałaś mnie o podejrzanych.

– Każdy jest podejrzany. Ty też. Ten Bruno to zwykły idiota, gadanie z nim to strata czasu. Dlaczego nie powiedziałeś mi o Danielu?

– Bo jemu teraz też jest ciężko. Nie zawracaj mu dupy – mówi i drapie się kompulsywnie po kilkudniowym zaroście na brodzie.

– Daj mi jego numer – mówię i podaję mu swoją zapalniczkę.

– Dobra. Tylko nie mów, że masz go ode mnie. – Wyciąga telefon, żeby przesłać wizytówkę.

Chowa telefon do kieszeni, a ja sprawdzam, czy wiadomość dotarła. Robi się coraz zimniej, a Słoneczny nie rusza się z miejsca i zapala kolejnego papierosa. Nie wiem, na co czeka.

– Weronika miała mnóstwo problemów – zagajam na nowo.

– To znaczy? – pyta, wydmuchując na mnie dym.

– Z pieniędzmi, alkoholem i z hazardem.

– To tak jak ja. A moim zdaniem radzę sobie całkiem nieźle. Jeszcze żyję – odpowiada i wybucha śmiechem. Szybko milknie i dodaje zmieszany: – Sorry. To akurat było niesmaczne.

– Ona kiedyś nie była taka…

Po moich słowach Słoneczny nagle zupełnie poważnieje.

– Kiedy taka nie była? Kiedy? Kiedy ją tu zostawiłaś? Dla ładnego mieszkanka i kasy gdzie indziej? Myślisz, że możesz wszystkim przyklejać łatki, co? Tak robisz w tych twoich dennych filmach i to jest żałosne.

– Nawet nie widziałeś mojego filmu… – mówię i widzę, że bawi go ta uraza w moim głosie, której zresztą się wstydzę.

– Widziałem, poszedłem na ten festiwal dla hipsterów w maju. Najgorsze gówno, jakie obejrzałem w życiu. Estetycznie i etycznie złe. Gówno pod każdym względem.

– Nie zostawiłam jej. Nie chciała ze mną wyjechać. – Zmieniam temat.

Papieros Słonecznego już się wypalił. To jest taka sytuacja, kiedy każde z nas powinno pójść w swoją stronę i naprawdę nie wiem, dlaczego dalej stoję na środku ulicy, choć chce mi się już rzygać od tej rozmowy.

– Mnie też ciebie brakowało, ale może przez miesiąc, nie dłużej. Teraz, widzisz, to jest już zupełnie nieważne – ostatnie słowa mówi bez

cienia żalu czy sentymentu.

Wiem, że naprawdę tak myśli. Nie ma między nami nic, co boli, co mogłoby się wydawać nierozwiązaną sprawą. To nieważne i tyle. Nie odpowiadam i czekam, aż sam sobie pójdzie.

– Wiesz co, śpieszę się. Właściwie nie wiem, po co tu przylazłaś. Idę już. Cześć. Trzymaj się. – Podchodzi do mnie i całuje mnie w czoło.

Krzywię się na ten nieadekwatny gest. Odchodzi szybko, przecina plac na ukos i znika w bocznej uliczce.

11. Daniel

Naprzeciwko Daniela siedzi jego żona – Kinga, elegancka blondynka z krótką, starannie ułożoną fryzurą. Przy stole siedzą jeszcze dzieci, ustawione jak pionki na szachownicy między królem a królową. Na oko trzyletni chłopiec i dwoje nastolatków, dziewczynka i chłopak. Najmłodsze z nich bada łyżką ruszające się mleczaki. Matka rzuca mu gniewne spojrzenia. Wszyscy straciliby przecież apetyt, gdyby nagle do jednego z talerzy wpadł mały zakrwawiony ząbek.

Koncentrują się na jedzeniu zupy pomidorowej, jakby czuli, że trzeba to zrobić jak najszybciej i ewakuować się ze wspólnej przestrzeni. W kompletnej ciszy słychać tylko mlaskanie, ciche siorbnięcia i szczęk łyżek uderzających o brzegi talerzy. Nagle w kieszeni spodni Daniela zaczyna wibrować telefon. Daniel wyciąga go, widzi nieznany numer i wraca do jedzenia. Telefon znowu się odzywa. Za trzecim razem Daniel wychodzi odebrać na balkonie.

– Słucham? – mówi zdenerwowany. Nie ma teraz ochoty na rozmowy z nieznanymi numerami.

– Cześć.

– Kto mówi? – pyta, zdezorientowany.

– Znalazłam twoje ogłoszenie na portalu. Też lubię takie ostre klimaty.

– Nie podaję numeru na portalach.

– Powiem ci, skąd mam twój numer, jak się spotkamy.

– Nie spotkamy się, bo ja już się w to nie bawię. Proszę do mnie nie dzwonić.

– A co się stało? Może masz żałobę?

To pytanie wytrąca go z równowagi.

– Słuchaj, dziewczyno, nie wiem, kim jesteś…

– Jestem przyjaciółką Weroniki. Jeszcze nic nie powiedziałam policji.

– A co miałabyś powiedzieć policji? – pyta, jakby rozbawiony, ale można w jego głosie wyczuć zdenerwowanie.

– Spotkajmy się dzisiaj w Ambasadzie.

– W jakiej ambasadzie?

– To taka kawiarnia, Ambasada. Dzisiaj o 15.00, czyli za godzinę.

Otwierają się drzwi balkonowe. Kinga wystawia przez nie głowę. To oczywiste, że wszystko słyszała.

– Zupa ci wystygła – mówi, ale ostatnią sylabę zagłusza trzask drzwi balkonowych, które wyrywa jej podmuch wiatru.

Daniel wraca do pokoju. W jadalni nie ma już dzieci. Żona siedzi przy stole. Daniel wyciąga z szuflady papierosy i długą zapalniczkę do rozpalania ognia w kominku, innej nie ma. Bez słowa wraca na balkon. Kinga podrywa się i wychodzi za nim. Okrywa się białym, rozpinanym sweterkiem. Wygląda, jakby zbijała się we wściekłą, mówiącą bryłę.

– Dlaczego palisz? – pyta i z niesmakiem patrzy, jak Daniel zaciąga się papierosem.

– Dzwonili z pracy, jest nerwowa sytuacja z tym…

– Nerwowa sytuacja – wchodzi mu w słowo. – Pracujesz w urzędzie! Jakie tam możesz mieć nerwowe sytuacje?! Z kim naprawdę rozmawiałeś?

– Nie masz o niczym pojęcia. – Daniel odwraca się od niej i zawiesza wzrok gdzieś ponad blokami.

– Nie chcesz mi powiedzieć prawdy! Myślisz, że jestem aż tak głupia? Te przesłuchania, policja. Piszą o niej w gazetach!

– Przecież wiesz, że nic nie zrobiłem… – odpowiada twardo Daniel. Nie ma już odwagi się zaciągnąć, papieros sam dopala się na wietrze.

– Miałeś z nią romans. Przecież wiem. I to wszystko twoja wina. Wszystko! Rozumiesz, co mówię? Całe to gówno, w którym od dawna siedzimy – mówi, starając się nie podnosić głosu.

Podchodzi do niego. Chce rzucić mu w twarz kolejne słowa, powiedzieć je tak, żeby zabolały, chociaż wie, że nie ma już takiej mocy. Nie ma już nic, co mogłaby powiedzieć, żeby zrobić mu jakąkolwiek krzywdę.

– Nie zabiłem jej przecież… – mówi Daniel.

– Jesteś tchórzliwym sukinsynem… Nawet nie masz odwagi… – cedzi przez zęby Kinga i siłą wyjmuje mu z palców papierosa. Wyrzuca go przez balkon, na trawnik i wraca do mieszkania, trzaskając drzwiami.

Niczego nie można już odwrócić. Niczego nie można już zrobić tak, żeby ta kobieta nie cierpiała, i nic nie można zrobić z tym, że jej cierpienie nie wywołuje w nim żadnych emocji. Może tylko bezradną złość i tyle. Wraca do salonu. Kinga zbiera talerze ze stołu. Daniel podchodzi do drzwi i zaczyna zakładać buty.

– Co ty robisz? – pyta go z niedowierzaniem. Przegrała. Znowu.

– Muszę iść – odpowiada Daniel i zdejmuje płaszcz z wieszaka.

Kinga obserwuje go przez chwilę i nagle ciska stertą talerzy o podłogę. Dzieci wystawiają głowy z pokoju. Daniel wymienia z żoną gniewne spojrzenia i wychodzi, trzaskając drzwiami.

– Na co się gapicie!? Do pokoju! – wrzeszczy na dzieci Kinga.

Nie potrzebuje świadków porażki. Dzieci uciekają, a ona kuca i zbiera szczątki talerzy. Wypadają jej z rąk. Płacze i odrzuca ze złością połamaną skorupę, raniąc sobie przy tym dłoń. Potnie sobie ją do krwi, żeby widział, żeby chociaż zapytał: „Co ci się stało?", kiedy wróci, jeśli w ogóle wróci. Mógłby nie wrócić. Co wtedy? To będzie koniec? Nie. Koniec będzie trwał jeszcze wiele lat. Myśli o tym, obracając w dłoniach odłamek talerza. Za kilka lat ona zadzwoni do niego, żeby przyjechał obrać jej ziemniaki, bo nie będzie w stanie utrzymać noża. On przyjedzie i zrobi to za nią. Woda będzie bulgotać w garnku, a oni będą w milczeniu siedzieć przy stole. Wymyślą coś głupiego, że można wszystko uratować, że zaczną od początku, i potem będą kolejne lata końca. Bierze kawałek skorupy i przejeżdża nim po wierzchu dłoni. Krew kapie z rany na dywan. Na piękny kremowy dywan z prawdziwej wełny. Daniel nie wróci dziś na noc. Rano rozcięcie na dłoni będzie już właściwie wyglądać na delikatne zranienie, a dywan trzeba będzie w końcu zaprać, chociaż i tak zostanie plama.

12. Znowu Ambasada

Siedzę przy barze. Denerwuję się. Wyciągam telefon. Wpisuję w wyszukiwarce: „Bruno Kamieński Weronika Podolska fotografia". Pierwszy wynik to sesja dla jakiegoś magazynu modowego. Weronika w mocnym, wieczorowym makijażu. Czarna, obcisła sukienka, rozchylone, czerwone usta, włosy w nieładzie, jakby przed chwilą wyszła z łóżka. Zrobił jej te kiczowate zdjęcia, a potem ją zerżnął.

Daniel wchodzi do kawiarni. Od razu go rozpoznaję. Ma na sobie długi brązowy płaszcz. Wygląda jak urzędnik, stateczny mężczyzna w średnim wieku. Rozgląda się, lustruje wzrokiem siedzące przy stolikach kobiety. Tylko ja jestem sama. Nieostrożnie łapię jego spojrzenie. Mierzymy się wzrokiem. Ten nienaturalnie przeciągnięty ułamek sekundy wystarcza, żeby Daniel się poddał i nagle, szybko ruszył do drzwi. Wychodzi z kawiarni, a ja zrywam się, zostawiam trochę pieniędzy na ladzie i pędzę za nim. Daniel idzie przed siebie, nie ogląda się. Mogłabym go bez trudu dogonić, ale coś mnie powstrzymuje. Nie ucieka, po prostu wyszedł z kawiarni i szybkim krokiem oddala się zatłoczoną ulicą. Przechodzimy przez skrzyżowanie. Tramwaj głośno trąbi. Nagle Daniel wpada na uliczną kwiaciarkę i przewraca wiadra z ciętymi różami. Podbiegam i pomagam jej zbierać kwiaty z bruku.

– Trzeba patrzeć, jak się chodzi! – histeryzuje kwiaciarka. – Wie pan, ile to pieniędzy?!

Daniel próbuje naprawić połamaną łodygę, jakby dało się ją po prostu złożyć i z powrotem umieścić w wiaderku. Róża wypada mu z rąk i kiedy

Daniel schyla się, żeby ją podnieść, wywraca kolejne wiadro.

– Przepraszam, bardzo panią przepraszam – tłumaczy, a ja podnoszę wiadro.

Woda spływa w dół ulicy.

– Nie przepraszać, tylko płacić! – wrzeszczy kwiaciarka i ze złością zbiera sponiewierane kwiaty.

Daniel wyciąga zmięte banknoty z kieszeni, wpycha kobiecie do ręki i odchodzi kawałek, ledwo trzymając się na nogach. Idę za nim. Gwałtownie łapie oddech. Drży cały, chowa ręce do kieszeni. Podchodzę do niego. Opiera się na moim ramieniu, jakby za chwilę miał upaść, i wybucha płaczem. Przechodzący ludzie omijają nas. Nie przyglądają się, ale po prostu zmieniają tor drogi, tak żeby ta dziwaczna scena zniknęła z zasięgu ich wzroku.

13. Ambasada ostatni raz

Daniel siedzi skulony przy stoliku. Stawiam przed nim szklankę wody. Kiwa głową w podziękowaniu.

– Wiem, co sobie myślisz, bo tak uciekłem, ale policja mnie już przesłuchiwała. Ja już nie wytrzymuję. Kochałem ją, naprawdę.

– I właśnie dlatego to zrobiłeś.

– Nie zrobiłem… Mam alibi. Byłem wtedy na nartach z żoną i dziećmi. Ale nawet gdybym nie miał alibi… Kochałem Weronikę, ale nie mogłem zostawić żony. Ona teraz wszystkiego się domyśla. Pyta mnie codziennie, kim była dla mnie ta dziewczyna, ale i tak wszystko już wie. Widzi, co się ze mną dzieję. Będę musiał wyprowadzić się z domu. A jej już nie ma… Ona nie chciała, żebym odchodził od rodziny… – mówi i znowu płacze.

Nie wiem, co zrobić z płaczącym mężczyzną. Tylko dwa razy – poza teatrem – widziałam płaczącego mężczyznę. Oni zawsze się z tym kryją. Za pierwszym razem to był mój ojciec, za drugim Słoneczny. Łzy nie wskazują na niewinność. Płacz to manipulacja. Nieważne, czy kobiecy czy męski. Zawsze jest możliwość, żeby powstrzymać się przez tych kilka sekund potrzebnych na wczołganie do jakiejś kryjówki.

– Wszyscy mówicie to samo. Wszyscy mają alibi, ale ktoś to przecież zrobił! Zaplanował i zrobił. Dlaczego nie zgłosiłeś zaginięcia?

– Nie wiedziałem, że coś jej się stało.

– Jak to?!

Nie wierzę mu, ale wiem też, że każdy absurd może mieć uzasadnienie. W kieszeni kurtki wibruje telefon. Od razu go wyłączam, gdy widzę, że to Łukasz Sosnowski.

– Jej numer się odzywał. Przez cały czas skurwysyn wysyłał mi esemesy, podszywał się pod nią. Wymyślił, że wyjechała do Norwegii na plener malarski. Uwierzyłem. Ona taka była, znikała nagle, nie odzywała się.

– Na plener do Norwegii?

– Tak, chyba miała to w planach, ale nie tak nagle. Byłem zdziwiony, ale uwierzyłem. Jak sobie pomyślę o tym, że przez te wszystkie dni rozmawiałem nie z nią, tylko z tym człowiekiem, który…

Daniel przeciera oczy i znowu ukrywa twarz w dłoniach. Obserwuję go uważnie. Kiedy tak siedzi skulony na krześle, przypomina mi ojca. Kurczy się w sobie, jakby zbierał energię. Widziałam go takim tylko raz, kiedy płakał, a ja mówiłam mu, że jest dla mnie nikim. Przypomina mi też Słonecznego, kiedy zimą, w nocy na przystanku autobusowym wyrzucałam mu, że ciągle udaje, że w niczym, co robi, nie ma prawdy. Że jest sztuczny. To ostatnie zabolało go najbardziej. Daniel dalej płacze, a ja nie wiem, co zrobić. On bardziej jednak przypomina mi ojca. Muszę go odwiedzić. Pewnie leży teraz w łóżku i śpi przy małej lampce, która zmienia kolory. Kiedy mówi, je albo się śmieje, jest jeszcze mniejszy, niż kiedy milczy, jakby z każdym otwarciem ust coś z niego uciekało. Telefon wibruje w kieszeni kurtki. Esemes od „Eryka Scenarzysty": „Cześć, dalej masz ten sam adres mailowy? Przesłałem ci mój scenariusz, daj znać, to wyskoczymy na jakieś piwko". Przez chwilę patrzę bezmyślnie w ekran. Daniel głośno pociąga nosem.

– Byłyśmy kiedyś bardzo blisko – mówię, wypijam wodę z jego szklanki i przecieram oczy. – To była moja jedyna przyjaciółka. Nie wiem,

co ja tu właściwie robię.

Do sali wchodzi barman z tacą, na której stoją dwa kieliszki wódki. Stawia je przed nami na stoliku.

– Na koszt firmy – mówi i wychodzi, uśmiechając się ze zrozumieniem.

Daniel przysuwa do siebie jeden kieliszek.

– Chyba zwymiotuję…

– Myślałeś o tym, że chciałbyś go… Chciałbyś jego śmierci? – pytam i wypijam całość jednym haustem.

Daniel upija trochę i zaczyna kaszleć.

– Mam takie myśli. Ale mamy przecież policję i sądy… Znajdą go i zgnije w więzieniu – mówi i z trudem przełyka zawartość kieliszka. – To taka jakby stypa… – mówi, patrząc mi nagle w oczy.

– Stypa jest po to, żeby się wspólnie zgodzić na czyjąś śmierć. A na to, co się stało, ja się nie zgadzam! – mówię wściekła i wstaję od stolika. Idę do baru i wracam z kolejną porcją wódki.

14. Noc

Pniemy się po schodach i coraz bardziej zbiera mi się na mdłości. Alkohol przelewa się w żołądku. Schodów jest za dużo. Nie robić hałasu. To jest cel. Nie robić hałasu i wejść na górę. W takich miejscach nie wolno nawet mówić za głośno. Trzeba w ciszy wyć w poduszkę, a krew wylewa się nocą do toalety. Spłuczka zagłusza odkręcony od kilku godzin kran. Kran zagłusza spłuczkę. Żyletki wkłada się w czerstwy chleb i wyrzuca na śmietnik. Niech ktoś inny się nimi udławi. Nie wolno tu robić hałasu. Ludzie żyją na kupie w ciszy mrowiska. Nie można im zakłócać spokoju odgłosami swojego życia. Próbuję włączyć światło na klatce. Nie działa. Daniel siada na schodach. Uchylają się drzwi zaniepokojonych sąsiadów i na schody padają wąskie strużki światła. Przekroczyliśmy dopuszczalną normę hałasu. Mogliby przynajmniej stanąć w drzwiach w pełnej okazałości swoich szlafroków i kapci. Nawet rzucić kilka przekleństw. Wpuściliby przynajmniej więcej światła i byłoby wiadomo, w którą stronę można zrobić krok.

– No, rusz się – mówię i próbuję postawić Daniela na nogi.

– Zabiję się na tych schodach. – Ścisza głos, dając do zrozumienia, że mówię za głośno.

Zostawiam go i idę na górę. Staruch z pchającym się między nogami małym, czarnym pieskiem piorunuje mnie wzrokiem przez szparę w drzwiach. Łypią na mnie trojgiem oczu – staruch jednym, piesek dwoma. Wchodzę do mieszkania Weroniki. Wszędzie leżą podarte

ubrania, wyciągnięte szuflady, rozrzucone papiery, zniszczone obrazy. Siadam na podłodze koło kanapy. Daniel wtacza się do środka.

– Był tutaj – mówię, próbując skupić się na działaniach, które trzeba teraz wykonać.

Daniel nerwowo chodzi po mieszkaniu. Otrząsam się z tej galarety, która mnie oblepia.

– Niczego nie dotykaj! – wołam i wyciągam telefon.

– Luks, Luks! – krzyczy w sypialni.

Wraca, a ja dalej siedzę koło kanapy i trzymam przy uchu telefon. Daniel chce coś powiedzieć, ale uciszam go gestem.

– Chciałam zgłosić włamanie do mieszkania Weroniki Podolskiej – mówię do dyspozytorki.

Docierają do mnie strzępki jej słów. Niczego nie dotykać. Wyjść z mieszkania do przyjazdu policji. Kiedy kończy mówić, odkładam telefon na podłogę.

Daniel siada obok mnie.

– Nie ma psa – mówi.

15. Dla Matyldy

Prokurator przysypia na kanapie, trzymając w dłoni szklankę brandy. Ciemność małego mieszkanka rozświetla tylko włączony telewizor. W jakimś programie typu „nocne pasmo konesera" pokazują *Psychozę*. Właśnie zaczyna się scena, w której Lila Crane schodzi do piwnicy i znajduje tam wyschnięte zwłoki pani Bates. Za chwilę zjawi się Norman Bates i spróbuje zabić kobietę. To sytuacja z kategorii znaków, które powinny prowadzić do nagłego olśnienia. Ale prokurator walczy z sennością i nie czyta żadnych znaków. Odrobina brandy oblewa rozłożone na kanapie akta. Budzi go hałas. U sąsiadów piętro wyżej coś upadło.

Małe mieszkanko prokuratora należy do tych, w których słyszy się każdy dźwięk płynący zza ścian. Skrzypienie drewnianej podłogi w rogu pokoju przeraża, dopóki człowiek się nie przyzwyczai, że odgłos dochodzi z mieszkania sąsiadów. Nieustannie słyszy się tu kroki dobiegające zza ściany i stukanie talerzy, i dźwięki te są tak wyraźne, że ma się wrażenie, że ktoś obcy krząta się po naszej kuchni. Ale można się przyzwyczaić, jak do wszystkiego.

Prokurator wie, że już nie zaśnie. Wyjmuje z szuflady magnetofon i wkłada kasetę.

– Dzisiaj mieliśmy piękny dzień, ale dalej łzawią mi oczy. Krople z apteki nie pomagają. Okłady z rumianku też nie. Muszę pójść do lekarza, ale nie wiem kiedy. Mamy mnóstwo pracy ze sprawą Weroniki. Media oczekują od nas głowy mordercy. Powiedz, co u ciebie. – Lustruje

spojrzeniem plamy na ścianie po rozbitej kilka tygodni temu butelce brandy. – Trzeba będzie w końcu podmalować ścianę. Odwiedzę cię w tym tygodniu.

Dzwonek służbowego telefonu. Wyłącza magnetofon. Na ekranie nazwisko asystentki, Karoliny Kłos. Nienawidzi tych głupich, młodych cip z prawniczych rodzin, które wszystko mają od dziecka podane na tacy.

– Słucham… Cooo? Kurwa mać, będę za pięć minut! – Spogląda na opróżnioną do połowy butelkę. – Maksymalnie za piętnaście.

Zgarnia z komody kluczyki do samochodu i wychodzi, trzaskając drzwiami. Cała kamienica podrywa się ze snu.

16. *Lotus Flower*

Pod oknami kamienicy stoi radiowóz. Tomek obserwuje go zza firanki. Ta bariera – firanka, szyba i kilka pięter odległości – daje mu poczucie bezpieczeństwa. Wyciąga z szuflady biurka lek na kaszel. Thiocodin to właściwie czysta kodeina. Z listka wyciska do szklanki dokładnie dwadzieścia tabletek. To wystarczająca dawka. Rozkrusza je skrupulatnie małym kuchennym moździerzem do przypraw. Zalewa rozkruszone tabletki gazowaną wodą z plastykowej butelki. Nie trzeba odsączać paracetamolu z roztworu. Wystarczy odczekać chwilę i można pić bez żadnej wstępnej obróbki. Gorzki smak już mu nie przeszkadza. Właściwie to nawet go lubi. Wystarczają dwie minuty i Tomek czuje już pierwsze oznaki działania. Obraz się rozmazuje, a barwy nabierają jaskrawych odcieni. Podchodzi do okna. Radiowóz otacza delikatna poświata. Jakby śnił. Uśmiecha się. Odprężenie, spokój, rozluźnienie mięśni. Włącza muzykę. Radiohead – *Lotus Flower. There's an empty space inside my heart, where the weeds take root, and now I'll set you free, I'll set you free...* Ona nie lubiła tej piosenki.

Nagle matka otwiera drzwi jego pokoju. Nie wchodzi, tylko całym ciężarem swojego cielska zawisa na klamce. Omiata wzrokiem zakamarki. Zawsze to robi, sprawdza, czy teren jest bezpieczny. Węszy. Tomek patrzy na jej nozdrza. Wielkie i powolne.

– Paliłeś? – pyta matka i przestaje węszyć.

Tomek uśmiecha się i mówi spokojnym głosem:

– Przyjechali.

– Wyłącz tę muzykę i idź spać – rzuca ostro matka i wycofuje się na korytarz.

Tomek zakłada słuchawki i zapala małą nocną lampkę. Specjalnie kupił świecącą tak słabo, że poświata nie dociera nawet do szpary pod drzwiami.

Amelia podchodzi do drzwi wejściowych, zastyga z uchem w okolicach klamki, po chwili podnosi głowę i przytyka oko do wizjera.

***

Wychodzę z mieszkania za policjantem.

– Nic pan nie rozumie! – krzyczę, chociaż ja też nie rozumiem, czego od niego właściwie oczekuję. Chyba przeszukania całej kamienicy, policyjnej blokady połowy miasta, psów tropiących i helikopterów.

– Proszę pani, proszę się uspokoić. Śledztwo jest w toku – tłumaczy znudzonym głosem.

– Jesteście bandą idiotów i nigdy go nie znajdziecie!

– Proszę stawić się jutro na komendzie w celu powtórzenia dzisiejszych zeznań.

– Możemy tam pojechać teraz!

– Obawiam się, że to niemożliwe z uwagi na pani stan. Nie będę z panią dyskutował! Proszę wracać do mieszkania! – mówi już głośniej. Wyraźnie puszczają mu nerwy.

– Jestem w o wiele lepszym stanie niż policja w tym mieście – mówię spokojnie i prostuję się, jakbym chciała spojrzeć na niego z góry, choć jest ode mnie ze dwadzieścia centymetrów wyższy.

– Chcę pani zostać oskarżona o utrudnianie śledztwa? Nie? To proszę się uspokoić!

Policjant podchodzi do drzwi Amelii Potoczek. Kobieta odsuwa się od wizjera. Dzwonek do drzwi. Amelia liczy do dwudziestu. Policjant ponownie naciska dzwonek.

– Nie musi pan. Ona słyszy. Pewnie stoi pod drzwiami i nasłuchuje – wyrzucam szybko i gryzę się w język.

Amelia otwiera drzwi.

– Dobry wieczór – mówi i ciaśniej okrywa się szlafrokiem.

– W mieszkaniu naprzeciwko doszło do włamania. Muszę zadać kilka pytań. Słyszała pani dzisiaj coś niepokojącego? Widziała pani kogoś obcego w kamienicy? – zwraca się do Amelii policjant, ale orientuje się, że ja dalej wiszę nad nim i zbieram się do ataku. – A pani co tu jeszcze robi? Proszę wracać do siebie!

Wycofuję się wściekła do mieszkania, ale na tyle powoli, żeby słyszeć odpowiedzi Amelii.

– Dziś wieczorem mieliśmy awarię światła na klatce. Po południu ktoś kręcił się po korytarzu. Taki blondyn, niezbyt elegancki, wymiętoszony. Przychodził kiedyś do Weroniki. Mówiła, że pisarz.

Słoneczny? Czego szukał w mieszkaniu Weroniki? Ma wyrok w zawieszeniu, nie zaryzykowałby włamania, gdyby stawka nie była wysoka.

W mieszkaniu drugi policjant szuka śladów pozostawionych przez włamywacza. Daniel siedzi przy stole w kuchni i mrucząc coś do siebie, próbuje odzyskać trzeźwość. W mieszkaniu Amelii Potoczek zamykają się drzwi. Słyszę sapanie i ciężkie kroki na schodach.

– No i? Co znaleźliście? – pyta Huk grzmiącym głosem, malutki człowiek, który chce, żeby wszyscy się go bali.

To nie robi już na mnie wrażenia. Przekracza próg. Alkoholowy zapach jego piżmowych perfum zmieszanych z brandy przypomina mi

o wódce, która próbuje wydostać się z mojego żołądka.

– Marianka? Co ty tu robisz? – Zatrzymuje się w drzwiach i udaje zaskoczonego. A może naprawdę jest trochę zaskoczony?

Młody policjant rzuca mi zdezorientowane spojrzenie. Nie wie, czy ma odpowiadać na wcześniejsze pytanie Huka, czy lepiej zaczekać.

– Wiesz przecież, że jestem tu od pogrzebu Weroniki.

Huk nie komentuje. Wchodzi do mieszkania i zauważa Daniela chwiejącego się na krześle w kuchni.

– A ten co tu robi?! – pyta, podnosząc głos.

Daniel zrywa się z krzesła.

– Ja ci to wytłumaczę. Nie mam z tym nic wspólnego. Ona do mnie zadzwoniła i… – szuka odpowiedniego sformułowania – …poprosiła mnie o spotkanie. Przyszliśmy tu razem i to zastaliśmy.

Widzę, jak Huk tłumi wybuch gniewu.

– Pytam, dlaczego przyszedłeś o drugiej w nocy do mieszkania twojej martwej kochanki z moją córką!

W tym momencie przerasta mnie tragikomiczny absurd tej sytuacji i parskam śmiechem. Wszystkich nas zresztą to przerasta, a najbardziej chyba zszokowanego młodego policjanta stojącego w drzwiach. Słowo „córka” ma w tym prawdopodobnie największy udział.

Wspomnienia się zlewają. To dlatego Daniel wydał mi się znajomy? Kolega ojca… Jakiś obiad u nas w domu… Przypadkowe spotkanie na rynku, w drodze do szkoły… męska wymiana uścisków, zdjęcie z otwarcia nowego szpitala? Nie wiem. Wspomnienia się zlewają. Podchodzę do Huka, jakbym zamierzała go uderzyć.

– Chciał tu przenocować! Ja nie muszę ci się z niczego tłumaczyć!

– Jesteś pijana… – stwierdza Huk sucho. Cofa się o krok, żeby przyjrzeć mi się uważnie i znaleźć kolejny słaby punkt, w który można uderzyć.

Młody policjant dalej stoi przy drzwiach, wciąż nie wiedząc, czy może się odezwać.

Zakładam kurtkę.

– Muszę stąd wyjść. Mogę?

– Gdzie musisz wyjść? – pyta mnie ojciec prokurator.

– To moja sprawa. Chyba że jestem zatrzymana.

– Nie jesteś, jeśli złożyłaś już zeznania, ale w takiej sytuacji…

Przestaję go słuchać i wychodzę z mieszkania. Woła coś za mną, ale nie dociera już do mnie żadne z jego słów. Słoneczny. Muszę go znaleźć, zanim Huk połączy fakty, pojedzie go przesłuchać i zniszczy wszystko swoją prawniczą paplaniną. Słoneczny wie przecież, jak rozmawiać z glinami. Jeśli nie zostawił żadnych śladów, będą go przesłuchiwać tygodniami.

Chciał zabić swoją dziewczynę. Dziewczynę, o której wciąż mówi: „Najdroższa". Najpierw biegł przez dwie ulice za tramwajem, do którego wsiadła po kolejnej kłótni o wyimaginowanych kochanków. Wysiadła dopiero na ostatnim przystanku, a on poszedł za nią do jej mieszkania. Zadzwoniła do ojca i przyjaciółki. Któreś z nich wezwało policję. Mieszkała sama – w kawalerce na parterze starej kamienicy. Wybił okno i wszedł przez nie do środka. Próbował wyrwać drzwi do łazienki, w której się schowała, i wtedy przyjechała policja. Nie wiem, dlaczego nie dostał w końcu kary za usiłowanie zabójstwa. Poznałam go kilka lat po tych wydarzeniach i przez kilka kolejnych, tak jak Nastolatka, znałam tylko jego wersję tej historii. Słoneczny potrafi kłamać, to pewne.

Nie dzwonię do niego. Na pewno dalej mieszka po drugiej stronie rzeki, w okolicy mostu, gdzie zakochani przyczepiają kłódki. Mieszkanie odziedziczył po starej wariatce z trzema kotami, której pomagał wyłudzać rentę trzy razy wyższą od tej, która jej się należała. Po śmierci właścicielki wszystkie trzy koty trafiły na bruk, bo Słoneczny zasłonił się alergią. Do końca życia powinien sadzić kwiatki na grobie tej kobiety, choćby dlatego, że jej mieszkanie stanowi główne źródło jego utrzymania. To właściwie coś w rodzaju squotu. Mieszkałam tam kiedyś przez pół roku. Za dwieście złotych miesięcznie można u Słonecznego wynająć materac w korytarzu pod ścianą. Noclegi krótkoterminowe wyceniane są na podstawie dynamicznego cennika. Noc jest dzisiaj mroźna. Na pewno siedzi tam i pilnuje swojej meliny.

Weronikę pewnie też sprzedał, ktoś do niego przyszedł i poprosił o informacje, a ten pojebany skurwiel nawet się nie zawahał. Nie wierzę, że sam mógłby jej to zrobić. A może zrobił? Może nie wiedział, w co się pakuje? Nie wiedział, jakie będą konsekwencje? Wszystkie te wersje są możliwe. Przechodzę przez most. Obok mnie przebiega lis. Też wybrał noc na pokonanie rzeki. Pada śnieg. Lis przystaje na końcu mostu i po chwili rozpływa się w ciemności. W otwartych drzwiach wejściowych do kamienicy stoi pijana para. Kłócą się, ale nie potrafię wyłapać, o co chodzi.

– Ja cię kocham, ty głupia kurwo, rozumiesz? – krzyczy on, a ona wybucha histerycznym śmiechem.

Przepycham się między nimi, wychodzę na górę obskurną klatką schodową. Nie mogę złapać oddechu. Ktoś czerwonym sprejem napisał na ścianie: „ZŁODZIEJE SIĘ". Staję przed mieszkaniem, z którego dobiega głośna muzyka i krzyki. Sprawdzam, czy drzwi są otwarte. Opór. Zamknęli się przed złem. Walę pięściami. Otwiera roześmiana, opalona

na ciemny brąz brunetka. Czarna sukienka odsłania wytatuowany od kostki do uda karabin. Mówi coś, że ma nadzieję, że przyniosłam alkohol, bo została ostatnia butelka. Nie słucham jej i przeciskam się do środka. Przechodzę przez zagracony korytarz. Rower, lodówka, wielka klatka dla ptaków. Jasne pomieszczenie pełne ludzi. Dwie młode dziewczyny całują się na materacu pod ścianą. Starszy, siwy mężczyzna nalewa przy oknie wódkę smutnej, przyklejonej do siebie parze. Na środku pokoju, między butelkami dwóch różowych grubasów tańczy tango. Na komodzie siedzi młody, długowłosy blondyn w ciemnych okularach i przysypia. Nikt nie zwraca na mnie uwagi. Wchodzę do drugiego pokoju, gdzie wreszcie znajduję Słonecznego. Słoneczny siedzi na kanapie i obściskuje się z Nastolatką.

Dziewczyna odrywa się od niego, żeby złapać powietrze, i dostrzega mnie w drzwiach.

– O dżizas… Znowu ona. – Odpycha go i poprawia cycki w obcisłej sukience.

Słoneczny wstaje z kanapy, zatacza się.

– Mery! Co tu robisz?!

Łapię go za koszulę i potrząsam nim.

– Co ty robiłeś raczej! Dzisiaj w kamienicy! Czego szukałeś w mieszkaniu Weroniki?!

– Przyszedłem do ciebie! Nie wchodziłem do środka! Nie było cię przecież…

Kręci mi się w głowie. Muzyka staje się głośniejsza. Słoneczny i całe pomieszczenie zamazują się, jakby ktoś nagle uderzył mnie w skroń. To nie alkohol. Wiem, że to nie alkohol. Chcę coś powiedzieć, ale połowa twarzy drętwieje. Osuwam się na Słonecznego.

– Chciałem cię przeprosić… Nie powinienem tego robić. To było głupie, niepotrzebne… Nie chciałem tego robić!

17. Ten sam pokój w mieszkaniu Słonecznego

Budzę się na kanapie. Przez chwilę nie wiem, gdzie jestem. Podrywam się. Pod ścianami, na materacach i wszędzie, gdzie się da, śpią ludzie, których widziałam tu w nocy. Wyglądają jak martwi. Ślina wylewa im się z otwartych ust. Dopadam drzwi wejściowych. Zamknięte. Przerzucam śmieci na komodzie. Wracam do pokoju, na jednym z materacy śpi brunetka z karabinem na nodze. Porywam z podłogi klucz rzucony obok niej. Z łazienki wychodzi półnagi Słoneczny. Spokojnie wyciera włosy ręcznikiem. Nie mogę trafić kluczem do zamka. Uderzam w drzwi pięściami. Słoneczny chwyta mnie za przeguby dłoni.

– Weź, weź się uspokój. Wszystkich obudzisz!

– Za co chciałeś mnie przeprosić?! Idę na policję! I zabieraj te łapy!

Puszcza moje ręce, zdziwiony.

– Mery, musisz się uspokoić i posłuchać. Przecież ja nie zabiłem Weroniki! To jakiś absurd. Ale zrobiłem coś głupiego.

Wychodzi i wraca szybko z gazetą.

– To z dzisiaj…

Wciska mi do ręki najgorszy brukowiec, „Rzeczywistość”. Czytam nagłówek: „KULISY SPRAWY WERONIKI P.” i podtytuł: „MROCZNY ŚWIAT ZBOCZEŃ SEKSUALNYCH”. Na pierwszej stronie, mimo że twarze są rozmazane, rozpoznaję zdjęcie, które niechcący pozwoliłam zabrać Słonecznemu, kiedy spotkałam go po pogrzebie Weroniki.

– Jesteś najgorszą gnidą, jesteś małym, chudym robakiem – mówię i dalej patrzę na zdjęcie.

– Jej już przecież nic nie zaszkodzi. A wiesz… Dostałem za to zdjęcie trzy stówy.

– Sprzedajesz ludzi za trzy stówy.

– Nie przesadzaj… Od razu sprzedajesz. Poza tym… Widziałaś kiedyś ostatnio na oczy trzysta złotych? Wiesz, ile to jest pieniędzy? Uspokój się. Biedna, mała Mery… – mówi i próbuje mnie objąć, ale gestem daję mu do zrozumienia, że ma się nie zbliżać.

– Otwórz mi te cholerne drzwi – mówię.

Otwiera, a ja wychodzę i zostawiam go samego w przedpokoju. Zły na siebie wyrzuca gazetę na stertę worków ze śmieciami albo zgniata ją w rękach i rzuca w kąt, albo zwija w rulon i wsadza sobie w dupę. Nie wiem. Już tego nie widzę.

Chodnik jest pusty. Ulicą przejeżdża śmieciarka. Zapalam papierosa. Mdli mnie od niego. Śmieciarze opróżniają kosze. Wszystko jest jakieś nierealistyczne. Jakbym była na planie filmowym, jakby to miasto to była tylko papierowa makieta. Zaraz zawieje wiatr i zmiecie te fałszywe budynki albo podjedzie autokar i wysiądą z niego ludzie w esesmańskich mundurach – statyści z filmu historycznego. Przechwyci ich pewnie hałaśliwy, nabuzowany amfetaminą asystent reżysera i każe im powtarzać: „Raus”. Idę wzdłuż ruchliwych alei. Dźwięki samochodów są za głośne. Mijam grupkę zawianych Hiszpanów, którzy krzyczą coś w moją stronę w swoim języku. No message, no reply. Przejeżdża karetka na sygnale.

Zatrzymuje się pod sklepem, z którego wychodzi starszy mężczyzna. Podpiera się kulami. Jedną nogę ma sparaliżowaną. Ciągnie ją za sobą. Suwak wytartej czarnej kurtki ma zapięty aż pod brodę. Mocno zaciska powieki i opiera kule o ścianę. Upadają. Podchodzę, żeby je podnieść. Kule znowu upadają i znowu je podnoszę, a on nie reaguje. Najwyraźniej

nie przeszkadza mu, że kule leżą na chodniku. Odpakowuje mały czekoladowy batonik. Kule znowu upadają. Patrzę, jak pochłania batonik. Bezzębnymi dziąsłami przeżuwa długo każdy kęs. Robi to, jakby jadł go po raz pierwszy albo jakby to była ostatnia rzecz, którą robi w życiu. Ma zamknięte oczy. Głowę uniósł do góry i znieruchomiał. Porusza się tylko jego szczęka. Siadam obok na schodach do sklepu i chowam twarz w dłoniach. Staruszek kończy jeść batonik i podnosi kule.

– Zna pani taki wiersz? – pyta charczącym głosem, dalej nie otwierając oczu. – „My – żrący mięso raz na miesiąc, my oddychający siarką, kosztowną siarką, jak powietrzem – my wlokący ulicami rząd zapadłych brzuchów, z bezsilnymi pięściami, wypychającymi kieszenie, my – przegramy, przegramy, przegramy, jak zwykle!”

Wstaję i słyszę, jak krzyczy za mną:

– Gdzie pani idzie?! Chciałem panią tylko pocieszyć!

18. Przeczekalnia

Czekam na wezwanie. Siedzę wyprostowana. Staram się nie wykonywać żadnych ruchów. W poczekalni są ze mną jeszcze łysy mięśniak z podbitym okiem i starsza kobieta ściskająca torebkę. Wyciągam telefon. Bateria pada. Wpisuję w wyszukiwarkę: „Kulisy sprawy Weroniki P. Mroczny świat zboczeń seksualnych". Wyświetla się strona internetowa brukowca „Rzeczywistość". Zwielokrotniony bełkot.

To się nie mieści w głowie! Dwóch zwyrodnialców przez pięć dni więziło i katowało 24-letnią Weronikę. Gwałcili ją między innymi za pomocą drewnianego kija, masakrując drogi rodne kobiety. Ofiara w ciężkim stanie trafiła do szpitala. Mimo kilku operacji lekarzom nie udało się uratować jej życia.

O tej szokującej sprawie pisaliśmy tydzień temu. Oprawcy porzucili Weronikę P. (24 lata) nad ranem w lesie przy drodze S20. Kilka godzin później przypadkowo została znaleziona przez małżeństwo emerytów, którzy z dwójką wnuków zatrzymali się na poboczu, w drodze na zimowe ferie w górach. Nie spodziewali się, że znajdą porzuconą w lesie dziewczynę w krytycznym stanie. Bliska śmierci z wychłodzenia została przewieziona do szpitala, gdzie lekarze przez dwa dni walczyli o jej życie.

Dotarliśmy do informatora, który przekazał nam szokujące materiały [Zobacz zdjęcia]. Michał S. twierdzi, że Weronika aktywnie udzielała się w środowisku praktykującym sadomasochistyczne kontakty seksualne. Była stałą uczestniczką tak zwanych orgii. Czy

policja bada ten trop? Prokurator Remigiusz Huk odmawia komentarza w tej sprawie.

Czytaj dalej: Wywiad z seksuolog Iloną Żabczyńską na temat podłoża perwersji seksualnych i zboczeń seryjnych morderców.

Nie czytam dalej. Przesuwam stronę, żeby zobaczyć komentarze.

Wixx pisze:

Za to co zrobili tej dziewczynie powinni został zgładzeni przez tłum ludzi albo ktoś powinien im zrobić z dupy jesień sredniowiecza. Śmierć za śmierć.

Wróbel pisze:

Jestem katoliczką i z natury wyrozumiałą i spokojną osobą. Zawsze byłam przeciwna karze śmierci, jednak ostatnimi czasy jestem coraz bliższa zmiany zdania na ten temat. Jednostki, które dopuściły się tak odrażających zbrodni, po wyjściu z więzienia nie dadzą gwarancji, że już nigdy czegoś takiego nie zrobią. Nie chodzi nawet o zemstę, chodzi o skuteczne wyeliminowanie takich indywiduów ze społeczeństwa, żeby nie mogli już nikogo skrzywdzić.

Jola odpowiada:

Jestem za.

Eiono odpowiada:

najpierw ciężkie tortury potem bolesna długotrwała kastracja a potem kara śmierci

Xxx pisze:

Zaraz oni będą przetrzymywani na pierwszym i chłopaki beda mielu dziewczyny do robienia lodzika z polyczkiem apotem male co nieco w pupcie i znowu lodzik ze smaczkiem czekolady a pozatym jebaci cweli!!!!!!!!!!!!!

ch pisze:

chłopaki.. ...kobiety tam, gdzie was wciąga, mają taki worek, coś w rodzaju ślepej kiszki.. ...to miejsce nie jest unerwione, i wasze starania, są okrutnie śmieszne ... i dziwne, że wam mamusia tego nie uświadomiła, zanim poczuliście pociąg... a molestowanie kobiet o dostęp do tego miejsca, jest co najmniej kretyńskie. ...więcej luzu i humoru... ...a tam się wchodzi, kiedy nie macie na celu 500+

ktoś pisze:

Ścierwo

??? pisze:

Która kobieta pójdzie z dwoma obcymi menelami do ich mieszkania?

no odpowiada:

no ..głupia kobieta... ...ale znasz jakiś sposób, by ustrzec kobiety przed tym, co ich wciąga.. ..przed ich ciekawością ...

nie pitol odpowiada:

głupota nie wystarczy.

. pisze:

A kibole Cracovii porwali jednego wiślaka i kazali mu się gwałcić

teo odpowiada:

to był przemas

Kobiety pisze:

Rozpuściły facetów. Same się puszczają na lewo i prawo. A te menele to widać który menel. Rozgladaja się za ładniejszymi z rozdziawiona geba . Najchetniej bym im przylala w ten glupi łeb. To nie jest dla nas mile jak szczerbaty Stary stwór wgapia się w nas!

oblizuje pisze:

Chłopy som obleśne. Baby i'm dawały za darmo kiedyś a te młódki chcom kasy i baletów to dlatego takie mściwe i jak dorwą jedną to tak się wydarza

Lola pisze:

TAKIM FACETOM OBCINAŁABYM PENISY.

lol odpowiada:

sama poszła na kwadrat a potem zdziwiona.

sabcia odpowiada:

wiedziałam, ze zawsze atakowana jest ofiara, ale to świadczy tylko o tym, że jesteś idiotą

lol odpowiada:

ofiara swojej głupoty

gość odpowiada:

sabcia, ty głupia ty. Ofiara bardzo pomogła sprawcom, bo była głupia.

Zdziwiony pisze:

za gwałt powinien być tlyko mandat, przecież to tylko seks.

Polska Młodzież pisze:

w tym pastwie mięso ludzkie się miendli i miendli, tanie jest i byle jakie ,dopóki młode da się pouzywywac potem twarz będzie wyrażała życie..plebs się kurwi byle gdzie, bo tylko takie rozrywki mają na inne nie stać i taka ta Polska się robi ,byle jaka prymitywna ,wytatuowana jak w więzieniu ,chamska pijana i wulgarna .

heheh pisze:

widocznie lubi się zabawić, tylko jej się szybciej znudziło niż im.

hihi pisze:

Nic nie wiecje a piszecie. Z kad wiecie ze dziewczyna sie nie szanowala czy cos .zaufala nieznajomym i ucierpiala tylko na tym.a im

te kutasy obciac powinni

lol odpowiada:

czytać umiesz? piszą, ze się ruchała z bylekim, to samasobiewinna

master pisze:

gówno wiecie. w środowisku bdsm w tym mieście wszyscy dobrze się znają, nie wpuszcza się na takie imprezy jakichś mend z ulicy. to nie jest pierdolenie się na dyskotece z połową wsi, tylko sztuka dla koneserów.

lol odpowiada:

sztuka ruchania w dupę

master odpowiada:

zapraszam na warsztaty i pokazy bondage, japońskiej sztuki krępowania ciała, może zmienisz zdanie. brukowce robią ludziom wodę z mózgu. RÓWNIE DOBRZE MOGLIBY WRZUCIĆ ZDJĘCIE JAK GRA W SZACHY Z KOLEGAMI I NAPISAĆ SZOKUJĄCY ŚWIAT SZACHISTÓW. dla mnie to jest to samo. tylko tyle że w tym katolskim kraju jak ktoś żyje po swojemu i woli klimat od seksu przy zgaszonym świetle z żoną, to od razu jest zboczeńcem. jakby zabili jakiegoś geja, to też byście pisali, że pedał sam się prosił. żal mi was, ludzie.

lol odpowiada:

ale się zesrał. może on ją zajebał?

Wacek odpowiada:

Nohehe pewnie ona myslala ze jedzie do nich pograc w szachy a okazalo sie ze trzeba opierdoliccc kindybala:)

kolo z zadupia pisze:

A już myslalem że w dobie fejsa I innych portali ostrzegajacych przed takimi okolicznosciami wszystko jest jasne.No jednak widać że jak ktos sie koorwicą urodził to taki żywot czeka.I szkoda jedynie rodzicòw takiego pomiota.

nestor pisze:

Nie wpuszczać islamistów. Nasi rodacy w niczym im nie ustępują. :–(Wniosek? Tradycyjny model kulturowy Polaków ma te same korzenie co islam.

malagenija odpowiada:

Ku...wa, terrorystami nas straszą. Tam faceci z klanu tej kobiety pocięliby ich na paseczki. A u nas? Dostaną po 5 lat telewizji i żarcia za darmo, i wyjdą po dwóch. Pieprzeni zwyrodnialcy.

data1 odpowiada:

Sprawa ta jest wielką tragedią. W tak tragicznej sprawie, tutaj wielu uczestników forum stara się traktować ten dramat jako podstawę do krytyki decyzji o nie wpuszczaniu imigrantów. To teraz proszę sobie przeczytać o gangu pakistańskim w angielskim Rotherham. Tam

podaje się, że było około 1400 dzieci wykorzystanych seksualnie przez gang pakistański.

wit wit pisze:

powycinać jaja zwyrodnialcom i ciapatym. i będzie spokój

takaja pisze:

Jestem porażona tym co się dzieje. Czy MY kobiety nie możemy już spokojnie wyjść, pojechać na wakacje??? Dlaczego ten durny świat dąży do tego, żebyśmy nie mogły wyjść spokojnie z domów??? Zbyt łagodne kary na pewno nie polepszą sprawy. Kara dożywocia – my będziemy to robactwo utrzymywać. Kara śmierci – jedyne rozsądne wyjście.

Kamil odpowiada:

Każdy seks z kobietą uznać za gwałt.

1302 pisze:

Nie sądzić !!! Pobrać organy resztę spalić ! Mogę pokryć koszty spalenia tych śmieci !

Ekran telefonu robi się czarny. Padła bateria. Czuję alkohol zalegający w żołądku. Zaczynam myśleć o zepsutym mięsie, w którym roją się białe robaki. Wstaję i wymiotuję do kosza na śmieci. Starsza pani odsuwa się zdegustowana. Mięśniak podaje mi chusteczkę. Jest trochę zakrwawiona. Nie bardzo. Właściwie jest na niej tylko jedna maleńka kropla krwi. Wycieram usta drugą stroną i wyrzucam chusteczkę do

kosza na śmieci. Dziękuję mięśniakowi. Chyba zawarliśmy w tym momencie jakieś bractwo wydzielin.

Wchodzi policjantka w szarej koszuli.

– Pani Mery Malinowska, zapraszam!

Idę za nią. W pokoju przesłuchań czekają tym razem jeszcze Huk i Karolina, która rzuca mi dyskretne, ale mordercze spojrzenie.

– Zadam ci te same pytania, które usłyszałaś wczoraj od aspiranta – zaczyna Huk swoim najbardziej bezosobowym tonem.

Świetna okazja do rozmowy po dwóch latach bez żadnego kontaktu. Kiwam głową. Karolina notuje coś na małym notebooku.

– Gdzie byłaś przed zgłoszeniem włamania? – pyta, nie patrząc na mnie. Wzrok ma utkwiony w zdjęciu, którego nie mogę zobaczyć.

– Mówiłam już! A tak, te same pytania, dobrze… Byłam z Danielem w kawiarni Ambasada, od popołudnia do wieczora. Od razu po powrocie do mieszkania zgłosiłam włamanie.

– Daniel to też twój przyjaciel?

– Nie… To nieistotne, skąd się znamy.

– Dla mnie jest bardzo istotne, czemu szukasz nowych znajomych wśród świadków w sprawie Weroniki.

– To normalne, że rozmawiam z ludźmi, z którymi była ostatnio blisko. To podobno pomaga w przepracowywaniu straty…

– Zostałaś już pouczona, co grozi za utrudnianie śledztwa.

– Sami utrudniacie sobie śledztwo, bo zatrudniacie takich matołów jak ci z wczoraj.

– Wracając do wczorajszego zajścia… – Ignoruje moją uwagę. No taaak, on przecież nie daje się wyprowadzić z równowagi. – Ktoś

uszkodził oświetlenie na klatce schodowej. Włamywacz nie naruszył zamka. Miał klucz do mieszkania.

– Bardzo możliwe. Podobno nie znaleziono torebki Weroniki, więc pewnie był tam klucz – mówię i Karolina rzuca mi kolejne mordercze spojrzenie zza pleców Huka.

– A o tym skąd wiesz?

– Przeczytałam w gazecie.

– W gazecie. To ciekawe – mówi i odwraca zdjęcie, które trzyma przed sobą. To powiększona odbitka z wycinkiem prasowym, który widziałam dziś rano. – Może ty wiesz, jak to zdjęcie się tu znalazło?

– Nie mam pojęcia.

– Jesteś podejrzana o upozorowanie włamania.

– Po co miałabym to zrobić? Zwariowałeś chyba. – Pochylam się nad stołem.

– Rozsądniej byłoby skorzystać z pomocy psychologa zamiast „brać sprawy w swoje ręce". Zatem z mieszkania nic nie zginęło. To byłoby absurdalne, gdyby włamania dopuścił się sprawca. Zbyt duże ryzyko.

– Może to jakaś mafia? Może szukają zdjęć? Sprawdziliście to w ogóle? Przeszukaliście tę pustą kamienicę? A może są jeszcze jakieś inne zdjęcia?

– Proszę powstrzymać wyobraźnię – mówi do mnie w bezosobowej formie. Widzi, jaki wywołuje to efekt, i jest z tego zadowolony. Pieprzony psychopata.

– Po co miałabym upozorować włamanie?

– Może żeby zwrócić uwagę policji na to, że morderca dalej grasuje?

Wydaje mi się, że żartuje. Ta rozmowa nie ma nawet charakteru przesłuchania. Pochylam się w jego stronę.

– To może jutro zabiję kogoś i zostawię w lesie? Albo będę wam tu przesyłać kurierem w kawałkach?

– Lepiej tak nie mów. Ja nie mam poczucia humoru. Wszystko traktuję poważnie – mówi i uśmiecha się szeroko. – Zostaną od ciebie jeszcze raz pobrane odciski palców.

– Mieszkam u Weroniki… to znaczy w mieszkaniu Weroniki od kilku dni. Jest tam pełno moich odcisków palców.

– Marianko, zdajemy sobie z tego sprawę. Osoba, która uszkodziła oświetlenie klatki schodowej, zostawiła przecież odciski palców. Chyba że do skrzynki rozdzielczej w piwnicy też zaglądałaś? Nie mieszaj się do śledztwa. Myślisz, że będziemy się ścigać po mieście z mafią, znajdować trupy w katakumbach i codziennie wpadać na nowe ślady? Takie sprawy mogą ciągnąć się latami. I, niestety, istnieje też coś takiego jak zbrodnia doskonała. Co dziesiąty sprawca zabójstwa w tym kraju nie zostaje wykryty. Ale jeśli wierzysz w sprawiedliwość, która zawsze zwycięża, czekaj i pozwól nam pracować.

Kiedy kończy przemowę, wstaję od stołu. Karolina zamyka komputer i szybko wychodzi z pokoju.

– To nie gonisz się już z mafią po mieście? – pytam i zaciskam dłonie w piąstki zupełnie jak złe, rozkapryszone dziecko. Tak się czuję, do tej roli sprowadza mnie ta sytuacja.

– O czym ty mówisz? – udaje, że nie rozumie, i kieruje się do wyjścia.

– Mówię o tym, co stało się matce.

Unosi palec, jakby mi groził.

– Kiedy ostatni raz u niej byłaś? Co?

Odwracam wzrok.

– Nie mogę na nią patrzeć.

– Idź się umyj. Śmierdzisz jak menel – cedzi przez zęby i wychodzi z pokoju.

Zostaję sama. Zaciskam pięści, wbijam paznokcie we wnętrze dłoni i wychodzę.

19. Południe

Nie chcę już nigdy wracać na ten zasrany komisariat. Widzę Daniela. Idzie szybkim krokiem od strony centrum. Zauważa mnie i zawiesza wzrok gdzieś ponad moją głową. Zapalam papierosa i obserwuję, jak jego mała postać staje się coraz wyraźniejsza. Pnie się po schodach z wysiłkiem. Ma na sobie te same ubrania, co wczoraj. Został w mieszkaniu Weroniki na noc? No bo na pewno nie wrócił do żony.

– Cześć – mówię cicho.

Nie odpowiada. Trochę zły albo zażenowany wchodzi do środka. Po chwili wraca. Zatrzymuje się w otwartych drzwiach i marszczy brwi, jakby chciał coś powiedzieć. Ktoś w poczekalni oburzony krzyczy, że wpuszcza zimno. Daniel otwiera usta, ale rezygnuje i szybko cofa się do środka.

Kolega ojca. Kochanek Weroniki. Mój nowy, były znajomy. Przypominam sobie, skąd pamiętam jego twarz. Nie był wtedy jeszcze łysy. Kiedy to mogło być? Chyba pod koniec liceum. Pięć, może sześć lat temu. Był maj. Czekałam wtedy na Weronikę w miejscu, gdzie zawsze paliłyśmy przed lekcjami. Na dziedzińcu za murami kościoła, blisko szkoły.

To był ten kościół, w którym spowiadał się ze swoich grzechów słynny w całym kraju morderca. Obdarł ze skóry dziewiętnastolatkę, porąbał ciało i wyrzucił jego kawałki do rzeki, a potem chodził sobie spokojnie po mieście przez dwadzieścia lat, bo ksiądz nie mógł złamać tajemnicy spowiedzi.

Czekałam więc tam na nią, choć papieros się już dopalił, a za dwie minuty zaczynała się lekcja. W końcu obok mnie zatrzymał się samochód, z którego wysiadła Weronika. Miała na sobie letnią, czarną sukienkę w kropki, przez ramię przewiesiła bordowy plecak, w którym trzymała tylko zeszyt i majtki z poprzedniej nocy. Samochód ruszył, a mnie mignęła twarz kierowcy. Zapytałam wtedy Weronikę, czy to coś poważnego, ale zbyła mnie śmiechem. Nie widziałam już potem Daniela. Ale widziałam jego samochód – srebrnego sedana – rok później. Weronika zadzwoniła do mnie w środku nocy i prosiła, żebym przyjechała na stację kolejową w mojej okolicy. Wymknęłam się więc z domu, nic nikomu nie mówiąc. W roztargnieniu nie zabrałam telefonu i zostawiłam za sobą niedomknięte drzwi wejściowe. Potem, kiedy wróciłam, zastałam zapłakaną matkę. Ojca nie było, bo włóczył się po mieście i mnie szukał. Zniknęłam przecież bez słowa, a niedomknięte drzwi złowieszczo trzaskały na wietrze. Wszystkie ich paranoiczne koszmary wypłynęły wtedy na powierzchnię. Kiedy wróciłam, matka zadzwoniła do ojca i poinformowała go, że już jestem, cała i zdrowa, a on poszedł się upić w swoim ulubionym barze, żeby nie dać mi w twarz, kiedy zobaczy mnie rano w kuchni.

Stacja, na której miałam czekać na Weronikę, była słabo oświetlona, dlatego dopiero po jakimś czasie zobaczyłam ten zaparkowany blisko peronów srebrny samochód. Weronika wysiadła z niego roztrzęsiona. Nie płakała, widziałam na jej twarzy tylko zacięcie. Od razu wiedziałam, że stało się coś złego. Otulając się cienkim swetrem, szybko szła w moją stronę. Samochód ruszył i przez chwilę za nią jechał. Oświetlał ją od tyłu reflektorami. Później nas wyminął i odjechał. Za kierownicą siedział ten tajemniczy S., którego nigdy nie poznałam. Tak o nim mówiła Weronika

– S. Dostawałam od niej tylko strzępki informacji. Nic już nie pamiętam z tych historii. Sześć albo siedem lat – tyle musieli się znać.

20. Długa historia

Klucz trzaska w zamku. Zatrzymuję się w drzwiach. Ktoś zostawił uchylone okno. Lodowate powietrze zdążyło się wkraść, zmrozić podłogę i meble.

Pies nie siedzi już smętnie pod drzwiami. Nie chcę się zastanawiać, co się z nim stało. Obrazy leżą na stercie pod oknem. Każdy rozdarty cięciem noża przez środek. Nie zniszczył ich, ale naruszył, żeby zostawić ślad. Podłogę zaścielają pocięte ubrania: ścinki letnich sukienek, lnianych spodni, wzorzystych spódnic i koszul. Lustra, okna i meble upstrzone są śladami farb i szminek. Zniszczone książki, kwiaty wyrwane z doniczek. Nie boję się. Już tu nie wróci. To był ostatni etap zemsty. Tak mi się wydaje.

Zamykam okno. Cisza i zimne powietrze wypełniają mieszkanie. Otwieram szafę. Czarny płaszcz wisi nietknięty, kilka innych rzeczy też ocalało. Zakładam płaszcz. Z ubrań układam stos. Dorzucam do niego wyrwane strony z książek i notesów, blond perukę, niebieskie szpilki, słomkowe kapelusze, wachlarz przywieziony z wycieczki do Chin, kapcie w króliki, torebkę z drewnianych koralików. Rozsypuję na to ziemię z doniczek.

Kładę się w tym na podłodze. Czuję jeszcze na ubraniach zapach przytłaczających jaśminowo-piżmowych perfum Weroniki. Ziemia łączy się z potem na mojej szyi. Nie wiem, jak długo tak leżę. Oddycham, tak jak uczył mnie zasuszony buddysta na zajęciach z jogi. Nie pomaga. Zanurzam ręce w stosie. Przyglądam się po kolei rzeczom, które

wyławiam. Jeden trampek, gruby pędzel, *Pani Bovary* w wydaniu kieszonkowym i mała koperta. Na niej napisane niebieskim długopisem: „Dla Mery". Podrywam się. Rozrywam kopertę. Widzę podpis pod listem: „Nie daj się, Daniel".

Droga Mery,

Przepraszam Cię za moją bezradność. Mam nadzieję, że znajdziesz ten list. Twój ojciec już wyszedł i powiedział, że mogę tu zostać. Nie wiem, od czego zacząć. Chyba podpisuję wyrok na siebie. Ty mnie osądzisz. Zrzucam na ciebie ten ciężar.

Kiedy w tych dziwacznych okolicznościach rozmawialiśmy w kawiarni, szybko do mnie dotarło, że nie wiedziałaś wszystkiego o mnie i Weronice. Poznałem ją jedenaście lat temu. Miała trzynaście lat, a ja trzydzieści dwa. Nie pracowałem jeszcze wtedy w urzędzie. Byłem nauczycielem historii. Trafiła do mojej klasy. Nie chcę, żebyś źle mnie zrozumiała. Wtedy nie pragnąłem jej fizycznie. Nie od razu zaistniała dla mnie w taki sposób, ale od początku wzruszała mnie jej dziecięca powaga. Miała w sobie coś wojowniczego, niespokojnego. To było dla mnie jak zapowiedź tragedii. Wiedziałem, że to zawsze będzie dziecięca powaga, że dziewczynki z tak słodką twarzą i wysokim, piskliwym głosem nikt nigdy nie potraktuje poważnie. Zawsze będzie wzruszająco poważna, zawsze dojrzała jak na swój wiek, mądra jak na swoje piętnaście, dziewiętnaście, dwadzieścia cztery lata. Zawsze będzie szukać towarzystwa ludzi starszych, bardziej doświadczonych, którzy w końcu uderzą w ten kompleks, dając jej do zrozumienia, że owszem, jest bardzo mądra jak na swoją urodę, ale nigdy nie dorośnie im do pięt. Zanim przestanie być poczwarką, zaczątkiem, zgorzknieje i zamknie się w urazie do świata

albo będzie musiała użyć drugiego wyjścia. Pokonać wszystkich ich własną bronią. Wyśmiać to, co w niej widzą. Jak aktorka na scenie, która postanawia uciec od roli seksbomby i obnaża się przed widzami w nagości opuchniętego, niezgrabnego ciała poznaczonego bliznami. Pijana, rozlazła, zasmarkana i w rozciągniętym swetrze. Nie potrafię powiedzieć, którą drogę wybrała Weronika. Nie potrafię nawet powiedzieć, czy spełnił się scenariusz, który dla niej wymyśliłem, widząc, jak w czasie lekcji zamiera, wpatrzona w nieciekawy widok za oknem.

Mój syn, Tomek, miał wtedy dwa lata. Między mną a moją żoną, Kingą, otwierała się ta przepaść niechęci, która teraz jest tak ogromna, że nie muszę szukać pretekstu do kłótni, wystarczy, że Kinga odetchnie za głośno.

Wtedy codziennie rozmawiałem z Weroniką. To były właściwie esemesowe rozmowy. Nie poprosiłem jej o numer, nic z tych rzeczy. Miałem go od czasu konkursu recytatorskiego, na którym byłem opiekunem reprezentacji szkoły. Potem sama do mnie napisała, pod pretekstem prośby o polecenie dobrych filmów historycznych. Chciałbym wierzyć, że to było czyste, że kierowała mną tylko bezinteresowna potrzeba kontaktu. Ludzka, niewinna ciekawość. Nie wiem, czy naprawdę tak było. Była mną zafascynowana i na pewno to lubiłem. Wysyłałem jej wiersze, które pisałem w czasie studiów, ona pokazywała mi swoje rysunki.

Cały rok obserwowałem, jak się zmienia, miesiąc po miesiącu. W końcu przyszły wakacje. Weronika miała już czternaście lat. Pokłóciłem się z Kingą. Była wtedy w ciąży z naszym drugim dzieckiem. Spakowała swoje rzeczy, zabrała Tomka i wyjechała do

rodziców. Dała mi do zrozumienia, że to jest właśnie rozstanie. Nie oponowałem. Chciałem, żeby się wyniosła.

Mieliśmy nad łóżkiem projektor do wyświetlania filmów, którego nigdy nie używaliśmy. To był impuls. Nic nie planowałem. Zaprosiłem Weronikę na seans. Wybrałem film specjalnie dla niej, *Podwójne życie Weroniki* Kieślowskiego. Leżeliśmy i oglądaliśmy, każde na swoim krańcu łóżka. Dreszcz. Nawet teraz, kiedy o tym myślę. Dreszcz rozchodzący się po całym ciele. Czułem, że popełniam jakieś świętokradztwo. Pamiętam to wszystko dokładnie. Nie mogłem tak po prostu jej dotknąć. Musiałem mieć pretekst. Zakończenie ją wzruszyło. Kilka łez. Chciałem je otrzeć. Przytuliłem ją. Wtuliła twarz w zagłębienie mojej szyi. Jej ciepły oddech, delikatne ruchy głowy. Usta badające moją skórę. Umierałem z podniecenia. Pożerał mnie ogień, przed którym nie można było się już cofnąć. Pocałowałem ją. Pamiętam jej nieporadność. Mówiła mi potem, że czuła się skrępowana widokiem podnieconego mężczyzny, który wie, co robić w takich sytuacjach. Wiem, że powinienem się wstydzić. Powinienem żałować tej chwili, ale nie potrafię. Nauczyłem się już żałować wszystkiego, co było potem, ale tego dalej nie potrafię.

Minął tydzień. Kinga nie wracała. Zadzwoniła do mnie z informacją, że jeśli będzie chciała zabrać rzeczy, to mnie uprzedzi. Euforia trwała dwa miesiące. Najpiękniejsze dwa miesiące życia Weroniki. Kochała mnie z pełnym oddaniem tego rodzaju, którego ja i mój ogień nie byliśmy w stanie pojąć. Upalne lato. Ciemność w pokoju. Rowerowe wycieczki za miasto, gdzie czuliśmy się anonimowi. Ukrywanie się przed jej rodzicami. Wspólne gotowanie i czytanie. Kolejne filmy i w końcu moja głowa między jej nogami. Pierwszy orgazm, który dał jej mężczyzna. Byłem przekonany, że nie

przekraczam żadnej granicy. Nie zmuszałem jej do niczego, kiedy brała do ust mojego penisa, chciała to zrobić. Jednej zasady nie pozwoliłem nam złamać. Był nią pełny stosunek seksualny. Wtedy pozwalało mi to zachować czyste sumienie. Penetrowałem ją językiem i palcami, ale założyłem, że dopóki mój penis znajduje się poza jej cipką, nie jestem przestępcą. Oczywiście, nie byłem aż taki głupi, znałem prawo, ale nie myślałem wtedy o czymś takim jak przyszłość. Byłem szczęśliwy, ona chyba też, dopóki nie zjawiła się Kinga.

Weronika miała przyjść po południu. Musiała czasem pokazać się w domu, żeby nie wzbudzać podejrzeń. Kinga dalej miała klucze do mieszkania. Nie zadzwoniła wcześniej, tak jak uprzedzała. Leżałem w łóżku, kiedy weszła do sypialni z walizkami. Była już w szóstym miesiącu ciąży. Brzuch rysował się wyraźnie pod obszerną jak namiot sukienką. Wierzyła w to, że na nią czekam. Pocałowała mnie na przywitanie. Chciała odegrać scenę z komedii romantycznych. Przyszła tu po zakończenie: „I żyli długo i szczęśliwie", a ja wpadłem w panikę. Wszędzie były rzeczy Weroniki. Wystarczyło, że odwróci głowę. Rozejrzy się po sypialni. Trwało to sekundę, a ja nie mogłem nic zrobić. Różowe majtki w hipopotamy pod kaloryferem. Wstała i przyjrzała im się z obrzydzeniem. „Co ty, kurwa, pieprzysz jakąś Azjatkę?", zapytała wściekła i ruszyła na obchód mieszkania. Znajdowała rzeczy, których obecności nie umiałem wytłumaczyć. Brokatowe spinki do włosów, koszulkę z pandą, *Hobbita* ze szkolnej biblioteki. Wpadła w szał. „Otworzyłeś sierociniec? Co to wszystko, kurwa, ma być?" I wtedy w drzwiach stanęła Weronika. Chciałem zatrzymać Kingę. Złapałem ją za rękę, ale wyrwała mi się. Dopadła Weronikę, chwyciła ją za ramiona i zaczęła krzyczeć: „Ile ty masz lat? Ile ty, kurwa, masz lat?". Weronika odpowiedziała zgodnie z prawdą,

wyrwała się i uciekła. Nie wiem, gdzie wtedy poszła. Nie mogłem jej potem znaleźć. Wiem, że dla niej to był początek katastrofy. Pierwszy cios, na który nie była gotowa. Cios, z którym nawet dorosły poradziłby sobie z trudem.

Kiedy Weronika uciekła, moja żona opadła na kanapę. Złapała się za brzuch, dziecko kopało. Uspokoiła się trochę. Powiedziała, że rodzice kazali jej wyprowadzić się z domu do końca tygodnia i nie obchodzi ich, czy wróci do mnie, czy zamieszka z naszymi dziećmi w domu opieki. Wtedy właśnie Kinga podjęła decyzję, by wziąć na plecy swój własny niewybaczalny ciężar. Nie pamiętam dokładnie jej słów, ale zaproponowała mi układ. Nie pójdzie z tym na policję, nie powie nic rodzicom dziewczynki, ale wrócimy do siebie i na dobre zapomnę o tej małej. Będziemy liczyć na to, że ona nikomu nie powie i wychowywać dwójkę naszych dzieci. Zacząłem coś krzyczeć. Coś żałosnego o tym, że jest podłą suką, że pakuję się i wyjeżdżam z Weroniką do Portoryko albo do innego państwa na końcu świata, gdzie mógłbym się ożenić nawet z dwunastolatką. Kinga milczała i trzymała obie ręce na brzuchu. Odezwała się w końcu: „Wiesz, ile za to się dostaje? Od dwóch do dwunastu lat". Zgodziłem się na wszystko. Coś wtedy we mnie umarło. Przekroczyliśmy granicę. Kinga pokazała mi, na co można się zdobyć, jak bardzo się upodlić, kiedy nie widzi się innego wyjścia. Pokazała mi, jaki sam jestem.

Weronika milczała. Nie planowała zemsty, z nikim nie podzieliła się tą tajemnicą. Całą złość skierowała na siebie. Po tych wakacjach zmieniła szkołę. Nie widziałem jej przez trzy lata. Potem opowiadała mi, co wtedy robiła. Postanowiła sobie coś udowodnić. To były jakieś okropne rzeczy, ale poznała ciebie. Pomogłaś jej.

Spotkaliśmy się po trzech latach. Wszystko wróciło, ale było już inne. Zniszczone, uszkodzone. Nie była już dzieckiem. Miała siedemnaście lat i spotykaliśmy się czasem. Kinga nie mogła mi już nic zrobić, ale toksyczność tych wspólnych trzech lat, w czasie których czułem się, jakbym żył w więzieniu, za mocno we mnie wzrosła. Wiedziałem, że już jej nie zostawię. Będę żyć w tym małżeństwie.

Weronika też była inna. Przerażająco poważna. Coś w niej zniszczyłem, na dobre. Wiedziałem to. Kochaliśmy się, jakbyśmy walczyli o życie. Jak ryby w wysychającej kałuży, tak kiedyś powiedziała. Gdybym miał więcej siły, zamknęlibyśmy się z zapasami na miesiąc w jakimś wynajętym, obskurnym mieszkaniu. Strzelalibyśmy do każdego, kto chciałby wejść. Po miesiącu skończyłoby się jedzenie. Umieralibyśmy z głodu. Rozszerzone samobójstwo, tak się na to mówi, ale byłem za słaby. Ona byłaby w stanie to zrobić.

Oczywiście, to umieranie z miłości do siebie nie pochłaniało całego naszego czasu. Życie po prostu toczyło się dalej. Wychowywałem dzieci, zrezygnowałem z pracy w szkole i dostałem lepiej płatną posadę w urzędzie. Weronika skończyła liceum i zaczęła studiować malarstwo. Awansowałem, dostałem podwyżkę i mogłem wynająć jej mieszkanie bez wzbudzania podejrzeń Kingi, tak wtedy myślałem, ale ona i tak wiedziała o wszystkim. Od kiedy pamiętam prowadziłem takie podwójne życie, z tą różnicą, że u Weroniki bywałem rzadziej. Poza tym ona nie chciała mieć ze mną dzieci. Jakiś czas temu zaszła w ciążę, ale usunęła ją. Nie cierpiała z tego powodu, nie chciała żadnych dzieci, ja też nie, a w drodze miałem trzecie. Kinga zmusiła mnie do tego. Ona potrzebowała dzieci. Jak najwięcej dzieci, które

wychowa na szczęśliwych, normalnych ludzi, żeby ciężar, który niesie na plecach, obrastał znaczeniem.

Przez te lata w naszym życiu seksualnym zabrnęliśmy z Weroniką w bardzo brudne rejony. Przyjemność znajdowana w bólu dawała mi ulgę. Dawała mi poczucie, że istnieje jakaś granica, której jeszcze nie przekroczyliśmy. Nie mieliśmy bezpiecznego słowa. Nigdy nie wiedzieliśmy, jak daleko zajdziemy. Czasem poddawała mi się w absolutnej otwartości i zaufaniu. Czasem nie wiedziałem, czy jej krzyk i opór są częścią gry, czy faktycznym wyrazem osiągnięcia granicy własnych możliwości. Ja się nie zatrzymywałem. Prosiła mnie, żebym nie zatrzymywał się nigdy. Nawet gdy będzie błagać. To były nasze zasady. W regularnych relacjach BDSM, na przykład między obcymi ludźmi, coś takiego byłoby niedopuszczalne. Nie wiedziałem, czy ją krzywdzę czy nie. Właściwie nie wiem, czy była masochistką i czy ja jestem sadystą, czy to istniało tylko między nami. Ja wiem, że nie mógłbym tego robić z nikim innym. Choć ona zaczęła zagłębiać się w środowisko, umawiać się z innymi mężczyznami, co doprowadzało mnie do wściekłości, dlatego myślałem, że robiła to tylko ze względu na mnie. Kilka miesięcy temu nawet sam wziąłem udział w takim „*swingers party*", namówiła mnie na to. Całe to towarzystwo. Paskudne. Wszystko było częścią gry między nami, tak myślę. Gra utrzymywała nas przy życiu, sącząc śmiertelną truciznę. Może jeszcze najwyżej miesiąc, no może pół roku, i obudzimy się w końcu zeschnięci jak stare cytryny i nic już nigdy się nie wydarzy. Pamiętam, jak to mówiła, a ja lizałem świeże rany po uderzeniach na jej pośladkach.

Nie opowiem ci każdej okropnej części tej historii. Takich momentów jak ten sprzed dziesięciu lat, kiedy przyszła do mnie i zastała Kingę, było wiele. To jest tylko jeden z obrazów, które w kółko

przelatują mi teraz przez głowę. Nie opowiem ci też o tych momentach, kiedy Weronika mściła się na mnie okrutnie, bo to wszystko jest niczym wobec tego, co ja zrobiłem.

Teraz wiesz już wszystko, co musisz wiedzieć, żeby mnie osądzić. Zabiłem Weronikę dziesięć lat temu, a ten, kto odebrał jej życie, tylko dokończył moje dzieło. Muszę ponieść karę i wymierzę ją sobie sam. Możesz być pewna. Jestem na to gotowy.

Nie daj się,

Daniel

Patrzę w sufit. Kładę list na brzuchu. Egzaltowane wyznania zboczeńca. *Lolita* w wersji dla analfabetów. Chce mi się wymiotować. Zza drzwi docierają odgłosy kroków na klatce i ściszonych rozmów. Zamykam oczy.

21. Sama sobie winna

Naciskam dzwonek przy drzwiach mieszkania Amelii Potoczek. Telefon wibruje w kieszeni spodni. Karolina wysłała mi zaproszenie na wydarzenie „CZARNY MARSZ KU PAMIĘCI WERONIKI". Jutro o 12.00. W mieszkaniu Potoczków nikt nie odpowiada. Dzwonię drugi raz. Drzwi otwierają się natychmiast.

– Stał pan pod drzwiami?

– Tak... Myślałem, że sobie pani pójdzie – odpowiada Tomek niechętnie.

Zastanawiam się, o co chodzi. Może tylko o to, że wyszłam z mieszkania, na drzwiach którego ktoś czerwonym sprejem napisał wczoraj: „DZIWKA".

– Jest pani Amelia? – pytam w końcu.

– W toalecie.

– Zaczekam.

– Wyjeżdża pani? – pyta, obrzucając badawczym spojrzeniem moją torbę i walizkę.

– Jak widać.

– To dobrze...

Z głębi mieszkania słyszę głos Amelii.

– Tomeczku, kto przyszedł? – Kobieta staje w drzwiach obok syna. – A, to pani.

Tomek wycofuje się w głąb mieszkania.

– Przyszłam oddać klucze. Właściwie w tej sytuacji pewnie zmieni pani zamki, więc to bez znaczenia. Po prostu oddaję klucze.

– Dlaczego miałabym zmieniać zamki? – Amelia wydaje się zdziwiona.

– Morderca ma przecież klucze Weroniki do mieszkania.

Amelia teatralnie uderza się w czoło.

– Tak, tak. Włamywacz. Racja. Jak najszybciej. A co z rzeczami? Nic pani nie uprzątnęła.

– Część zabrałam.

– Do tych toreb wszystko pani spakowała? – pyta i wskazuje na mój duży plecak i walizkę. – Tam jest mnóstwo śmieci. Straszny bałagan do posprzątania.

Chcę stąd iść. Chcę już być daleko od tych ludzi i ich zasranej, nawiedzonej kamienicy.

– Nie mogę się tym teraz zająć. Resztę można po prostu wyrzucić. I tak wszystko jest zniszczone.

– Dobrze już, dobrze… Zmęczona pani jest. Odpocznie sobie pani i wróci. I tak nikt nie będzie chciał tego wynająć, na razie.

– Nie, nie wrócę tu już – mówię jeszcze spokojniej.

– Na pewno?

– Tak, na pewno – odpowiadam zdezorientowana. – Wyjeżdżam z miasta. Jadę na lotnisko. Lecę do Berlina.

– Może to i lepiej – wzdycha Amelia.

Przekazuję jej klucze. Przypadkowo dotykam jej dłoni. I tym razem też jest lodowata.

– Do widzenia w takim razie! – mówi na pożegnanie i dodaje: – Proszę na siebie uważać!

Robi coś dziwnego. Niezręcznie przyciska mnie do siebie, jakby próbowała przytulić, i klepie mnie po plecach.

– Do widzenia. – Zdobywam się na uśmiech i schodzę na dół klatką schodową.

Okna kamienicy naprzeciwko są jak zawsze puste. Nadjeżdża taksówka. W chwili kiedy samochód rusza, z opuszczonej kamienicy wychodzi starszy mężczyzna w garniturze. Patrzę, jak oddala się w stronę parku. Wysiąść i pobiec za nim, krzyknąć do taksówkarza: „Za tym mężczyzną!"? Absurd.

– Dokąd? – pyta taksówkarz, a ja nie wiem, co odpowiedzieć. Przygląda mi się wyczekująco.

– Włókiennicza 56 – mówię w końcu, bo żaden lepszy adres nie przychodzi mi do głowy. Przecież nie jadę na żadne lotnisko, nie ma żadnego samolotu do Berlina, choć kiedy okłamywałam Amelię, na chwilę w niego uwierzyłam.

– Przeprowadza się pani? Niedobra okolica tutaj? – zagaduje mnie, ruszając z piskiem opon.

– Mniej więcej.

Nie przeszkadza mu widocznie moja zdawkowa odpowiedź, bo mówi dalej.

– Racja. Pyły od alei. Nawet na najwyższym piętrze jak się wypierze firanki, to za tydzień już czarne. Wiem, bo też tu mieszkam w okolicy. Wieczorem to się nie da oddychać, ale na Włókienniczej też nie lepiej.

Przytakuję mu tylko, kiwając głową.

– Co pani taka smutna?

– Mam kaca, załóżmy. – Uśmiecham się kwaśno.

Znowu nie przeszkadza mu lakoniczna odpowiedź i resztę dopowiada sobie sam.

– Trzeba wiedzieć, ile można wypić. Ale młoda pani jest, pić się pani nauczy. Tylko oby się pani coś do tego czasu nie przytrafiło. A słyszała pani? O tej dziewczynie, co ją zabili? Teraz te młode takie głupie i naiwne. Niech mi pani powie, która normalna dziewczyna wsiądzie z obcym mężczyzną do samochodu? Pisali, że miała dwadzieścia cztery lata. To chyba w takim wieku się powinno już mieć odrobinę rozumu? Żal dziewczyny, ale chciała się zabawić, to się zabawiła. Sama sobie winna.

Telefon wibruje. Dzwoni Karolina.

– Cześć. Dostałaś zaproszenie? – pyta, jakby wysłała mi je gołębiem pocztowym w perfumowanej kopercie.

– Tak.

– Przyjdziesz?

– Mogę przyjść.

– Moja znajoma jest organizatorką. Ty też ją może znasz? Zuzanna Kopiec. Środowisko feministyczne, spółdzielnie, haftowanie, woman power, wiesz. Ja też tam działam. Udzielam porad prawnych ofiarom przemocy domowej. No i ona zapytała, czy nie chciałabyś wygłosić przemówienia na tym marszu.

Zgadzam się. Karolina mówi coś jeszcze, ale już jej nie słucham. Znowu wibruje telefon. Tym razem to Łukasz Sosnowski. Nie wiem, czy dalej jest moim agentem, ale boję się przeczytać wiadomości, którymi bombarduje mnie od kilku dni. Samochód zatrzymuje się na miejscu.

– Szesnaście złotych wyszło, ale dla takiej ładnej pani może być piętnaście – mówi taksówkarz i uśmiecha się do mnie.

Bez słowa wysiadam z samochodu, wyciągam bagaże i idę w stronę kamienicy. Taksówkarz wychyla się z samochodu i krzyczy za mną.

– Zaraz! Co pani robi?! Niech pani tu wraca i płaci!

Spokojnie cofam się spod kamienicy w stronę taksówki, ale tylko na odległość kilku bezpiecznych kroków.

– Niestety, nie mam pieniędzy.

– Dzwonię na policję!

– Nie warto! Powiedzą, że jest pan głupi i naiwny! – wołam i szybko wchodzę do kamienicy. Na klatce słyszę dochodzące z góry głosy Słonecznego i mojego ojca.

– Tak, tak… Potwierdziliśmy pana alibi – mówi Huk, zbywając Słonecznego.

– I byłem w sklepie monopolowym, tam są kamery.

– Tak, tak, słyszałem, niech mi pan już da spokój.

Słoneczny zostaje na górze i woła za schodzącym na dół prokuratorem:

– Powodzenia w śledztwie! Kibicuję!

Chowam się do otwartej komórki na miotły. Do kamienicy wchodzi wściekły taksówkarz.

– Widział pan taką wysoką z tobołami?

Huk zbywa go jakimś fuknięciem i wychodzi z kamienicy. Taksówkarz macha ręką i wraca do samochodu.

Słoneczny wychyla się przez barierkę.

– Mery?

Nie odpowiadam. Schodzi na dół i otwiera drzwi komórki.

– Myślałem, że to lisy… Fajna miejscówka. – Uśmiecha się, trochę złośliwie, kącikiem ust.

Mierzymy się wzrokiem. W tym ułamku sekundy oboje próbujemy przypomnieć sobie, co sprawiało, że kiedyś mogliśmy godzinami leżeć w łóżku, mówiąc jakieś brednie i patrząc sobie w oczy.

– Nie mam siły wstać – mówię, a Słoneczny podnosi mój plecak.

– Twój stary był tu przed chwilą. Chowasz się przed ojcem w komórce na miotły?

– Przed nim też. Nie zapłaciłam za taksówkę – mówię i zamykam oczy.

– Pieprzyć ich… Co tu robisz?

– Nie mam gdzie mieszkać. Nie wiem, ile zostanę – mówię i wyciągam z kieszeni zmięte banknoty. – Masz tu na razie stówę.

– Nie musisz być taka wredna – mówi urażony, ale bierze ode mnie pieniądze. – Chodź na górę.

22. Przepaście

Kuchnię wypełniają brudne naczynia, pety, butelki i pudełka po pizzy. Jakieś pokryte grubą warstwą brudu papiery, pewnie fragmenty kolejnych nieskończonych powieści, i worki ze śmieciami z co najmniej dwóch ostatnich tygodni. Słoneczny podaje mi kubek z czymś gorącym. Kolor pozwala przypuszczać, że to barszcz albo grzaniec, zapachu nie czuję. Biorę łyk. Grzaniec.

– Wszyscy sobie poszli?

– Tak, nie musiałem ich nawet wywalać. Pan prokurator mnie wyręczył. Możesz zostać. Wypłoszyłaś małą na dobre.

– Nie wynajmujesz już materacy?

– Czasem tak, ale teraz nie muszę – mówi, a mój ospały mózg powoli to analizuje. Nie musi, więc ma skądś pieniądze. Gdyby chciał to ukryć, nie powiedziałby tego tak beztrosko. A może wręcz przeciwnie?

– Widziałeś tę sąsiadkę Weroniki? Wczoraj.

– Nie, nikogo nie spotkałem, ale kojarzę ją.

– Ona musi mieć jakiś monitoring w tej kamienicy albo cały dzień siedzi przy judaszu. Wygląda na taką.

Słoneczny przekrzywia głowę i opiera ją na dłoni.

– Jesteś teraz jak ja.

– W jakim sensie?

Śmieje się i mówi dalej.

– Uwielbiam, jak się tak najeżasz. Dosięgłaś dna. Granicy szaleństwa.

– Nie najeżam się…

– Albo może nie dna. Stoisz nad przepaściami. Tak wyglądasz, jak ktoś, kto stoi nad przepaściami – mówi i upija łyk z kubka. Jego spojrzenie pełza po mojej twarzy od oczu do ust, uszu, policzków, rejestrując uważnie każdy szczegół. To spojrzenie na coś czeka, szuka pretekstu.

– Kiedyś mi powiedziałeś, że nie potrafię przestać drążyć – mówię i odkładam kubek.

– Ale to nie to samo. Kiedyś byłaś po prostu upierdliwa, a teraz to się robi niebezpieczne. To nie jest sposób na poradzenie sobie z przeszłością.

– Z przeszłością?

Oparcie krzesła uwiera mnie w plecy.

– Z tym, co ci się kiedyś przytrafiło.

– Opowiadałam ci o tym? Tobie?

Słoneczny udaje, że jest urażony.

– Tak… Praktycznie zaraz po tym, jak się poznaliśmy.

– Czasem mówię za dużo… Masz papierosy? – zmieniam temat. Może nie ma papierosów, może trzeba będzie pójść do sklepu. Będzie można uniknąć tej głupiej rozmowy, nie zostając posądzonym o tchórzostwo.

– Mam. To nie jest sposób, i tyle.

– Tu chodzi tylko o Weronikę. To zupełnie co innego, to znaczy nie do końca… Właściwie wszystko jest tak samo – mówię, ale nie chcę kontynuować tego tematu. Milczy wyczekująco. Dobrze, wygrał. Powiem coś na ten temat, nie ucieknę od tego. Mogę nawet zażartować. – Chodziłam potem na jakąś głupią terapię. Psycholog kazał mi wypisać moje żale do tych „panów” i potem spalić kartkę. Czaisz?

– Co za głupota… Chcesz tego papierosa?

– Jednak nie… Nie wiem, to wszystko to nie jest coś, z czym można sobie po prostu dać spokój. Miotam się między jakimiś skurwysynami. Ona nie żyje, a wszyscy chcą zapomnieć i mieć święty spokój.

Słoneczny przyciąga swoje krzesło, tak żeby usiąść przede mną.

– Chodzimy po bardzo kruchym lodzie. Ja mogłem zginąć już co najmniej kilka razy, serio. Każdy, kto odważy się żyć, prosi się o śmierć. To są ich zasady.

– Ich zasady? – Nie wierzę, że znowu słucham jego paplaniny. Nie wierzę, że przekrzywiam przy tym głowę w prawo i biorę głęboki oddech. Uspokaja mnie patrzenie na jego twarz.

– Skurwysynów. Takich jak ci, którzy to zrobili – mówi ciszej.

Nie wiem, o których skurwysynach mówi: tych z historii mojej czy Weroniki, ale nie dopytuję.

Uśmiecham się tak jak on. Kącikiem ust.

– Wciąż nie mam pewności, czy to ty tego nie zrobiłeś…

– Nie zrobiłem.

– Nie powinnam ci wierzyć… Jutro znajdą mnie tu martwą. – Tak powinnam pomyśleć i stąd zwiewać.

– Też nie jesteś święta. Nie zapłaciłaś za taksówkę.

Pozwalam mu położyć rękę na moim kolanie i pocałować mnie w szyję.

– Ładnie pachniesz… – mówię i całuję go w usta. To trwa chwilę. Z karku uchodzi napięcie. Mięśnie się rozluźniają. Powolne ruchy warg usypiają mnie.

Kładę głowę na jego ramieniu. Zanosi mnie do łóżka. Potyka się po drodze o jakieś graty w korytarzu.

– Chcesz się kochać? – pyta, kiedy jesteśmy już w łóżku.

– Nie mam siły.

Głaszczę jego jasne włosy. Przytula się do mnie, bo w pokoju jest zimno. Szybko zasypia. Odwracam się na plecy i patrzę w sufit. Piekący ból oczu. Napięcie, które nie pozwala zasnąć, pomimo zmęczenia. Końcówka listu Daniela. „Muszę ponieść karę i wymierzę ją sobie sam". Jaka to będzie kara? Co zrobię, jeśli wrócę do mieszkania Weroniki, a on będzie stał w otwartym oknie? Powstrzymam go czy zaczekam, aż skoczy? Mam czasem przed snem okrutne myśli, których rano już nie pamiętam.

23. Marsz

Siedzę w kożuchu na małym taborecie i palę papierosa. Słoneczny powinien wynajmować ten balkon na godziny. Rozciąga się z niego jeden z tych optymistycznych, budzących nadzieję widoków porannego słońca zawieszonego nad rzeką i bulwarami. Idylliczny krajobraz zaburza co prawda umocowany na froncie upadłego hotelu Romanum wielki baner reklamowy, na którym znany piłkarz z dumą prezentuje ultrapłaski telefon. Podmuch mroźnego wiatru wpada do mieszkania przez otwarte drzwi i budzi Słonecznego.

– Zimnoo, co ty robisz...? – mamrocze.

Wychodzi na balkon zawinięty w kołdrę. Zaspany pokazuje w języku migowym, że chce papierosa. Wkładam mu jednego do ust i odpalam.

– Możesz palić w środku – mówi, wracając do pokoju.

– Nie lubię.

Wyrzucam niedopałek do pustej doniczki. Wracam do mieszkania i zamykam za sobą drzwi.

– Dalej stoisz nad przepaściami?

– Muszę stąd wyjechać...

Podchodzi i otula mnie kołdrą.

– Biedna, mała Mery...

Telefon wibruje w kieszeni kurtki zawieszonej na oparciu krzesła. Wysupłuję się z uścisku Słonecznego. Wzdycha zawiedziony i idzie do łazienki.

Znajoma Karoliny, Zuzanna Kopiec, pisze z pytaniem, czy będę na dzisiejszym marszu. Odpisuję, że tak. Na marsz trzeba ubrać się na czarno, bo będzie kontrmanifestacja ubrana na biało. Zuzanna wysyła mi link do grupy dyskusyjnej.

Ela pisze:

> każdy kiedyś był dla siebie obcy, jakoś trzeba poznawać ludzi. nikt nie ma prawa wykorzystywać cudzego zaufania i gwałcić, katować, upadlać!!!!!!

Gościko pisze:

> Przywrócić karę śmierci w męczarniach !!!! Śmierć za śmierć!

Maria odpowiada:

> Są sytuacje nieoczywiste, wiele ludzi dostało karę śmierci, a po czasie okazało się że byli niewinni. To co, wtedy sędziego na krzesło?

Artur pisze:

> stop przemocy wobec kobiet!!! kim trzeba być żeby czerpać przyjemność z krzywdy drugiej osoby? prawdziwy facet czerpie satysfakcję jak kobieta chce a nie musi!!!

Kasia pisze:

> Faceci, nie wstyd Wam że odpowiadacie za większość zła na tym świecie?

Intruz pisze:

macie efekt lewactwa i tolerancji dewiacji !!!!

Józefina odpowiada:

Piszesz o Kościele?

Jola odpowiada:

Efekt lewactwa i tolerancji dewiacji? Co ty pierdolisz? To efekt prawactwa, patriarchatu, mizoginizmu, maczyzmu i tej pieprzonej tradycji, która traktuje kobietę jak przedmiot, a facetom na wszystko pozwala.

Gosia odpowiada:

a kim byli sprawcy? POLACY I KATOLICY? dlaczego tego sie nie dyskusuje?

Malwina pisze:

jak mozna powiedziec ze ktos chcial czegos takiego, dobrze komus tak zasluzyla a co ona zlego zrobila? nieostroznosc tak, a oni to co aniolki moze i moze to oni sa ofiarami jeszcze..niech tlumacza tak samo zlodziei i innych wkoncu oni tez korzystaja na glupocie innych, ale tam nie ma takiego usprawiedliwiania jakos. z takiego chorego myslenia wynika ze jak ktos z kims gdziespojdzie, nie przepraszam kobieta, to mozna ja zgwałcić i zabic.

Julia pisze:

Panowie czy jestescie dumni z swojej plci ?bicie żon gwałty pedofilia ile procent kobiet to robi a ilu facetow?paskudna plec

egoistyczne zwierzeta wykorzystujace wlasna przewage silowa

Natalia pisze:

Gwałt to jest ohydna zbrodnia przeciwko człowieczeństwu. Tylko zwierzę nie panuje nad popędem!!! Zgadzam się, że dobrą karą za wyjątkowo obrzydliwy czyn jakim jest gwałt, czy gwałt zbiorowy jest kastracja. Zniszczonej psychiki osoby zgwałconej nie naprawi żadna terapia, nawet po 30 latach koszmary powracają!!!

Sabina pisze:

A mnie zawsze zastanawia dlaczego wszystkie wielkie feministki nie walczą z obrzezaniem kobiet i gwałtami w krajach islamskich. O tym cicho sza, łatwo się bije piane na swoim podwórku haha.

Ola odpowiada:

Jak feministka zajmuje się sytuacją kobiet w innej kulturze, to słyszy: czemu nie pomaga tu na miejscu.

Marta pisze:

Najbardziej religijni mężczyźni są najgorsi. Chuje jakich mało, biją w imię Boże, gwałcą, niby dlaczego nie chcieli zatwierdzenia konwencji antyprzemocowej – po prostu chcą legalnie bić kobiety!!!!! Katolicyzm to mizoginizm, szariat, kobiety powinny zniszczyć kościół katolicki, za to, że nas gnębi.

Słoneczny wychodzi z łazienki kompletnie nagi. Wyłączam telefon. Patrzę, jak bez skrępowania chodzi po pokoju i kompletuje dzisiejszy

strój. Zachowuje się tak jak wtedy, kiedy byliśmy parą. Znowu mam wrażenie, że nigdy nie wyjechałam z tego miasta.

– Twoje głupie zdjęcie za trzysta złotych chyba rozpętało jakąś, hm… „debatę społeczną" – mówię i patrzę na jego pośladki, kiedy odwraca się plecami, żeby znaleźć czyste spodnie w stercie ubrań na fotelu.

– Słyszałem. Będzie jakiś marsz. Nawet dwa. Feministki kontra siły ciemności. Widzisz, nawet idioci czasem się przydają – żartuje i dalej półnagi, ale przynajmniej z zakrytym tyłkiem, znika w kuchni. Idę za nim.

– Nie wiem, czy cokolwiek pożytecznego z tego wyniknie – mówię, obserwując, jak z zapalonym papierosem w ustach szuka w zlewie najmniej brudnego talerza, oblewa go gorącym strumieniem wody i wyciera pokrytą plamami ścierką.

Z lodówki wyciąga parówki i musztardę. Odgarnia z blatu śmieci, żeby zrobić miejsce na przygotowanie kawy, i wyciąga dwie suche bułki z szafki, z której wysypuje się trochę soli, albo cukru.

– Śniadanko? – pyta, uśmiechając się zachęcająco, wcześniej wyjąwszy papierosa z ust. Widzi, że znowu mierzę go tym badawczym, zdumionym spojrzeniem, które szuka powodów naszej dawnej zażyłości.

Uśmiecham się.

– Muszę lecieć.

– Żałuj – odpowiada, podkreślając każdą sylabę, i zabiera się do przygotowania kawy.

Wychodzę z mieszkania i naprawdę trochę żałuję. Chociaż niekoniecznie „śniadanka" z tym mężczyzną. Niszczę w sobie takie sentymenty. Każdy mój związek i tak prędzej czy później zamienia się w piekło, a liczba zjedzonych ze sobą śniadanek, wypitych kawek, spacerków i zachodów słońca nad rzeką tego nie zmieni. W pewnym

momencie staję po prostu przed ścianą i próbuje ją pokonać, waląc głową. Łatwiej więc, i bezpieczniej, z tego wszystkiego zrezygnować, zanim się zacznie.

25. Matka

Jadę tramwajem na drugi koniec miasta. Pieprzona Zuzanna Kopiec. W kieszeni wibruje mi telefon. Łukasz Sosnowski. Wyciszam dzwonek i chowam telefon do kieszeni. Huk się mylił. Odwiedzam matkę regularnie. Chociaż wszystkie te spotkania wyglądają tak samo i, jak twierdzą lekarze, nie mają wpływu na jej stan. Przychodzę, matka leży albo siedzi na łóżku, wpatrzona w jakiś punkt poza zasięgiem wzroku. Albo śpi. Posiedzę chwilę, potrzymam ją za rękę, żeby upewnić się, że jest jeszcze ciepła, i wychodzę.

Matka już nie jest matką. To skorupa, w której matka się ukryła i połknęła klucz. Skorupa, z której wyszła albo w której to, co było matką, rozpłynęło się. Uśmiecha się czasem, ale tak naprawdę tylko drżą kąciki jej ust. Huk nie rozumie, że matka odeszła, choć nie możemy jej pochować. Kiedyś ten stan nazywało się ostrą, śmiertelną katatonią, chociaż sama w sobie nie prowadzi do śmierci, oznacza tylko powolne rozkładanie się ciała pozbawionego świadomości.

Szpital psychiatryczny zepchnięty jest na skraj miasta i odgrodzony od mieszkaniowego osiedla pięknym, rozległym parkiem. Idę przez ten park. Telefon znowu wibruje. Esemes od Łukasza: „Widziałem w internecie! Jesteś genialna! Producenci dzwonili! Masz na mailu cztery scenariusze o przemocy wobec kobiet i gwałtach. Wybierz któryś. Musimy szybko dać do mediów informację, że zaczynasz pracę nad takim filmem! Pieprzyć tamten projekt. Wybierz do wieczora scenariusz!”. Wchodzę do szpitala. Na oddziale zamieniam kilka słów

z salową, a potem otwieram drzwi do pokoju. Chcę to szybko mieć za sobą, jak zawsze.

Matka siedzi na krześle przy oknie, wzrok ma utkwiony ponad horyzontem wszystkiego, co da się stąd zobaczyć. Siadam na skraju łóżka i patrzę na nią. Podnosi rękę do ust i ją opuszcza, podnosi i opuszcza. Co ona tam widzi? Musi coś widzieć. To spojrzenie obiega planetę i wraca do oka. A potem znowu wyrusza w tę samą drogę, i tak w kółko.

Matka od zawsze przeciekała nam przez palce. Sączyła się jak delikatny, kwiatowy zapach perfum, który otula cię do wieczora. Wąchasz koszulę następnego dnia rano i czujesz miłe zaskoczenie, że cień tego zapachu dalej tam jest. Z matką było tak samo. Nie pamiętam jej silnej. Nie musiała być silna, nie wymagałam tego od niej, nikt tego od niej nie wymagał. Coś w środku ją pożerało. Coś, czego nigdy nam nie wyjawiła, a co teraz na dobre zamknęła w swojej skorupie. Miała na imię Matylda. Ma na imię Matylda.

Nie pamiętam jej innej niż z tych ostatnich lat. Na szafce stoi stary magnetofon ojca. Kasety, na które nagrywa monologi do matki, leżą w szufladzie.

Ojciec też zamurowuje się w swojej skorupie. Zasłania, zabija dechami kolejne okna, a potem kładzie się na tapczanie i słucha starych rockowych płyt. Śpi w swetrze z dziurami na łokciach, w którym chodzi cały dzień. Nie może przełykać stałych pokarmów. Je jogurty i pije soki owocowe. Pamiętam go z ostatnich miesięcy, które spędziłam w domu. Z tych ostatnich miesięcy, kiedy jedyny raz pozwolił sobie pogrążyć się w rozpaczy. Nie miał nikogo oprócz mnie i matki. Żadnych tak zwanych bliskich ani prawdziwych przyjaciół. Otwieram szafkę – jest w niej jeszcze więcej kaset. Pakuję je wszystkie do torby.

Matka wstaje z krzesła i rozpoczyna spacer po pokoju. Dwa razy przemierza powoli dystans między drzwiami a oknem, później wraca na swoje miejsce. Widzę, że pod nocną koszulą ma założonego pampersa. Przedramiona pokryte są śladami po wenflonach. Od niedawna trzeba ją odżywiać pozajelitowo. Nie wiadomo, jak długo organizm będzie się na to godził.

W tych ostatnich latach czasem, w przypływie ożywienia, żartowała. Nazywała mnie „córeczką tatusia". Była w tym ironia i żal, że nie jestem córką, która podkrada jej kosmetyki. Że nie mamy wspólnych tajemnic, babskiego świata, do którego ojciec nie miałby dostępu. Z niej wzięłam może tylko to ciągłe rozkojarzenie. Tak, chciałam być jak ojciec. Trochę nią gardziłam, a ona o tym wiedziała. Była dla mnie potulną mimozą. Uległą, zawsze współczującą, miłą w dotyku, ciepłą podusią. Takie kobiety lubię tylko oglądać i tylko na zdjęciach.

Siwe włosy ma związane gumką z tyłu głowy, zaraz nad karkiem. Pamiętam, że ojciec prosił, żeby jej ich nie ścinać. Mówił, że nie chciałaby tego, zawsze bardzo dbała o swoje długie, gęste czarne włosy. Miała obsesję na punkcie włosów. Moich też. Ta obsesja objawiała się między innymi w absurdalnym systemie mycia mi włosów, kiedy byłam dzieckiem. Dzień w dzień musiałam tkwić nieruchomo z odchyloną głową i znosić szampon wlewający się do oczu i ból szyi, który narastał z każdym zamaszystym ruchem matki szorującej mi głowę tak mocno i dokładnie, jakbym miała na niej złogi co najmniej miesięcznego brudu. Krzyczałam, że to boli, ale ona nie zwracała na to uwagi i szorowała dalej. Potem godzinami potrafiła upinać mi z tych włosów przy pomocy metalowych, ostrych na końcach wsuwek jakieś niepraktyczne warkocze, całe korony tych warkoczy. Matka siada na łóżku i zamiera. Nie ruszy się pewnie z tej pozycji przez następne kilka godzin.

– Wszystko w porządku? – Młoda pielęgniarka zagląda do pokoju.

Nie wiem, o czyje samopoczucie pyta: moje czy matki.

– Chyba tak – odpowiadam.

Pielęgniarka wchodzi i poprawia poduszki.

– Wie pani, co jej się stało? – pytam nagle.

– Nie. – Kręci przecząco głową i dodaje: – Jestem na tym oddziale od niedawna.

– Mój ojciec, czyli prokurator Huk, współpracował z CBŚ. Byli blisko rozbicia tak zwanego Gangu Axela. Narkotyki, handel żywym towarem, porwania, morderstwa na zlecenie. Szantażowali go, ale on nie dał się zastraszyć. Napadli więc mnie i matkę w domu – mówię, pomijając moją część tej historii. – Porwali ją i wysłali wtedy do ojca ostatnią propozycję współpracy. Nie skorzystał z niej. CBŚ weszło do jednego z domów szefa, Axela, który według informatora miał być główną siedzibą gangu. Zastrzelili tam paru gangsterów, reszta uciekła za granicę, Axel też. Matki tam nie było. Znaleźli ją trzy dni później na terenie innej kryjówki, daleko za miastem. Pochowaną żywcem w głębokim dole. Miała powyrywane paznokcie, bo próbowała stamtąd wyjść po pionowej ścianie ziemi. Nie dowiedzieliśmy się, co właściwie jej zrobili. Kiedy ją stamtąd wyciągnęli, była już taka jak teraz.

W odpowiedzi na to wszystko pielęgniarka wyrzuca z siebie jakiś krótki, wymuszony komentarz. To znaczy tak byłoby, gdybym naprawdę opowiedziała jej historię matki, ale przecież nie robię tego. Wyobrażam sobie tylko, jak to mówię, a ona z uwagą słucha.

Dzwoni telefon. Karolina. Przepraszam pielęgniarkę i odbieram. Od razu przystępuję do ataku:

– W co ty mnie wrobiłaś?! Miałam przygotowane kilka słów, ale ta Zuzanna Kopiec wyjechała z przezabawną ciekawostką… Myślałam, że ją

zabiję! Zaczęłam gadać jakieś bzdury… Po jaką cholerę to wyciągnęła? Mam teraz przesrane, wszystko przejdzie do mediów i zaczną się pytania, dlaczego zmieniłam nazwisko, dlaczego o tym nie mówię… Skąd ona w ogóle o tym wiedziała?!

Karolina chwilę zastanawia się, co odpowiedzieć.

– Może coś mi się wymsknęło… Przepraszam. Ale to jest teraz nieistotne. Mamy go. Właściwie. Tak można powiedzieć, że go mamy.

– Co to znaczy „właściwie”? – Podrywam się z krzesła. Matka dalej siedzi na łóżku wpatrzona w ścianę.

– Nie słyszałaś, co się stało? Daniel popełnił samobójstwo. A dziś zweryfikowaliśmy jego alibi. Był wtedy w mieście, nie wyjechał na narty. Kłamali oboje, z żoną. Przesłuchaliśmy ją dziś. Zaczęła kłamać, że był wtedy w domu, ale pękła podczas przesłuchania. Nie wie, gdzie Daniel był w nocy z czwartego na piątego lutego, wtedy kiedy porzucono Weronikę w lesie. Jesteś tam?

– Tak… Ale to nie on – mówię, myśląc o jego liście.

– O czym ty mówisz? Gdyby nie popełnił samobójstwa, zostałby dziś aresztowany. Byłby proces.

– Przecież Weronika nie rozpoznała sprawcy.

– Była w szoku, a może po prostu go kryła.

– Ale nie macie pewności? – pytam i czuję narastający gniew.

– Nie mamy, ale to są mocne poszlaki. Pękłby podczas procesu. Teraz przez jego powiązania dojdziemy do tego drugiego. Wiesz, jak się zabił? Włączałaś dziś w ogóle internet?

– Tak, przed tym pierdolonym marszem.

– Dwie godziny temu podpalił się na cmentarzu przed grobem Weroniki. Ktoś to nagrał i wrzucił do internetu. Prześlę ci, zanim usuną

– mówi szybko Karolina. Jest niezdrowo podekscytowana. – Wszystko to świadczy przeciwko niemu.

– Napisał do mnie list. Nie zabił się dlatego, że stracił alibi. Planował to wcześniej – mówię, ale tracę pewność.

Może w liście też kłamał? „Prosiła, żebym nigdy się nie zatrzymywał. Nawet gdyby błagała". Może napisał ten list, bo chciał, żebym dążyła do oczyszczenia go z zarzutów?

Słyszę, że Karolina zaraz zemdleje z wrażenia.

– I co było w tym liście? Musisz go nam pokazać!

– Muszę kończyć. – Rozłączam się. Karolina po kilku sekundach przesyła mi link do nagrania: „SAMOSPALENIE NA CMENTARZU". Film przesłany został godzinę temu przez użytkownika Kyle893. Ma trzydzieści tysięcy wyświetleń.

Nieostry obraz z kamery w telefonie. Nagrywający jest oddalony o kilkadziesiąt metrów od Daniela, który stoi przed grobem Weroniki. Beżowy płaszcz leży na ziemi koło kanistra z benzyną. Mocny wiatr zmiata śnieg z nagrobków. Daniel podnosi obiema rękami kanister. Oblewa benzyną twarz, rękawy koszuli, spodnie. Nagrywający biegnie w jego stronę. Obraz się trzęsie. Daniel odpala zapałkę i jego koszula zajmuje się ogniem. Wystarcza kilka sekund i cały płonie. Krzyczy rozpaczliwie. Biegiem rzuca się między grobowce. Obraz znowu się trzęsie. Daniel upada, tarza się po ziemi, ale ognia nie da się już powstrzymać. Film urywa się.

Chowam telefon do kieszeni. Matka odwraca się w moją stronę i patrzy na coś przez moją głowę.

24. Czarni i biali

Marsz dla Weroniki wyrusza spod prokuratury. Tłum nie krzyczy, nie tupie nogami, nie wali w bębny. Ubrani na czarno ludzie stoją ściśnięci w wąskiej alejce. Zbiera się coraz więcej osób. Nadciągają i w grupach, i samotnie. Z czarnymi parasolami i transparentami. Czytam hasła z transparentów. „Won od naszych macic", „Ukarać sprawców!", „Gwałciciele na Madagaskar!", „Moja macica to nie twoja mównica". Wszyscy przyszli poczuć się silni. Wyszli pokazać, że też mają swoją sprawę. Kilka lesbijskich par trzyma się za ręce. Mnóstwo jest emerytek i studentów, każda z grup stoi osobno. Rodziny z dziećmi, kilkuletnie dziewczynki z czarnymi chorągiewkami. Tłum rusza się wreszcie z miejsca. Ubrane w żółte kamizelki dziewczyny ze służb porządkowych dbają, żeby nikt nie blokował chodnika. Przez milczący pochód przebija się na rowerach dwóch podchmielonych wyrostków. Wołają: „Marsz czarnych cip" i gwiżdżą. Denerwują się, jakby ktoś rzeczywiście specjalnie blokował im przejazd. Widzę grupkę dziewczyn, najwyżej w wieku licealnym, które namalowały sobie na policzkach czarne kreski. Barwy wojenne. W kieszeni wibruje telefon. Łukasz Sosnowski. Odbieram.

– No kurwa, w końcu. Nie piszą w internecie, że nie żyjesz, więc zakładam, że mnie po prostu olewasz. Nie przyszłaś na spotkanie. Producenci się wycofują, możesz się pożegnać z wejściem na plan w czerwcu.

– Dobrze – odpowiadam spokojnie, choć Łukasz prawie krzyczy.

– Dobrze? Jakie dobrze?! Ciebie pokurwiło do reszty, ogarnij się! Gdzie ty w ogóle, kurwa, jesteś?

– Na marszu.

– Na jakim marszu? Zresztą, kurwa, nieważne, zadzwoń wieczorem, jak już wykupisz receptę od psychiatry. Myślisz, kurwa, że możesz sobie tak zniknąć, nie odbierać telefonów, olewać spotkania? Jeszcze tydzień i zginiesz marnie na dobre. Takich zdolnych dziewczynek po szkołach jest mnóstwo i wiesz… – Słyszę, że Łukasz dopiero się rozkręca, więc się rozłączam.

To nie jest pochód żałobny. Między maszerującymi panuje nastrój patetycznego podniecenia. Może to nic nie zmieni, ale pokażą, że potrafią się zjednoczyć. Nie są bezimiennymi, pojedynczymi głosami. Potrafią zebrać się w legion. Legion, który zagarnia przechodniów z ulicy, przyciąga swoją siłą.

Szeroka, kilkupasmowa aleja na szlaku z prokuratury do rynku została całkowicie wyłączona z ruchu. Kiedy marsz przekracza most, czuję chyba to samo, co wszyscy: każdy ma tu wrażenie, że idzie zdobyć to miasto.

Pochód dociera na rynek. Liderka marszu, Zuzanna Kopiec, odzywa się przez megafon. To znak, że można przerwać ciszę. Zespół bębniarek ze spółdzielni Światło wali w instrumenty. Tłum klaszcze, dziękując sobie nawzajem za obecność. Skandują. Zuzanna Kopiec zachęca przez megafon: „Myślę, czuję, protestuję!”. W tym momencie na płytę rynku wylewa się manifestacja ludzi ubranych na biało. Mają zupełnie inne transparenty. „Karać za perwersje seksualne!”, „Rodzina, ojczyzna i Bóg!”, „Stop seksualizacji dzieci i młodzieży!”, „Aborcja = morderstwo!”, „Homoseksualizm to droga do piekła!”. Są mniej liczni, ale głośniejsi. Mają ze sobą stadionowe trąby i gwizdki. Widzę głównie chłopców od

stóp do głów odzianych w odzież patriotyczną. Oni i emerytki oplecione w różańce wysunęli się na czoło tego białego marszu.

Tłum ubranych na czarno skanduje więc swoje hasła jeszcze głośniej. Zuzanna Kopiec tańczy z megafonem przed zespołem bębniarek. Jest wysoka i mocno zbudowana. W czarnym futrze i upiętych w kok na czubku głowy rudych dredach wygląda jak pogańska wojowniczka. Czoło czarnego marszu tańczy już afrykański taniec do rytmu wybijanego przez bębniarki. Biały marsz zawodzi przez pielgrzymkowo-stadionowe megafony: „Ojczyznę wolną racz nam zwrócić, Panie".

Zuzanna Kopiec, przekrzykując obie manifestacje, oznajmia, że czas na przemówienia, i zaprasza profesor Marię Zenonowicz. Przeciskam się w ich stronę, choć myślę już o ucieczce.

Profesor Maria Zenonowicz wychodzi na podwyższenie i zaczyna mówić. Ma cienki, piskliwy głos, którym stara się przekrzyczeć trąby i gwizdki białego marszu.

– Nie mogę przestać myśleć o tej kobiecie – mówi, a tłum oklaskami zachęca ją do podniesienia głosu. – Ludzie wieszają psy na ofierze. Piszą, że sobie zasłużyła. Tak, była naiwna i nieostrożna. To, że ofiara zachowała się nieostrożnie, nie umniejsza winy sprawców! Nie oznacza, że wolno im było ją zgwałcić! Prawda jest taka, że została zamęczona na śmierć przez bestie! I te bestie powinny zgnić w więzieniu i latami spać plecami do ściany! Ciągle to kobieta jest winna, że ją zgwałcono. Albo się prowokacyjnie ubrała. Albo zawarła niewłaściwe znajomości. Biegała wieczorem w obcisłym ubraniu. Śmiała się głośno. Sama sobie winna, sama tego chciała. Dobrze jej tak! A gwałciciel tylko skorzystał z okazji. Żadne okoliczności gwałtu nie sprawiają, że ofiara odpowiada za ten obrzydliwy czyn. Kary przewidziane przez polskie prawo za tego typu przestępstwa są żałośnie niskie. I to, że tu jesteśmy, oznacza, że nie

zamierzamy się na to dłużej godzić! Dopiero teraz minister deklaruje poprawki w ustawie! Inne projekty jakoś szybko trafiają do Sejmu i jeszcze szybciej są przepychane, a z tym jakoś się minister nie spieszy! Ma inne sprawy na głowie, ważniejsze. Ważniejsze niż my – kobiety. Rozliczymy was w wyborach! – Kiedy kończy przemawiać, tłum długo bije brawo i skanduje kilka razy: „Myślę, czuję, protestuję!". Profesor Zenonowicz oddaje megafon Zuzannie.

– Kolejne przemówienie wygłosi przyjaciółka Weroniki, reżyserka Mery Malinowska – mówi liderka. Wchodzę na podwyższenie, ale Zuzanna Kopiec ma jeszcze coś do dodania. – Sześć lat temu Mery została zgwałcona przez przestępców w swoim domu, na oczach własnej matki. Sprawcy do tej pory nie zostali ukarani! Dziś zgodziła się wesprzeć nas swoim głosem! Koniec milczenia i przemocy wobec kobiet! – Przez tłum przechodzi fala oklasków i zachęcających okrzyków, a mnie przeszywa zimny dreszcz.

Zuzanna Kopiec podaje mi megafon. Mam ochotę zamachnąć się i zdzielić ją nim w głowę. Opuszczam dłoń z megafonem, ważąc go w dłoni. Jest wystarczająco ciężki. Odwracam się w stronę wyczekującego tłumu. Biały marsz po drugiej stronie rynku dalej śpiewa: „Ojczyznę wolną racz nam zwrócić, Panie".

Wyprowadziłam się do innego miasta i zmieniłam nazwisko. Użyłam pseudonimu jako imienia. Marianna Huk stała się Mery Malinowską. Są ludzie, którzy zapamiętują szokujące rewelacje z gazet. Są nawet tacy, którzy zbierają wycinki. Nie chciałam być już nigdy kojarzona z nagłówkiem: „Córka prokuratora Marianna Huk (19 lat) zgwałcona we własnym domu przez nieznanych sprawców" i z dalszą częścią tej historii, która dotyczy mojej matki. Teraz stoję tutaj z megafonem w dłoni. Ktoś znowu zamyka mnie w słowie „ofiara". Patrzę na Zuzannę

Kopiec, która zachęca mnie, energicznie kiwając głową. Odwracam się w stronę tłumu zakłopotanego przedłużającą się ciszą. Zuzanna Kopiec mobilizuje ich do oklasków.

Przykładam megafon do ust. Pierdolę ich wszystkich.

– Uważam, że takim zwyrodnialcom powinno się obcinać jaja! Niech umierają w męczarniach! Śmierć za śmierć! – krzyczę, cytując internetowe forum.

Tłum milczy jeszcze dobitniej niż wcześniej. Nagle część wybucha wrzaskiem i głośnymi brawami, które stopniowo udzielają się wszystkim. Wciskam megafon w ręce zmieszanej Zuzanny Kopiec, stojąca obok profesor Zenonowicz zdegustowana kręci głową. Przedzieram się w stronę wychodzącej z rynku pustej ulicy. Dolatują do mnie jakieś urywki zdań: „Gratuluję!", „Nikt nie ma odwagi tego powiedzieć!", „Jedyne wyjście!", „Nie byłoby żadnych gwałtów!".

Po drugiej stronie rynku cichnie „Ojczyznę wolną…", a lider białego marszu zaczyna wrzeszczeć o agresji lewactwa i przedmurzu chrześcijaństwa chroniącym Europę przed zboczeniem. Chłopcy w patriotycznych dresach odpalają race i w stronę czarnego marszu lecą plastikowe butelki. Następuje starcie czół obu grup, aż w końcu obie te ludzkie masy mieszają się w czarno-biały chaos. Moja kurtka jest mokra od zimnego potu. Uciekam pustą ulicą odchodzącą od rynku.

26. To nie on

Obskurna klatka w kamienicy Słonecznego przyprawia o dreszcze, choć wiem, że mieszkają tu przede wszystkim małomówni alkoholicy, których spotyka się, gdy koło południa wychodzą uzupełnić zapasy w sklepie monopolowym. Nie znam innego miasta, w którym alkohol można by kupić prawie na każdym rogu.

Drzwi do mieszkania Słonecznego są zamknięte. Pukam i dzwonię, ale nikt nie odpowiada. Pewnie wyszedł do sklepu po papierosy. Podnoszę wycieraczkę, zostawił klucz. Otwieram drzwi, starając się nie wywołać najmniejszego hałasu, nie wiem dlaczego. Może myślę, że ktoś tam jest? Wchodzę do środka i czuję zapach trawy. Słoneczny wypalił jointa przed wyjściem? Wyciągam telefon. Wybieram jego numer. Nie odpowiada. Wchodzę do kuchni. Musiał siedzieć tu cały dzień. Popielniczka zapełniona petami. Na stole kilka nowych kubków po kawie. Wchodzę do łazienki i natychmiast zauważam wiadomość na lustrze. Kartka z zeszytu w kratkę przyklejona przeźroczystą taśmą. Patrzę na trzy wyklejone z gazetowych liter słowa: „TO NIE ON” i jeszcze jedno zdanie dodane na dole: „JESTEM ZA TOBĄ”. Patrzę na swoje odbicie. Strach. Nie potrafię się odwrócić, jeśli to zrobię, on rzeczywiście będzie stał za moimi plecami. Zamykam drzwi łazienki na klucz. Otwieram szafkę nad umywalką. Jakieś tabletki, żele do golenia. Coś ostrego, chociażby żyletka. Otwieram kosmetyczkę. W środku tylko gruby plik banknotów. Siadam pod drzwiami i opieram się o nie. Gruby plik banknotów…

Jest w mieszkaniu. To nie Słoneczny wypalił jointa. On jest w mieszkaniu. Nie zdążył wyjść. Kiedy pukałam, szukałam klucza, otwierałam drzwi, w panice podejmował decyzję, co teraz zrobić. Podnoszę głowę. Zamek w drzwiach jest słaby. Wystarczy pchnąć je mocniej. Przytykam ucho do drzwi. Przechodzi przez mieszkanie. Stara się stawiać stopy ostrożnie, ale drewniana podłoga w korytarzu skrzypi. Wchodzi do kuchni. Nie planował tego. Chciał zostawić wiadomość i wyjść. Chciał dalej ciągnąć grę. Jeśli teraz wróci Słoneczny, on go zabije, jeśli nie wróci, zabije mnie. Nie mogę krzyczeć, jeśli krzyknę, będzie musiał zareagować. Zanim ktoś, kto mógłby go powstrzymać, zdąży wyważyć drzwi wejściowe, będzie już po wszystkim. Wychodzi z kuchni i idzie w stronę łazienki. Wstrzymuję oddech. Stoi pod drzwiami. Naciska klamkę, a ja zamykam oczy. Puszcza klamkę. Kroki się oddalają. Słyszę, jak cicho zatrzaskują się drzwi wejściowe.

Nie wiem, jak długo tam siedzę. Liczę spadające do umywalki krople. Słyszę, że ktoś wchodzi do mieszkania. Nie skrada się. Szybko przechodzi przez korytarz do pokoju i wraca.

Słyszę głos Słonecznego.

– Mery? Jesteś? Czemu nie zamknęłaś drzwi? Słyszałaś, co się stało? Daniel podpalił się na cmentarzu! To jakaś paranoja… Mery! Jesteś tu? – Puka do drzwi łazienki.

Podnoszę się ciężko i otwieram.

– Znowu się chowasz? – pyta.

Przepuszczam go w drzwiach. Widzi kartkę na lustrze i domyśla się prawie wszystkiego, resztę opowiadam, coraz mocniej trzymając się jego torsu. Sprawdzamy, czy zniknęło coś z mieszkania. Widzę rozrzucone rzeczy z walizki, obok niej leży otwarty na ostatniej stronie list od

Daniela. Przeczytał go? Między szparami w drewnianej podłodze leży niedopalony joint.

– Musimy zadzwonić na policję – mówi Słoneczny.

Kręcę głową.

– Ty zadzwoń. Nie mam siły. Uważaj, tu jest niedopałek. Jadę do ojca.

27. Ojciec/Huk

Jest zdziwiony, kiedy widzi mnie w drzwiach. Nie odsuwa się tak, żebym mogła normalnie wejść, tylko stojąc w drzwiach, przepuszcza mnie. Nienawidzę tego. Jakbym nie umiała sama zamknąć za sobą drzwi. Przechodząc obok niego, czuję alkohol. Jest już pijany. Dziś nie pojedzie sam na miejsce włamania, tylko „wyśle tam ludzi".

– Na pewno nie przyszłaś na pogaduszki – mówi, przybierając stanowczy ton.

Wchodzę do salonu. Paskudne mieszkanko, które odziedziczył po babce. Wskazuje mi krzesło przy stole, ale siadam na innym. Opowiadam mu o wszystkim, co wydarzyło się dziś w mieszkaniu Słonecznego. Wychodzi zadzwonić.

– Nie znaleźli jeszcze nic poza tym niedopałkiem. Zdejmują odciski palców. – Stawia na stole dwa kubki z zimną herbatą.

– Przyszłam, bo jest jeszcze coś. Daniel zostawił mi list. – Podaję mu przez stół pomięte kartki.

Czyta, a ja z odrazą siorbię zimną herbatę. Po kilku minutach odkłada list i chowa twarz w dłoniach.

Zwraca się do mnie, masując skronie:

– Dlaczego nam tego od razu nie pokazałaś?

– Bo wiem, co z tym zrobicie. I to jeszcze teraz, po tym, co dziś się stało. Przecież chcesz mieć winnego. Dla telewizji i bab w sklepie na dole – mówię szybko, ale staram się panować nad sobą.

– A ty, co z tym zrobisz? Wierzysz mu?

– To nie on – mówię i przyglądam się twarzy ojca.

Postarzał się, to oczywiste. Przytył. Oczy obrosły mu tłuszczem. Małe, czerwone oczka alkoholika. Nie dba już w ogóle o siwiejącą, gęstą brodę. Przycina ją pewnie nożyczkami, ale najwyżej co kilka tygodni.

– Wiadomość na lustrze mógł zostawić jego wspólnik, ten drugi. Próbuje zatrzeć trop. Wie, że Daniel, nawet jeśli już nie żyje, może go wsypać. A ten list może być jednym wielkim kłamstwem. A nawet jeśli nie, to niczego nie wyklucza – mówi do mnie coraz bardziej protekcjonalnym tonem.

– To nie Daniel. Gdyby chciał ją zabić, po co byłby mu cały ten cyrk? Jakiś wspólnik zapraszający ją na kolację, usypianie w samochodzie. Ktoś, kto to zrobił, krąży wokół nas, ale nie odważy się podejść blisko.

– Ludzie w tym środowisku lubią się zabawiać w różne inscenizacje. Może zabawa wymknęła się spod kontroli? – pyta retorycznie i idzie wylać zimną herbatę. Wyciąga z szafki butelkę brandy i nalewa sobie pełny kubek.

– To nie była zabawa zwykłych zboczeńców – mówię.

– Nic takiego nie powiedziałem. Może to był jakiś psychopata, kolejny w tym mieście fan Lectera? Psychopaci potrzebują uznania. Nie chcą, żeby ich zbrodnie przypisano niewłaściwej osobie. Może Daniel był właśnie takim psychopatą? Albo jest nim jego wspólnik, który bawi się teraz w zostawianie liścików?

– Słyszałam o takiej sprawie. Kobieta wysiadła z pociągu na jakiejś wiejskiej stacji i przepadła. Przez pięć lat nie mogli jej znaleźć, aż w końcu odezwał się sygnał w jej telefonie. Skurwiel, który ją zabił, po tych wszystkich latach podarował tamten telefon żonie. Dlaczego on to zrobił?

– Był idiotą i nie przeklinaj. Może zapomniał, skąd ma ten telefon? Powiem ci coś – przerywa i bierze łyk brandy – ja nie wierzę w walkę o sprawiedliwość. Ja wypełniam procedury. Reszta jest kwestią przypadku i szczęścia. Może jesteś zawiedziona, bo miałaś nadzieję, że ta sprawa rozwiąże się bardziej spektakularnie, jak na filmach. Ale tak nie będzie. Daniel brał w tym udział, wszystko wskazuje na niego i przez jego powiązania dojdziemy do wspólnika. Popełnił samobójstwo, żona przyznała się do kłamstwa w sprawie alibi. Podał nam się na tacy i tak to jest. Sprawy rozwiązują się same albo w ogóle, a ja po prostu wypełniam procedury.

– Dlatego nie szukałeś potem tych bandytów, którzy porwali matkę? – pytam.

Znowu pomijam moją część historii. Oczywiście wie, co wydarzyło się, kiedy przyszli do naszego domu, ale na ten temat nigdy nie padło między nami ani jedno słowo. Wymazaliśmy to.

– Gdzie miałem ich szukać? Przepadli w Ameryce Południowej – mówi i odstawia szklankę. Robi to zbyt gwałtownie i to zdradza jego zdenerwowanie. Brandy rozlewa się na stół, ale Huk to ignoruje. – Chciałaś, żebym wyjechał ścigać ich po świecie? Żebym wrócił po dziesięciu latach życia w dżungli z breloczkiem wyrzeźbionym z kości ich czaszek?

– Chyba tak – przyznaję bez wstydu. Nie powiem mu, że może wtedy wystarczyłoby, żeby odezwał się do mnie czasem, zamiast całymi dniami pić i leżeć na tej starej złożonej wersalce. – Mogłeś zrobić cokolwiek. – Podnoszę się z krzesła. Przypominam sobie o pliku banknotów nad umywalką w łazience Słonecznego. – Czy Słoneczny dalej jest podejrzany? – pytam nagle i widzę na twarzy ojca wyraz tryumfu.

– Ten twój bezrobotny były chłopak? Michał? Czyżbyś przestała być pewna swoich świetnych przyjaciół? – odpowiada mi pytaniami i upija łyk brandy.

– Pytam, czy jest podejrzany.

– Tak, chociaż jego alibi jest potwierdzone. Ma szczęście, bo w przeciwnym wypadku nie dałbym mu żyć. Wiem, że ma spore długi w kasynach. Z dziesięć tysięcy na pewno. Dla mnie takie mendy są z reguły podejrzane, choć tym razem naprawdę nie było go w mieście przez kilka dni. Wyjechał tego samego dnia, w którym zaginęła Weronika. Zbieg okoliczności? Nooo… mógł pomagać. Weronika zostawiła Daniela zaraz przed porwaniem. Nie chciała z nim nawet rozmawiać, więc Słoneczny mu ją przywiózł, wszystko razem wymyślili. Tak mogło być – spekuluje Huk, ale ja idę już do wyjścia.

– Oddaj list – dodaje i idzie za mną do drzwi.

– Wyślę kopię.

– Chcę oryginał, a ty wyjedź z miasta. Tak będzie najlepiej. I nie rób nic głupiego. Wiem, że zrobisz po swojemu, ale zastanów się chociaż. On cię obserwuje, wie, gdzie jesteś. To może być nawet Słoneczny. Ja to sprawdzę. Sam mógł zostawić tę wiadomość w mieszkaniu. Nic tego nie wyklucza. Jesteś jakąś idiotką, naprawdę… I co, wracasz teraz tam, do niego? Masz stąd wyjechać – mówi szybko i grozi mi palcem, ucinając rozmowę, a jego czerwone oczka robią się coraz mniejsze.

Otwieram drzwi i szybko wychodzę z mieszkania, jakbym bała się, że mnie wyprzedzi – wyjmie klucz z zamka i schowa go, żebym nie mogła nigdzie pójść. Kiedyś tak robił. Wiem, że może mieć rację. Wiem, że jest prokuratorem. Wiem, że powinnam wyjechać z tego miasta, ale jego słowa brzmią dla mnie jak te wszystkie zakazy, które wypowiadał jak nieznośne dobre rady w stylu: „Jak będziesz przechodzić przez ulicę, nie

przebiegaj przed samochodami". Kiedy byłam bardzo mała, straszył mnie, że jeśli będę niegrzeczna, zamknie mnie w więzieniu. Działało to na wyobraźnię o wiele mocniej niż „straszny pan, który cię zabierze". Szczególnie kiedy widziałam, jak wielcy, groźni policjanci kłaniają mu się w pas. Wiele lat walczył o to, żeby zrobić ze mnie „grzeczną dziewczynkę", a ja, na nieszczęście nas wszystkich, urodziłam się chyba z jakąś wrodzoną wadą systemu wartości. Pierwszym słowem, które powiedziałam, było najprawdopodobniej „nie" – głośne, zdecydowane i kompletnie bezmyślne. Siłą wyciągał mnie spod stołu, kiedy nie chciałam pójść do kościoła. Kiedy wychodziłam za często z domu, mówił, że tylko latawice się tak włóczą. Kiedy chciałam kumplować się z chłopakami i pojechać na obóz harcerski, roztoczył przed matką, która przytakiwała mu we wszystkim, wizję lejącego się strumieniami alkoholu i worków narkotyków, utraty dziewictwa w lesie i czyhających na młode, zagubione umysły sekt. I nie pojechałam. Wyzywał mnie od dziwek, kiedy zaczęłam się malować. Tym wszystkim nauczył mnie, jak być gruboskórnym skurwielem i dobrze kłamać.

Wychodzę z kamienicy i patrzę w górę. W oknie na drugim piętrze pali się światło. Znowu uciekam od ojca. Znowu z tym samym przekonaniem, że wiem, co jest lepsze.

28. Pokój Tomka

Tomek nienawidzi matki za to, że nie pozwala mu przestawić biurka, tak żeby wchodzący do pokoju nie widział ekranu komputera. Nienawidzi jej też z wielu innych powodów, ale teraz to już nie ma znaczenia. Może tu nawet wejść i zobaczyć, jak przegląda zdjęcia z folderu „WERONIKA", te zapisane na dysk z portali społecznościowych i te zrobione z ukrycia, z okien opuszczonej kamienicy i z małej kamery ukrytej w jej mieszkaniu. Weronika przebiera się w salonie. Seria zdjęć układa się w poklatkową animację, kiedy szybko przesuwa je, naciskając strzałkę na klawiaturze. Weronika zdejmuje koszulę i biustonosz. Tomek przybliża obraz, żeby zatrzymać się przez chwilę na małych, sterczących sutkach. Dotyka przez spodnie nabiegającego krwią fiuta. Zamyka przeglądarkę zdjęć i otwiera podfolder „filmy". Waha się chwilę. Zabiera z biurka papierową teczkę, żeby w razie potrzeby ukryć wzwód, i wychodzi na korytarz. Matka śpi w salonie. Chrapie głośno i sapie przez sen, a przed nią z telewizora nudny program publicystyczny krzyczy tak głośno, że Tomek mógłby to zrobić nawet tutaj. Spuściłby się na jej ukochany stolik kawowy. Matka przebudziłaby się za kilka godzin, sięgnęłaby po pilota i krzyknęła z obrzydzeniem. Powąchałaby rękę ubrudzoną jego spermą, próbując stwierdzić, co to jest i skąd wzięło się na jej wypucowanym stoliku.

Wraca do swojego pokoju i włącza film oznaczony numerem dziewięć.

Weronika i Mery wchodzą do mieszkania. Śmieją się. Są trochę pijane. Weronika włącza muzykę. Tomek ścisza nagranie, opuszcza spodnie i przesuwa film o kilka minut do przodu. Weronika idzie do kuchni, przynosi butelkę wina i dwa kieliszki. Mery siada obok niej na kanapie. Weronika całuje ją w szyję. Mery zaczyna się śmiać, ale natychmiast poważnieje i całuje Weronikę w odsłonięte ramię. Weronika głaszcze ją po obciętych krótko włosach. Wkłada jej język do ucha. Łysa zamyka oczy. Tak ją nazwał kilka lat temu, Łysa. Weronika pomaga Łysej ściągnąć bluzkę i stanik. Sama szybko rozbiera się do naga. Obie mają szczupłe, jędrne ciała. Sterczące sutki stykają się, kiedy długo penetrują swoje usta językami. Tomek zaciska rękę na swoim fiucie. Mocno, na granicy bólu. Kiedy Weronika klęka przed kanapą, zdejmuje Łysej spodnie i zanurza głowę między jej nogami, z jego ust wydobywa się jęk – nie za głośny, żeby nie obudzić matki. Łysa porusza biodrami, wygina grzbiet, łapie Weronikę za włosy. Weronika nie przestaje językiem pobudzać jej łechtaczki. Przerywa nagle i wynurza głowę spomiędzy ud, żeby pocałować Łysą w usta. Szczypie jej sutki, Łysa jęczy w usta Weroniki, która wkłada w jej mokrą cipkę palce. Całe ciało Łysej drży, piersi poruszają się w rytm ruchów dłoni Weroniki. Oddech przed ekranem komputera przyśpiesza. Tomek wyobraża sobie, jak wciska Łysej kutasa w dupę. Zbliża się wytrysk. Tomek chce go zgrać z orgazmem Łysej, który nastąpi w piętnastej minucie filmu. Dochodzą po sobie. Kiedy Łysa krzyczy, zaciskając dłonie na ramionach Weroniki, sperma tryska.

Amelia wypuszcza ze świstem powietrze z płuc i prostuje się na kanapie w salonie. Budzi ją jakiś koszmar. Czuje ten skurcz, który łapie człowieka na granicy snu i jawy, to wrażenie, że spada w jakąś przepaść albo że przewraca się nagle, idąc ulicą. Podnosi się z kanapy i wychodzi

z salonu. Sprawdza, czy zamknęła drzwi. Kontrolnie wygląda przez wizjer na uśpiony, ciemny korytarz. Staje pod drzwiami pokoju syna i nasłuchuje przez chwilę. Zamyka okno w kuchni, kończy obchód mieszkania i wraca przed telewizor.

Tomek czeka, aż matka znowu zaśnie. Odlicza kilka minut, siedząc bez ruchu w ciemności swojego pokoju. Włącza z powrotem ekran komputera. Ściera spermę chusteczką i chowa ją do małego worka w szufladzie. Jutro rano wyrzuci go do kosza w parku.

Nowa wiadomość w skrzynce mailowej. „Administracja portalu YouTube. Twój film został skasowany z powodu naruszenia regulaminu serwisu". Jest zadowolony, że portal dopiero teraz usunął film, bo już zdążył dobić do stu tysięcy wyświetleń. Przecież i tak nie zniknie z sieci. Będzie krążył po offtopach na ćpuńskich forach i niemoderowanych działach sad.is.trick.com, dopóki Kyle893 nie wrzuci czegoś jeszcze lepszego.

29. Zamek

Klamka w drzwiach Słonecznego jest luźna. Ktoś uszkodził zamek. Drzwi są zamknięte od wewnątrz na łańcuch. Nie pukam. Wybieram numer Słonecznego.

– Jesteś w mieszkaniu?

– Tak.

– Co się stało z drzwiami? – pytam, ale nie odpowiada i rozłącza się. Po chwili słyszę, jak zdejmuje łańcuch.

– Dziwna sprawa. Przysłali jakichś debili. Sprawdzali zamek w drzwiach i cały rozwalili – tłumaczy, kiedy wchodzę do środka.

– Dlaczego grzebali w zamku?

– Chcieli sprawdzić, jak tu wlazł. Mówiłem im, że nie zamykam drzwi na klucz. Zatrzaskuję je i wychodzę, właściwie każdy idiota, jak ma wytrych, może łatwo tu wejść. Zaczęli grzebać i spierdolili zamek – mówi, jakby był zmęczony moją irytacją.

– Słoneczny… Ty zepsułeś ten zamek? Zrobiłeś to, zanim przyszli? – pytam i wycofuję się na klatkę schodową.

– Zwariowałaś? Po co miałbym to zrobić? – odpowiada i kręci przecząco głową.

– Gdzie byłeś, zanim wróciłeś do mieszkania?

– Poszedłem do sklepu.

– Do jakiego sklepu? Długo cię nie było.

– Może z dwie godziny. Poszedłem do kawiarni, kurwa.

– Nie byłeś w sklepie. Nawet w kieszeniach nic nie miałeś, kiedy wszedłeś do łazienki. Nawet paczki papierosów – mówię i odruchowo wyciągam telefon.

Cofam się w stronę schodów, Słoneczny idzie za mną.

– Dobrze. Poszedłem przelecieć taką jedną. Nie chciałem ci mówić, bo miałem nadzieję, że jak wrócisz, to ciebie dzisiaj też przelecę – mówi i jestem w stanie mu uwierzyć. Zatrzymuję się przed schodami.

– Możemy już wrócić do tego, że jesteś biedną, małą Mery i przytulasz się do mnie, bo jestem jedynym dostępnym ciepłym kawałkiem mięsa w tym mieście? – pyta ironicznie, ale gdybym odpowiedziała, że tak, owszem, mógłby wymazać całą tę absurdalną rozmowę i przestawić się w sekundę na inny tryb.

Patrzę na niego w zdumieniu. Nigdy nie zrozumiem, na jakiej zasadzie funkcjonuje jego mózg. Podejrzewam, że ten mechanizm opiera się głównie na realizowaniu instynktownych potrzeb i pozwalaniu sobie czasem na ironiczny autokomentarz.

– Wiesz, gdzie mogę kupić broń?

– Jaką broń? – pyta i widzę, że zaraz wybuchnie śmiechem.

– Pistolet. Taki, co może zabić – mówię bardzo cicho. Dalej stoimy na korytarzu.

– Po co ci broń? – Podchodzi do mnie i też ścisza głos, jakby parodiował scenę z gangsterskiego filmu. Pochyla się nade mną i wyczekująco wytrzeszcza oczy.

– Mam dość tego, że on ciągle gdzieś jest. Śledzi mnie, a ja nie mogę nic zrobić.

– Posrało cię. Jak zastrzelisz nawet najgorszego skurwysyna z nielegalnej broni, to pójdziesz siedzieć. O kurwa, Mery, robi się ostro –

mówi i w końcu wybucha tym spazmatycznym śmiechem, którego źródła nie rozumiem i który toczy się echem po obskurnej klatce.

30. Sklepik

– Dokąd idziemy? – pytam Słonecznego, kiedy skręcamy w boczną uliczkę odchodzącą od bulwarów nad rzeką.

– Zabić cię i wrzucić do rzeki – odpowiada zirytowany i przyśpiesza kroku, jakby chciał mnie zgubić.

Doganiam go.

– Już daj spokój. Puściły mi nerwy. Z tym zamkiem to było naprawdę dziwne – tłumaczę się, choć wcale nie rozumiem, dlaczego oczekuje ode mnie zaufania.

– Jakie dziwne? Sama mówisz ciągle, że policja to frajerzy. Dłubali, rozwalili i koniec. Idziemy po twoją spluwę, do Radzia – dodaje ściszonym głosem.

– Kim jest Radziu? – pytam ostrożnie.

– Mój znajomy. Ma u mnie dług do spłacenia. Znam go od dziecka. Zawsze lubił spluwy. Najpierw zbierał kolekcjonerskie, atrapy, jakieś hukówki. Potem zaczął wsiąkać w różne ciemne interesy. Kiedyś handlował prochami, a od jakiegoś czasu sprzedaje spluwy. Niby legalnie, ale robi wyjątki. Patrz, bankomat. Wypłać tu kasę. Co najmniej sześć tysięcy. Masz tyle? Pewnie masz. Tylko szybko – mówi i oddala się ode mnie na odległość kilku kroków. Wkładam kartę, wstukuję PIN. Słoneczny drepcze w miejscu. Jest zdenerwowany, bardzo zdenerwowany. Długi w kasynie. Nie ufam mu. Wkłada ręce do kieszeni płaszcza i uśmiecha się do mnie nerwowo, może wie, że myślę o wszystkich powodach, dla których nie można mu wierzyć. Upycham

pieniądze w kieszeniach kurtki. Zaciśnięte na banknotach dłonie pocą się. O tej porze chodniki są puste. Przez ulicę przebiega lis. Jego oczy płoną w świetle reflektorów nadjeżdżającego samochodu. Przypominam sobie, że przy tej ulicy można kupić wszystko. Parter każdej kamienicy zajmują sklepy pamiętające wczesne lata dziewięćdziesiąte: mięsny, rybny, pasmanteria, części samochodowe, części komputerowe, artykuły fryzjerskie, księgarnia, sklep z zabawkami, lumpeks, lombard, chemia z Niemiec, dywany z Persji, dewocjonalia, sex shop, milion pięćset drobiazgów za złotówkę, artykuły papiernicze, sklep wędkarski, kwiaciarnia, obuwie, używane skóry. Kiedy byłam mała, w drodze do przedszkola czytałam na głos wszystkie mijane po drodze szyldy. Ojca to wkurzało.

Wchodzimy w bramę. Przyglądam się witrynie antykwariatu. Zza szyby patrzą świecące w ciemności Matki Boskie i gołe lalki. I ktoś jeszcze. Światło na przejściu obok zmienia się, w rozbłyskującej na czerwono witrynie zauważam idącego drugą stroną ulicy wysokiego mężczyznę. Jego spojrzenie chyba spotyka się z moim.

– Ktoś za nami idzie – mówię i oddech w okolicy krtani więźnie, zamieniając się w kolczastą kulę.

– Wiem. Od mojego mieszkania – mówi Słoneczny, kiedy wchodzimy na ciche podwórze między kamienicami.

– To czemu łazimy po jakichś pieprzonych ciemnych bramach? – szepczę z naciskiem na każde słowo.

– Spokojnie, wejdziemy zaraz do Tłuściocha – mówi, wskazując na najdalej ukryty w oficynie lokal, całodobową wypożyczalnię filmów, której witryna rozświetla półmrok podwórka. Słoneczny zatrzymuje się przed wejściem.

– Dobra, teraz odwróć się i patrz, czy wejdzie w bramę – mówi, podając mi papierosa.

Wyjmuje jednego dla siebie i szuka w kieszeniach płaszcza zapalniczki. Podaję mu swoją, wpatrując się w ciemną bramę. Czekam, aż ktoś z niej wyjdzie z długim nożem w ręku i obłędem w oczach. Mdli mnie. Papierosy Słonecznego smakują jak palone siano. Stoję bokiem do wejścia. Kątem oka zerkam na wnętrze wypożyczalni. W środku bardzo gruby mężczyzna ogląda film na małym telewizorku. Jego tyłek rozlewa się na obrotowym taborecie.

– To jest Radziu? – pytam i wracam do obserwowania bramy.

– Nie. To jego ojciec. Tłuścioch. Radziu tak na niego mówi. Tłuścioch był piętnaście lat w Niemczech i raczej nie pracował tam w fabryce konserw. Wrócił parę lat temu i założył wypożyczalnię, żeby wyprać kasę. – Słoneczny wyrzuca papierosa i wdeptuje go starannie w beton.

– Nie widzę nikogo – mówię i też wyrzucam niedopalonego papierosa.

– Odbija nam już. – Słoneczny popycha drzwi.

W środku uderza mnie zapach potu i czipsów paprykowych. Tłuścioch odwraca się na swoim taborecie.

– Dobry wieczór – rzuca obojętnie i wraca do oglądania filmu.

„Alfredo gnił w więzieniu przez lata, żebyś ty miał godne życie, a teraz wbijasz sztylet w serce naszej rodziny" – mówi lektor bezbarwnym głosem. Wiekowa Latynoska w czarnej tiulowej sukni szlocha, wymachując wielkim wachlarzem. Słoneczny podchodzi do lady.

– Coś podać konkretnego? – pyta Tłuścioch, nie odrywając wzroku od zalewającej się łzami matrony.

– Właściwie przyszliśmy do Radzia. Jestem jego przyjacielem, nie znajomym, ale bardzo dobrym przyjacielem. Pewnie mnie pan kojarzy.

Jest na górze? – pyta Słoneczny, starając się złapać kontakt wzrokowy z Tłuściochem.

Patrzę na wejście. Odliczam sekundy i wmawiam sobie, że jeżeli na „dziesięć" nikt tu z hukiem nie wparuje, będę bezpieczna. Doliczam i nikt nie wchodzi, więc oddycham z ulgą.

– Może jest. A co chcecie? – odpowiada Tłuścioch.

– Nie wiem, jakiegoś glocka albo berettę. Najlepiej na teraz – mówi Słoneczny, przechodząc od razu do rzeczy, stara się sprawiać wrażenie obeznanego z tematem.

– Berettę? – powtarza po nim Tłuścioch i wybucha głośnym śmiechem.

– To ta pani kupuje – odpowiada Słoneczny, wskazując na mnie.

– Tak? A ma pani licencję na zabijanie?

– Nie mam pozwolenia na broń.

– No to wyjdzie drożej. Jak w markecie bez karty klienta – mówi i wyciera tłuste palce o spodnie. Sięga pod ladę, zastanawiam się, czy wyjmie walizę z giwerami czy kolejną paczkę czipsów. Wyciąga telefon. Wybiera numer i czeka, aż ktoś po drugiej stronie się odezwie.

– Halo, synek? Przyszedł ten taki blondynek z dziewczyną, twój koleżka. – Odsuwa telefon od ucha. – Jak ty się nazywasz?

– Słoneczny – odpowiada, zirytowany tym, że Tłuściochowi najwyraźniej się nie śpieszy.

– Słoneczny – powtarza do telefonu Tłuścioch i znowu przenosi spojrzenie na ekran telewizora. – Chce jakiegoś gnata. Mówi, że na teraz. Nie wiem. Chuj mnie to obchodzi. Dobra. Dobra. Dobra. No. Cześć.

– I co? – pytam.

– Już schodzi. Macie szczęście, ale używany będzie, hi, hi, ha, ha – mówi, a ja mrużę oczy, jakbym próbowała rozwiązać zagadkę napisaną w obcym języku, bo wypowiada te monosylaby oznaczające śmiech zupełnie bezbarwnym głosem, jak program komputerowy, jak automatyczny lektor. A potem pakuje sobie do ust garść czipsów.

Duże pomieszczenie wypełniają rzędy długich regałów, oświetlonych białym światłem podłużnych halogenów. Zakurzone płyty wyglądają jak niedotykane od kilku lat. Jeśli naprawdę zarabiałby tylko na wypożyczaniu filmów, musiałby mieć osobny fundusz na rachunki za prąd.

Ojciec zawsze w piątki odbierał mnie z przedszkola. Po drodze wchodziliśmy do wielkiej, kolorowej wypożyczalni wrośniętej w betonowy budynek, w którym mieściły się jeszcze bar mleczny i kwiaciarnia. Był tam automat z popcornem i papierowe makiety postaci z hitów Disneya. Biegałam między regałami i ściągałam z półek filmy, które ojciec odkładał z powrotem na miejsce, mówiąc, że na to przyjdzie jeszcze czas. Zakrywał mi oczy ręką, kiedy mijaliśmy dział z filmami XXX. Zawsze kręciło się tam kilku miłych pracowników w czerwonych uniformach. Dziesięć lat później wypożyczalnia zbankrutowała. Przejeżdżałam tamtędy autobusem do szkoły i patrzyłam, jak w jej miejscu powstaje sklep z kosmetykami.

Opieram się plecami o ścianę. Słoneczny nerwowo przeczesuje palcami włosy. Oboje obserwujemy Tłuściocha, garściami pakującego sobie do ust czipsy.

Otwierają się drzwi na zaplecze. Wchodzi młody, umięśniony chłopak w szarym dresie. Jego twarz wygląda, jakby ktoś odciągnął z tej Tłuściochowej kilka kilogramów sadła.

– Stary, pojebało cię? – Podchodzi do Słonecznego, witają się uściskiem dłoni i klepnięciem w plecy.

– Czego nie robi się dla kobiety. – Słoneczny uśmiecha się do mnie kwaśno.

– Ta, jasne, i może jeszcze ty masz na to kasę? – pyta Radziu ironicznie.

– To masz coś?

– Kurwa, stary, po chuj ci to? I jeszcze z laską przychodzisz. Chcesz odjebać teścia czy co? Wiem, że mam dług u ciebie, i ci to załatwię, ale ty jesteś pojebany i ja, szczerze mówiąc, wolę się z tobą w żaden handel nie pakować – mówi szybko i nieskładnie. Widzę, że coś brał. Jest spocony. Jego spojrzenie biega w popłochu miedzy mną, Słonecznym, ojcem jedzącym czipsy a drzwiami wejściowymi.

– Weź, ja się już nie pakuję w żadne takie. Ona chce mieć spluwę. Mieszka na wsi. Chciałaby chodzić na strzelnicę, ale ma daleko. Będzie sobie strzelać do puszek – kłamie Słoneczny, ale to wystarczy, żeby namówić chłopaka.

– Dobra, chodźcie na zaplecze – mówi Radziu i zaprasza nas gestem dłoni.

Wchodzimy w trójkę do zagraconego pomieszczenia, które wypełniają przede wszystkim kręcone schody prowadzące do mieszkania nad wypożyczalnią i kartony po pizzy, pewnie Tłuściocha. Radziu bierze z regału czarny futerał.

– Glock 19, używany, niezarejestrowany w Polsce, dostałem go na swój użytek. Mogę wam opchnąć, powiem, że chcę drugi.

Wyciąga broń i mierzy w ścianę. Mówi to wszystko beztrosko, nabuzowany narkotykami. Pewnie będzie miał przejebane, ale może brakuje mu kasy na dragi. Żadne z nas nie zadaje tego naiwnego,

cisnącego się na usta pytania, od kogo dostał tę spluwę. Gang Axela też handlował bronią. Patrzę na Radzia i wiem, że jest takim samym tchórzem jak ci zostawieni jako nagroda pocieszenia dla antyterrorystów w willi Axela – osiłkiem srającym ze strachu przed swoim szefem.

– Pięć tysięcy i dorzucę sto naboi – mówi i podaje mi broń. Jest ciężka, powstrzymuję się przed zważeniem jej w dłoni.

Wyciągam pieniądze z kieszeni kożucha. Radziu widzi, że nie mam żadnej torby, i podaje mi białą siatkę z napisem: „Wypożyczalnia wideo 24h". Wkłada do niej jeszcze pudełko z nabojami.

– Nie pokażesz, jak to ogarnąć? – pyta Słoneczny.

– Stary, obejrzycie sobie na YouTubie – mówi, przeliczając banknoty. – Jak chcesz, to ci prześlę tutorial, jak do tego domontować mały bagnet. Mamy takie, ale to musicie już gadać z szefem.

Nie chcemy gadać z jego szefem. Odprowadza nas do wyjścia. Tłuścioch dalej je czipsy pochłonięty filmem. Zatrzaskują się drzwi. Uderzenie zimnego powietrza i ciemność, do której szybko trzeba przyzwyczaić oczy. Słoneczny macha ręką, żeby uruchomić lampę oświetlającą podwórze. Nikogo tu nie ma oprócz nas. Decyzja i krok. Przechodzimy przez bramę.

– Mery, to jest jakaś paranoja. Nie wiem, co ja robię – mówi Słoneczny, lustrując wzrokiem ulicę.

Maszyna czyszcząca jezdnię wolno sunie w naszą stronę. Nie ma go. Może nikt za nami nie szedł? Wyciągam telefon.

– Dzwonię po taksówkę – mówię i czuję mrowiący ból w karku.

Słoneczny wybucha śmiechem.

– Niby że wracamy z imprezy?

– Czytałam o facecie, który przewoził taksówką w walizkach poćwiartowane zwłoki. Taksówkarz zauważył, że z jednej kapie krew,

a tamten mu powiedział, że wiezie tuszę z dzika. I taksówkarz mu uwierzył – mówię, czekając na zgłoszenie dyspozytora.

– Świetny pomysł, zrobię tak następnym razem – mówi i znowu wybucha nerwowym śmiechem.

Znudzona dyspozytorka odbiera po kilku długich sygnałach. Sprawdzam numer budynku, pod którym stoimy. Wydaje mi się, że widzę jakiś ruch w bramie po drugiej stronie ulicy. Dyspozytorka rozłącza się i telefon od razu zaczyna wibrować. Dzwoni ojciec, czyli Huk. Huk, czyli ojciec. Odbieram.

– Mery, musisz o czymś wiedzieć. Naprawdę nie powinnaś tu być.

– Streszczaj się, proszę – pośpieszam go, przekrzykując nadjeżdżającą polewaczkę drogową.

– W mieście był widziany brat Axela. Nie udało się postawić mu żadnych zarzutów, więc najprawdopodobniej Axel czasem wysyła go do Polski. Nie mam żadnych przesłanek, żeby łączyć to ze sprawą Weroniki, ale dobrze wiesz, kim są ci ludzie i do czego są zdolni. Wyjedź z miasta, proszę cię, wracaj do siebie.

– Straszysz mnie? Co? – pytam retorycznie i rozłączam się. Nerwowo oglądam się za siebie. Tam też nikogo nie ma.

– Dlaczego wypożyczalnię? – pytam nagle Słonecznego.

– Co? – unosi brwi zdezorientowany.

– Dlaczego Tłuścioch po powrocie założył wypożyczalnię? Przecież to nie przynosi żadnych dochodów – rozwijam swoje pytanie.

– Właśnie dlatego. Nikt tu nie przychodzi. Ma święty spokój. Ogląda telewizję i wpierdala chipsy. Ty w ogóle nie umiesz myśleć logicznie.

Za maszyną czyszczącą ulicę nadjeżdża czerwona taksówka. Słoneczny kłania się przede mną i otwiera drzwiczki. Odwracam się na siedzeniu, kiedy samochód rusza. Z bramy po drugiej stronie ulicy

wypada na chodnik niedopalony papieros, ale widzę tylko dłoń chowającą się w ciemności.

31. Przeładowanie

Słoneczny leży na łóżku i obserwuje mnie, jak ładuję naboje do magazynku. Naśladuję umięśnionego Amerykanina, który prowadzi kanał na YouTube uświadamiający społeczeństwo o konieczności kopania bunkrów, gromadzenia zapasów żywności i szkolenia dzieci w używaniu broni. Tego ostatniego zagadnienia właśnie dotyczy oglądany przeze mnie film. Mężczyzna głosem entuzjastycznej przedszkolanki tłumaczy, jak zamienić tę metalową zabawkę w narzędzie do natychmiastowego uśmiercania. Potem w kadr wkracza jego syn. Może mieć najwyżej trzynaście lat. Powtarza po ojcu całą procedurę uzbrajania i przeładowywania broni. Amerykanin na zakończenie mówi widzom, że – jak widać – przygotowanie pistoletu do użycia jest dziecinnie proste, a potem razem z synem uśmiechnięci machają do kamery. Rzeczywiście, jest to prostsze niż założenie kliszy w aparacie. Pistolet z magazynkiem jest ciężki. Nigdy wcześniej nie miałam do czynienia z bronią, nawet z jej realistyczną atrapą. Nagle czuję satysfakcję płynącą z władzy. Śmieszy mnie to, ale pozwalam temu uczuciu nadal się sączyć. Wyjmuję naładowany magazynek.

Włączam kolejny film instruktażowy, tym razem rodzimej produkcji, „Jak odpowiednio trzymać broń". Staję w odpowiedniej pozycji i odbezpieczam. Słoneczny zapala papierosa, przyglądając mi się uważnie. Podchodzę do lustra. Celuję w swoje odbicie i naciskam spust. Cichy szczęk mechanizmu.

– Zajebiście wyglądasz z tą spluwą. Może przez to, że jesteś łysa – mówi Słoneczny i wbija wzrok w sufit.

Podchodzę do niego z pistoletem i mierzę w jego głowę. Przestaje analizować zacieki i przenosi spojrzenie na wycelowaną w niego lufę.

– Skąd masz tę kasę, która leży w szafce w łazience? – pytam i przykładam mu pistolet do czoła.

– I tak masz wyciągnięty magazynek – mówi i uśmiecha się kpiąco.

– Wiem. Tak tylko sobie żartuję, ale mogę go włożyć z powrotem. A więc: skąd masz tę kasę? – pytam, nie opuszczając broni.

– To po prostu całe moje oszczędności – odpowiada, wzruszając ramionami.

Patrzę mu w oczy. To tylko zabawa. Może gdyby magazynek był włożony, powiedziałby prawdę.

– Dostałeś te pieniądze od Daniela na spłatę długów w kasynie?

– Nie. Nigdy nie pożyczyłem od Daniela ani grosza – mówi spokojnie, ale widzę, że się denerwuje. Ta zabawa przestaje go śmieszyć. Odwraca głowę tak, żeby nie być na celowniku.

– Myślisz, że Daniel to zrobił? – pytam, opuszczając pistolet. Siadam obok niego na łóżku.

– Nie wiem.

– Zostawił mi coś w mieszkaniu Weroniki.

Wstaję, żeby wyciągnąć list z walizki. Koperta jest już trochę pomięta i brudna. Podaję ją Słonecznemu. Kładę się na łóżku i czekam, aż skończy czytać. Pistolet leży przy moim udzie. Ojciec ma rację. Może. Czekałam na spektakularne zakończenie. Jest przecież jeszcze ten drugi. Tak zwany wspólnik. Może siedzi obok mnie i szeleści kartkami.

– Nic o nich nie wiedziałem… – mówi, odkładając list na łóżko.

Uważnie przyglądam się jego twarzy. Jest zamyślony, może zszokowany. Wstaje i zapala kolejnego papierosa.

– Nie znałem przecież żony Daniela, tej Kingi – mówi i siada koło mnie na łóżku – ale wiesz co… Pomyślałem o czymś chorym. Czytałem kiedyś o takim małżeństwie, chyba z Wielkiej Brytanii. Że oboje mieli jakieś przesrane dzieciństwo. On miał ojca zoofila, ona matkę chorą na depresję i ojca schizofrenika. No i to małżeństwo znęcało się nad swoimi dziećmi. Sprawa wypłynęła, kiedy facet nagrał gwałt na córce na wideo. Potem policja łączyła fakty. Okazało się, że razem od dwudziestu lat gwałcili i zabijali kobiety. W ich ogródku było zakopanych piętnaście trupów. Żona jeździła po kraju i znajdowała dziewczyny, autostopowiczki, prostytutki, kto jej się akurat nawinął. Przywoziła mężowi. On je gwałcił, a ona to nagrywała. A potem razem je zabijali.

– Dlaczego Weronika miałaby się umówić na kolację z żoną Daniela? – mówię i myślę o Danielu kulącym się przy stoliku w Ambasadzie i płaczącym w moje ramię na środku ulicy.

– Nie wiem, ale jeśli to trwało tak długo… Może oni żyli w jakimś chorym trójkącie? Nie wiem. – Kładzie się na łóżku i znowu wbija wzrok w sufit.

– Huk wczoraj powiedział mi, że Weronika zostawiła Daniela kilka dni przed swoim zniknięciem. Wiedziałeś o tym? – pytam Słonecznego, wstając.

– Chyba tak. Coś słyszałem, ale nie rozmawiałem z nią o tym… Nie wiem, nie wiem. Lubiłem Daniela…

Chowam pistolet do tylnej kieszeni spodni i podchodzę do drzwi balkonowych. Przychodzi esemes od Huka: „Nie idź na ten pogrzeb!!!! Wyjedź z miasta!!!!!”. Nie odpisuję. Przed niebieską toyotą stoi chudy,

wysoki mężczyzna. Może to jego widzieliśmy wczoraj pod wypożyczalnią Tłuściocha?

– Patrz, to chyba on za nami szedł – mówię do Słonecznego, który na te słowa podrywa się z łóżka i staje za mną.

– Czyli to tajniak. Tak myślałem – mówi i chucha mi w kark. Specjalnie podszedł tak blisko.

Mężczyzna opiera się na masce i odpakowuje kanapkę. Patrzy w nasze okno. Widzi, że go obserwujemy. Wsiada do samochodu, ale nie odjeżdża. W spokoju pochłania kanapkę, a potem zapala papierosa.

– To na pewno tajniak. Stary cię pilnuje – stwierdza Słoneczny i wraca do patrzenia w sufit.

– Pewnie tak – mówię i dalej obserwuję mężczyznę.

Pistolet ciąży mi w kieszeni. Nie potrzebuję ochrony ojca. Kiedy przyszli po matkę, przed naszym domem też koczował przysypiający za kierownicą policjant. Dostał kulkę w łeb, zanim zdążył dojeść swoją kanapkę. Zakładam kurtkę i przekładam do niej pistolet. Szybko wychodzę z pokoju.

– Mery, co ty znowu odwalasz? Idziesz straszyć gliniarza spluwą? – woła za mną Słoneczny.

Mocuję się z łańcuchem przy zepsutych drzwiach i kiedy w końcu je otwieram, widzę Zuzannę Kopiec.

Jest wyraźnie zmieszana. Może zamierzała zrezygnować z pukania i wyjść z kamienicy, zanim ktoś ją zauważy? Wygląda tak jak na marszu. Rudy kok z dredów i czarne ekologiczne futro.

– Cześć, przepraszam. Chciałam porozmawiać – mówi niepewnie, zastanawiając się nad doborem słów.

– Skąd wiesz, gdzie mieszkam? – pytam niezbyt uprzejmie.

– Od Karoliny – odpowiada, a ja zastanawiam się, kto jeszcze zna mój obecny adres i wpadnie mnie odwiedzić, ale nie komentuję jej odpowiedzi.

– Mogę wejść? – pyta Zuzanna.

Widzę, że ma ze sobą papierową torbę pełną jedzenia. To w sumie miłe. Nawet bardzo miłe. Przepuszczam ją w drzwiach, myśląc przede wszystkim o musztardzie i pokrytych pleśnią kiełbaskach w lodówce Słonecznego.

– Ładne mieszkanie. Twoje? – pyta i już mam pewność, że mam do czynienia ze wzruszająco miłą osobą.

– Nie moje. Znajomego. Chcesz mnie pewnie przeprosić? – przechodzę do rzeczy. Nie rozumiem, po co tu przylazła z tym żarciem.

– Tak. To dla ciebie, na zgodę. Większość sama robiłam. Ekologiczne i wegańskie – mówi, podając mi ten spożywczy szantaż emocjonalny.

Prowadzę ją do kuchni. Zbieram ze stołu popielniczkę i kubki po kawie. Strzepuję z blatu popiół z papierosów. Otwieram torbę. Dżem malinowy w słoiczku z czerwoną zakrętką w białe kropki, masło orzechowe, bułeczki z cynamonem, mleko kokosowe i urocze, okrągłe ciastka z kawałkami czekolady. Szanuję ludzi, którzy trwają w postanowieniu gotowania zdrowych obiadów, uprawiania jogi i utrzymywania się z prowadzenia warsztatów garncarskich, a Zuzanna Kopiec bez wątpienia należy do tej grupy. Smaruję bułeczkę cynamonową masłem orzechowym i pakuję ją sobie do ust. Do kuchni wchodzi Słoneczny.

– O, cześć. Słoneczny – przedstawia się i porywa jedną bułkę, macza ją w dżemie i wraca do łóżka.

Zuzanna Kopiec wydaje się zmieszana. Nie zdążyła mu się nawet przedstawić, a on już sobie poszedł. Wpatruję się w nią wyczekująco,

dając do zrozumienia, że to nie jest miejsce dla niej. Obecnie mieszkają tu sami pojebani ludzie, którzy nie mają za bardzo ochoty kontaktować się z rzeczywistością, a ja nie mam potrzeby zaczynania rozmowy, ale jeśli ma coś do powiedzenia, to proszę bardzo. Tylko szybko.

– Przepraszam cię za to nieporozumienie, ale nie wiedziałam, że ta sprawa jest tajemnicą. Ja nie zgadzam się na milczenie kobiet – mówi Zuzanna.

– Proszę bardzo, nie zgadzaj się, ja natomiast uważam, że to moja prywatna sprawa.

– Jesteś osobą publiczną. Widziałam twoje filmy, myślałam, że masz lewicowe poglądy.

– Bo mam, ale to moja sprawa. I nie wypowiadam się politycznie w swoich filmach. Interesują mnie głównie niewygodne historyjki, a nie te o przepracowanych traumach. Minęło sześć lat i już nie boli – wyrzucam szybko stek jakichś bzdur i wycieram usta z dżemu.

Zuzanna patrzy na mnie wzrokiem osoby, która zawsze wie lepiej, co czujesz i co jest ci potrzebne. Trzeba się jak najszybciej pozbyć Zuzanny, bo wprowadza mi tu niepotrzebny kontekst polityczno-społeczny, który wymaga rozsądnego przemyślenia, a ja nie mogę myśleć, kiedy obserwują mnie tajniacy mojego ojca, a w kieszeni mam nielegalnie kupioną broń.

– Mogłabyś być wsparciem dla innych dziewczyn.

– Nie zgadzam się na sprowadzanie mnie do roli ofiary.

– Mężczyźni wmówili nam, że rozmawianie o tym jest wstydliwe i my się na ten wstyd godzimy – mówi Zuzanna, wpadając w fanatyczny ton.

– Zuzanno, ja to wszystko wiem – mówię spokojnie.

Dziewczyna ocenia możliwość dalszej dyskusji. Może dociera do niej absurd tej wizyty. Może czuje, że się wygłupiła. Może uważa, że to ja

jestem żenująca.

– Dobrze, przepraszam cię jeszcze raz, ale zachęcam, żebyś wzięła udział w naszym dzisiejszym wydarzeniu. Będziemy haftować w Biurze Wystaw Artystycznych – mówi Zuzanna, wstając od stołu.

Czuję ciężkość pistoletu w kieszeni i zastanawiam się, czy haftowanie nie jest może bardziej adekwatnym sposobem wyładowania emocji.

– Dziś nie mogę. Idę na pogrzeb.

Oczy Zuzanny prawie wychodzą z orbit.

– Idziesz na pogrzeb mordercy Weroniki?

– Właśnie dlatego nigdy się nie dogadamy, ale to tylko kwestia dostępu do informacji i interpretacji – mówię, odprowadzając oburzoną Zuzannę do wyjścia. Nie żegnam się z nią. Kiwam tylko głową i zamykam drzwi na łańcuch.

Wracam do Słonecznego. Stoi przy oknie i obserwuje, jak Zuzanna odchodzi szybko uliczką w stronę mostu. Nawet z tej odległości widać, że jest wściekła. Mija zaparkowaną przy chodniku toyotę i znika za rogiem.

– Dalej tam siedzi, ten typ – mówi Słoneczny. – Co to za dziewczyna?

– Z jakiejś sekty. Poczułam się, jakbym żyła w realnym świecie. Wiesz, takim, który naprawdę gdzieś istnieje. W jakiejś Polsce, w jakimś mieście, które ma nazwę – odpowiadam i siadam przed ekranem komputera.

Loguję się na konto Weroniki na Facebooku. Przeglądam jej rozmowy. Miałam się w to zagłębić zaraz po przyjeździe. Wiadomości są w większości od znajomych z uczelni i z tak zwanego środowiska. Część nazwisk kojarzę. Prawie na szczycie listy ostatnich wiadomości widzę imię i nazwisko Tomek Potoczek. Syn Amelii? Małomówny sąsiad dziwak? Czytam.

32. Quasi-przyjaciele

27 stycznia, 12.58

Tomek Potoczek:

ZROBIŁEM COŚ SKRAJNIE PATOLOGICZNEGO
i to nie było ANI TROCHĘ FAJNE

Weronika Podolska:

Zastawiam się co

Tomek Potoczek:

to nieistotne
istotne jest zniszczenie psychiki
i pytanie
JAK TO ODKRĘCIĆ
co jest BARDZO DOBRYM PYTANIEM
WRĘCZ
SPEKULATYWNYM

Weronika Podolska:

Odkręcić? To ma konsekwencje?

Tomek Potoczek:

no jasne
zwłaszcza PSYCHICZNE

nieodwracalność czasu
to jest dopiero TRAGIZM

Weronika Podolska:

Strzeliłeś sobie heroinę albo poszedłeś do burdelu

Tomek Potoczek:

nie strzeliłem heroiny i nie poszedłem do burdelu
pudło i pudło
ale w obu coś jest

Weronika Podolska:

Zabiłeś bezdomnego?

Tomek Potoczek:

Tego z parku?
Hehe
wysłałem go w kosmos

Weronika Podolska:

Podejrzewam, że to dotyczy seksu albo narkotyków

Tomek Potoczek:

Albo tego i tego, ale to NIEISTOTNE
I CO TERAZ
NIE MA JUŻ RATUNKU
albo samobójstwo albo samobójczy postironizm do końca życia

Weronika Podolska:

Stawiasz sobie za duże wymagania...
Seks i narkotyki to nic złego

Tomek Potoczek:

Jakie wymagania?
rozumiem że zrobiłbym po prostu COŚ GŁUPIEGO
ale z jednej ekstremalnej skrajności (która przy odpowiedniej perspektywie jest czymś zwyczajnym) W DRUGĄ TOTALNĄ SKRAJNOŚĆ?
która w ogóle nie jest w moim stylu
jest sprzeczna z moim stylem życia
już nie mówię o światopoglądzie
tylko o STYLU ŻYCIA
i wiesz
najgorsze jest to
że to robi tylko jedną rzecz – że do końca życia będę miał jazdy psychiczne
i nic więcej
bo paradoksalnie prawdopodobieństwo że coś takiego mogłoby się powtórzyć jest BLISKIE ZERA, ale gdyby ta sytuacja nie miała miejsca to zawsze istniałoby większe prawdopodobieństwo że z czasem stałoby się coś JESZCZE GORSZEGO
ale równie dobrze to może mnie zniszczyć
tzn deprecha albo jakieś schizy etc
teraz mogę powiedzieć
cytując pewną znajomą
„wyzbyłem się tego"

WYZBYŁEM SIĘ SIEBIE

TY TEŻ WYZBĄDŹ SIĘ SIEBIE

Weronika Podolska:

Co gorszego byś zrobił?

Tomek Potoczek:

Nieważne

Ale dlatego muszę się odizolować od społeczeństwa

Jestem na Malarskiej

Leci jakiś beznadziejny smooth jazz

Weronika Podolska:

Może też wpadnę tam dziś

28 stycznia, 20.34

Tomek Potoczek:

Malarze to darmozjady

Weronika Podolska:

:*

Tomek Potoczek:

Nie wysyłaj takich ZASRANYCH EMOTEK

CHRÓWNO SOBACZE STURBA SUKA MALOWANA

DZIAMDZIA ICH SZAĆ ZAPRZAŁA

29 stycznia, 20.34

Weronika Podolska:

Wiem o kamerach

jesteś socjopatą, totalnie pozbawionym empatii złym człowiekiem
to właśnie podskórnie o tobie myślę, ALE MAM NADZIEJĘ, ŻE SIĘ MYLĘ

30 stycznia, 19.15

Tomek Potoczek:

Jestem tchórzem

Weronika Podolska:

Dlaczego?

Tomek Potoczek:

Bo jak zrobię krok do przodu
To potem chcę się cofnąć
Zamiast iść dalej

Weronika Podolska:

jeśli nie ma to związku ze mną, to mnie nie interesuje
A NIE MA

Tomek Potoczek:

To abstrakcja

Weronika Podolska:

It's nobody here

Tomek Potoczek:

Nie mówię o niczym konkretnym

To nie ma związku z nikim

Z niczym

Moje życie to insynuacja

Weronika Podolska:

nudzisz mnie

nie odzywaj się do mnie

Tomek Potoczek:

Ok, to nie piszę

Myślałem, że jesteśmy „quasi-przyjaciółmi"

Cóż

31 stycznia, 9.34

Tomek Potoczek:

Warunki transcendentalne obecnej syntezy patriarchatu przebiegają po kablach

1 lutego, 12.10

Tomek Potoczek:

Zatrułem się w nocy

Dopiero teraz mdli mnie ze stresu

To ty jesteś socjopatką

Teraz sobie to uświadomiłem kto normalny ustawia sobie takie zdjęcie na profilowym

To twoje pieprzenie o tym że masz poliamoryczny umysł, brednie, jesteś zwykłą atencyjną kurwą

i w ogóle kurwą

i nie masz pojęcia o niczym jesteś totalną amatorką wikipedystką w każdej dziedzinie

14.21

Tomek Potoczek:

ZAMKNALEM SIE W POKOJU

ZE STRACHU

Mam ostre ataki lekowe

lekowe lękowe

2 lutego, 17.34

Tomek Potoczek:

Depresiarsko

I w tle indie rock...

3 lutego, 13.50

Tomek Potoczek:

CO SIĘ DA POMYŚLEĆ, DA SIĘ JASNO POMYŚLEĆ

CO SIĘ DA POWIEDZIEĆ, DA SIĘ JASNO POWIEDZIEĆ

O CZYM NIE MOŻNA MÓWIĆ, O TYM TRZEBA MILCZEĆ

4 lutego, 10.50

Tomek Potoczek:

Jedzie tir

A za nim samochód którego nie widać

Który nie walczy z oporem powietrza

Bo łatwiej biec za tirem

A z naprzeciwka

IDĘ JA

Czołowe zderzenie

Ale chodzi o to

Żeby zmienić tor jego ruchu

Pociągnąć tir za sobą

Wyświetlone: TERAZ

Quasi-przyjaciele… Ostatnia wiadomość wysłana przez Weronikę w dniu jej zaginięcia. Potem wiadomości Tomka bez odpowiedzi. Wcześniejsze konwersacje z tych ostatnich dni to tylko urywki rozmów, które odbyły się w innym miejscu. Może w Malarskiej? To kawiarnia między kamienicą Weroniki a rynkiem. Bliźniaczka Ambasady, może tylko trochę jaśniejsza i czystsza.

Podnoszę głowę znad komputera. Słoneczny ustawił sobie krzesło przed oknem. Paląc papierosa, pilnuje tajniaka z toyoty.

– Jeśli on nas obserwuję, to ja muszę obserwować jego. W naturze nie ma jednostronnych relacji – mówi Słoneczny, mrużąc oczy. Tajniak znowu patrzy w nasze okno. Słoneczny wyszczerza zęby w komicznym grymasie i rozpłaszcza twarz na szybie.

33. Pogrzeb

Daniel nie zostanie pochowany na tym samym cmentarzu co Weronika. Czeka na niego rodzinny grobowiec w willowej dzielnicy. Był przecież z szanowanej w mieście wielopokoleniowej profesorskiej rodziny.

Przycmentarna kaplica jest prawie pusta. Niewiele osób przyszło na ten pogrzeb. Na podwyższeniu stoi szczelnie zaśrubowana trumna. Wyobrażam sobie, jak wygląda to, co jest w środku. Dlaczego nie skremowali ciała? Coś musiało zostać z płonących zwłok i żona Daniela postanowiła to pochować, zamiast dokończyć jego dzieła. Wyobrażam sobie, jak trumna zajmuje się ogniem, a potem w płomieniach staje kaplica, park obok cmentarza, całe to miasto.

Jego ojciec albo nie żyje, albo nie przyszedł na pogrzeb. Starsza kobieta, pewnie matka, w milczeniu stoi koło trumny. Nie płacze. Zaciska usta, zerka czasem na zgromadzone w kaplicy osoby, jakby pytała, po co tu przyszli. Rysy jej twarzy pozwalają przypuszczać, że była kiedyś piękną kobietą. Migdałowy kształt oczu, mały, zadarty nos, mocno zarysowane kości policzkowe. Blond włosy do ramion, na końcach wywinięte na zewnątrz, zaczesane do tyłu i usztywnione toną lakieru. Perły na szyi, beżowy płaszcz do kostek i długi szal. Nie mogę oderwać od niej wzroku. Przypomina starą Lauren Bacall. Odwracam głowę, kiedy zauważa moje natrętne spojrzenie. Żona Daniela stoi kilka kroków za nią. Oto więc ona – Kinga – czarny charakter z listu. Nie zabrała dzieci. Nie pozwoliła im być na pogrzebie ojca. Nie płacze, tak samo jak

teściowa. Międli w rękach czarne rękawiczki i tępo patrzy w nieokreślony punkt nad trumną.

Oprócz tych dwóch kobiet i mnie w kaplicy jest tylko pięć innych osób. Starsze małżeństwo – może wujostwo – oraz dwóch grabarzy i chudy tajniak, który przyjechał tu za mną, a teraz stoi pod ścianą z założonymi rękami. Nikt się nie modli. Wszyscy w napięciu czekają na księdza. Kilka ostatnich dni przekreśliło całe życie Daniela. Wszyscy tu zebrani pewnie zastanawiają się, dlaczego w ogóle przyszli, i czekają, aż grabarze wrzucą trumnę do dołu. Będzie można w końcu stąd pójść i zapomnieć. Matka Daniela zerka na mnie i zwraca się szeptem do Kingi. Kinga odpowiada jej coś i posyła mi nienawistne spojrzenie. Wie, kim jestem. Chciałam z nią porozmawiać, ale to jedno spojrzenie wystarcza, żeby uświadomić mi absurd tego pomysłu. W tym momencie z zakrystii wychodzi ksiądz. Odprawia szybkie nabożeństwo. Nie mówi kazania. Nie ma zawodzącego organisty z małym keyboardem. Nikt nie śpiewa żałobnych pieśni. Do kaplicy wchodzi czterech pozostałych grabarzy. Unoszą trumnę i wynoszą ją na zewnątrz, gdzie czeka już kilku fotoreporterów. Tajniak wyciąga odznakę policyjną i zatrzymuje ich przed kaplicą. Krzyczą coś głośno, ale w końcu poddają się i wychodzą przed bramę cmentarza.

Idę za trumną, utrzymując od Kingi i matki Daniela odległość kilku metrów. Między nagrobkami pałęta się lis. Ksiądz tupie na niego i lis ucieka. Grabarze stękają, spuszczając na linach trumnę do otwartego grobu. Pot lejący się po ich czołach paruje na mrozie.

Matka Daniela z niepokojem odwraca głowę w bok. Z alejki naprzeciwko nadchodzi grupa pięciu osób w kapturach i gumowych maskach. Zbliżają się bardzo szybko. Ksiądz niepewnym głosem wypowiada ostatnie słowa pogrzebowego nabożeństwa. Starsi państwo

odchodzą, właściwie uciekają, nie żegnając się z nikim. Grabarze wymieniają nerwowe szepty. Żona Daniela gniewnie zaciska zęby. W maskach rozpoznaję zwielokrotnioną twarz ministra sprawiedliwości. Zbliżają się. Wszyscy pozostali wciąż na miejscu uczestnicy pogrzebu odsuwają się od grobu, nie wiedząc, co właściwie zrobić. Tajniak biegnie spod kaplicy. Uwolnieni fotoreporterzy pędzą za nim z aparatami przygotowanymi do ataku. Grupa w maskach się rozstępuje. Widzę wiadro w rękach najwyższego mężczyzny. Jeden z grabarzy podrywa się, żeby go powstrzymać, ale wystarcza ułamek sekundy i czerwona farba chluszcze na trumnę.

– Wypierdalać ze zboczeńcami z katolickich cmentarzy! – wrzeszczy do księdza jeden z zamaskowanych.

Tajniak dopada go od tyłu i próbuje obezwładnić. Reszta ludzi w maskach ucieka. Błyskają flesze. Wszystko będzie na zdjęciach. Ktoś stojący kilka alejek dalej opuszcza swoją małą kamerę. Ma na głowie czarny kaptur, ale rozpoznaję go natychmiast. Tomek Potoczek chowa telefon do kieszeni kurtki. Tajniak dalej szamocze się z dryblasem. Mężczyzna w masce jest silniejszy, wyrywa się i biegnie za resztą grupy. Tajniak rzuca się za nimi w pościg, a za tajniakiem pędzą fotoreporterzy. Kinga płacze, wbijając palce w kościste ramię teściowej. Tomek widzi, że na niego patrzę. Odwraca się i szybkim krokiem rusza w stronę bramy cmentarnej. Chcę za nim pójść, ale czuję na ramieniu dłoń Kingi.

– To wszystko wasza wina. Wina takich jak ty i ta Weronika – cedzi przez zęby. Wyrywam się z jej uścisku.

– Daniel tego nie zrobił. Chciałam porozmawiać… – próbuję mówić spokojnie, ale na wszelki wypadek odsuwam się kilka kroków. – Zostawił mi list.

– Jaką historyjkę wymyślił, co?! On całe życie kłamał! Był zwykłym tchórzem, a ona była przebiegłą suką. Zniszczyła go. Zostawiła go. Zawsze wiedziałam! Ja wszystko robiłam dla dzieci, a on?! Dla kogo to zrobił?! – krzyczy, pokazując na oblaną czerwoną farbą trumnę. – Po co tu przyszłaś?! – Podchodzi do mnie i trzęsąc się, ścisza głos. – Ty do niego dzwoniłaś? Z tobą był całą noc przedwczoraj! Pieprzyłaś się z nim, co?! Zboczeńcy! Chcesz prawdy!? On ją zabił! Rozumiesz?! Nie było go wtedy w nocy w domu!

– Powiedział ci, że ją zabił? – pytam, a Kinga milknie na chwilę.

– Kłamał, jak przez całe swoje życie. Masz swoją prawdę i spierdalaj! I nie zbliżaj się do moich dzieci! – syczy przez zęby i wraca do teściowej. Szybko odchodzą w uścisku.

Nie wiem, czy myślała na tyle trzeźwo, żeby skłamać, wiedząc, że twierdząca odpowiedź byłaby podpisaniem na siebie wyroku.

Tomek zniknął z cmentarza. Grabarze zastanawiają się, czy wyciągać trumnę, żeby ją wyczyścić. Dopiero kiedy ja też odchodzę, podejmują decyzję: pośpiesznie opuszczają na grób ciężką płytę.

34. Lalka

Tajniak zniknął na cmentarzu, ale pewnie jeszcze wróci pod okno Słonecznego. Jadę tramwajem w stronę kamienicy Weroniki. Chcę dostać wszystkie filmy z telefonu Tomka. On mógłby milczeć, nawet jeśli coś wie. Wygląda na takiego. Może czeka na odpowiedni moment, żeby jako Kyle893 opublikować film w internecie.

Kiedy jestem pod kamienicą Weroniki, przychodzi esemes od Huka: „Gdzie jesteś? Miałaś nie przychodzić na pogrzeb!". Nie odpisuję. Chowam telefon do kieszeni i popycham drzwi wejściowe.

Pukam do mieszkania Amelii Potoczek. Miałam tu już nie wracać. Nikt nie odpowiada. Pukam jeszcze raz. Przypominam sobie słowa sąsiada, który wychylił głowę zza swoich drzwi w dzień pogrzebu Weroniki. „Na górze jest tylko strych". Zaglądam przez wizjer do mieszkania Amelii, licząc na to, że nigdy go nie zasłania. Przedpokój jest pusty. Gdzie Tomek? Odsuwam się od drzwi i wchodzę po schodach na górę. Wchodziłam już na strychy, tarasy na dachu, do nieznanych klatek schodowych i piwnic. Nie są straszne. Chyba że jest noc. Noc zmienia wszystko. Drzwi, które są tutaj, pomalowane na biało i metalowe, wyglądają zupełnie zwyczajnie. Naciskam klamkę. Otwarte. Półmrok. Czyli prawie jak noc.

– Halo!? Jest tu ktoś!? – wołam, przekraczając wysoki próg.

Strych jest zagracony starymi łóżkami, pralkami, krzesłami. Mnóstwem rzeczy nienadających się już do używania. Przed okrągłym oknem w jaskółce uprzątnięta wolna przestrzeń, a w niej mały stolik

i fotel wyglądający na często użytkowany. Oglądam się za siebie, niepewnie oddalając się od drzwi. Dotykam fotela. Jest miękki, na pewno bardzo wygodny. Pod ścianą stoi jakaś dziwna konstrukcja przykryta białą płachtą. Zarys pod materiałem przypomina przewrócony na blat krzywy stół. Ściągam materiał i każdy nerw mojego ciała poraża ten impuls przerażenia wynikający ze złego rozpoznania obrazu wysłanego do mózgu. Potrzebuję sekundy, żeby uzmysłowić sobie, że to, co widzę, nie jest zwłokami kobiety, tylko realistyczną lalką z sex shopu. Gdyby leżała płasko na brzuchu, twarzą do ściany, byłabym przekonana, że to naga kobieta. Po twarzy i monstrualnych piersiach rozpoznaję jednak, że to tylko atrapa człowieka. Sztuczne, nieruchome oczy patrzą w pustkę, a otwarte usta są jak napompowane dętki rowerowe. Dotykam jej brzucha. Jest bardzo miękka. Można zatopić w niej całą dłoń.

– Co pani tu robi? – Za plecami słyszę głos Tomka. Spodziewałam się, wiedziałam, że nagle bezszelestnie wypełznie z jakiegoś kąta.

– Szukałam pana – mówię bezsensownie i odsuwam się od lalki.

Tomek jest cały czerwony. Podchodzi szybkim krokiem do silikonowej lalki i zakrywa ją białym materiałem. Wycofuję się w stronę drzwi, a on patrzy na mnie z wściekłością. Widzę, że nie wie, co zrobić, ale zaciska ręce w pięści. Wkładam rękę do torby i chwytam niepewnie rękojeść pistoletu.

– To ty nagrałeś samobójstwo Daniela? – pytam, a on nagle rusza w moją stronę.

Wyciągam pistolet i mierzę do niego. Zamiera. Jest zaskoczony. Ręka mi drży, a Tomek z otwartymi ustami patrzy w wycelowaną w niego broń.

– Nagrałeś jego samobójstwo? Co jeszcze nagrywałeś? Wyglądasz na typa, który żre czipsy przed komputerem i cały dzień ogląda pornole.

Łaziłeś za Weroniką, co? – wyrzucam z siebie i czuję wstyd, bo broń przede mną mówi w moim imieniu.

– Nie mam żadnych nagrań – bełkocze i macha rękami w jakimś nerwowym, obronnym geście. Wkłada je do kieszeni, wyjmuje i znowu wkłada.

– Czytałam twoje rozmowy z Weroniką. Pokłóciliście się? Co się wydarzyło przed jej zniknięciem? – Robię krok w jego stronę.

Widzi, że moja broń jest nieodbezpieczona. Uspokaja się trochę. Podnosi ręce w pojednawczym geście.

– Dobra, powiem ci. Tylko opuść to.

– Nie.

– To nie. Dobra. Ten skurwiel, Daniel, zapłacił mi, żebym zamontował w jej mieszkaniu kamerę i zgrywał mu nagrania, jak pieprzy się z innymi kolesiami i nie tylko z kolesiami… – mówi, nie patrząc na mnie. Już rozumiem, skąd miał kasę na tę lalkę.

– Ale ja lubiłem Weronikę. Byliśmy takimi quasi-przyjaciółmi – mówi, a właściwie mamrocze pod nosem. – Powiedziałem jej wtedy, że to robiłem. Wkurwiła się. I nie wiem. Pewnie na niego też się wkurwiła.

– I tyle? Nie masz żadnych innych nagrań? – pytam i opuszczam broń.

– Nie. Ale to on ją zabił – mówi, podkreślając każde słowo.

Podchodzi do mnie, jest nerwowy i podniecony. Kiwa szybko głową i macha rękami, jakby coś mi tłumaczył, ale jeszcze nic nie mówi. Robi nagle ruch, jakby chciał mnie złapać za ramię. Cofam się.

– On ją zabił i dobrze, że zdechł. Zrozumiał. I dobrze, że to nagrałem – mówi szybko.

– Powiedziałeś o tym policji? – pytam, coraz szybciej cofając się do wyjścia.

– Nie… – mówi. Znowu prawie niedosłyszalnym szeptem, pod nosem. – Dostanę pewnie jakąś karę. To jest nielegalne. Teraz to i tak nieważne…

– Wychodzę i nie idź za mną – mówię.

Jest bardzo chudy, wręcz anorektyczny, ale wysoki. Pewnie i tak byłby ode mnie silniejszy, gdyby coś… Czuję jednak dyskomfort, widząc, jak skulił się w sobie. Milczy, a ja – tyłem – idę do wyjścia.

– Czekaj. Nie powiesz mojej matce? O tym i tej lalce? – mamrocze. Musi czuć się bardzo upokorzony.

– Nie powiem… – odpowiadam i prawie zbiegam po schodach na dół.

Chce mi się wymiotować z nerwów. W drzwiach wyjściowych widzę staruszka z pieskiem. Tego, który w dzień pogrzebu Weroniki powiedział mi o strychu i problemach z pamięcią Amelii Potoczek. Otwiera usta i unosi palec.

– Wołała cię, ale nie przyszłaś – mówi.

Pochodzę bliżej.

– Kto mnie wołał? – pytam i czuję w skroniach ból rozsadzający czaszkę.

– Kto… – powtarza po mnie staruszek, chyba próbując sobie coś przypomnieć. Przytrzymuje mnie za ramię, jakby bał się, że odejdę, i unosi głowę. Jest tak blisko, że czuję zapach jego zepsutych zębów. – Ta dziwka…

Przechodzi obok i razem z pieskiem pakują się do windy.

Mruczy jeszcze coś pod nosem, zamykając drewniane drzwiczki.

– Wszystko się jej miesza… Ma alzheimera… Biedna…

35. Płyniesz

Wiesz, że to wszystko jest błędnym schematem, zamkniętym kręgiem złych decyzji, ale nie umiesz się z niego wydostać.

Łapiesz się jednak czegokolwiek. Czegokolwiek, co mogłoby zmienić cokolwiek. Nie potrafisz zostać w jednej skorupie. W jednej bezpiecznej skorupie, jak matka, Słoneczny albo Huk. Ojciec zawsze mówił, że trzeba po prostu żyć. Chodzić do szkoły, potem do pracy, wstawać rano, robić swoje. Wypełniać procedury. I nie można przestawać, nawet jeśli ktoś napadnie cię i zgwałci w twoim własnym domu. Nawet jeśli jedyna ważna dla ciebie osoba umierała, leżąc na śniegu w lesie. Nawet jeśli twoje dziecko ściągnie do wanny, w której się kąpie, włączoną suszarkę i umrze na miejscu. Nawet jeśli pewnego dnia po prostu obudzisz się i – bez żadnego powodu – stwierdzisz, że nie warto wstawać, to i tak musisz wstać. Umyć zęby, odebrać maile, iść do pracy, zjeść śniadanie, wrócić z pracy, pójść spać, a wcześniej umyć zęby, odebrać telefon, jeśli dzwoni, ubrać gacie zanim wyjdziesz do sklepu po papierosy i po tym wszystkim nie zrzygać się ludziom pod nogi. Inaczej nie utrzymasz się w pionie, a tego wszyscy od ciebie oczekują. Oczekują, że się nie poddasz. Nie zaczniesz wrzeszczeć z bólu, rozbijać szyb w samochodach, włóczyć się po mieście w obesranych gaciach, a jeśli już naprawdę musisz, rozłóż to na lata. Wtedy jakoś ujdzie, rozmyje się, nikt nie zauważy. Możesz się powoli rozkładać, tak żeby nikomu nie przeszkadzać. Jak Huk, wypijać codziennie coraz więcej brandy. Łapiesz się wszystkiego, co może dać spokój, szczęście, zapomnienie. Wbijasz sobie igłę w przedramię, żeby

sprawdzić, czy jeszcze cokolwiek czujesz. Nadajesz sens każdemu impulsowi, który przechodzi przez twój mózg, i to jest właśnie twoja choroba.

Dostaję esemesa od „Eryka Scenarzysty": „Mamy dziś ostatni dzień planu, kręcimy w Malarskiej, będzie bankiet, wpadnij, sami spoko ludzie". Wysiadam na najbliższym przystanku i wsiadam w tramwaj jadący w stronę centrum. Ogrzewanie jest podkręcone na maksa. Ludzkie ciała parują spod ciężkich kurtek. Wciskam nos w kołnierz kurtki, żeby nie zwymiotować. Wysiadam, przechodzę przez ulicę i idę w stronę kawiarni, którą do tej pory znałam jako Malarską, ale dziś na potrzeby planu filmowego stała się Lot of Laugh Café. W ogródku przed wejściem ekipa przygotowuje się do ujęcia. Wchodzę do środka. Łysy aktor w cyrkowym trykocie dyskutuje o czymś z brodatym reżyserem, którego skądś kojarzę. Przechodzę przez kawiarnię do pomieszczenia dla palących. Zasłonili wszystkie okna. W półmroku chłopak o latynoskiej urodzie gra na rozstrojonym pianinie przypadkowe akordy. Ma na sobie białą dresową bluzę i czapkę z daszkiem. Przy stoliku obok dwie kierowniczki produkcji nerwowo obgryzają paznokcie. Rozmawiają ze sobą przyklejone do telefonów. Pomieszczenie wypełniają torby ze sprzętem, prywatne rzeczy całej ekipy, brudne plastykowe talerze, zapakowane w folie kanapki, mały ekspres do kawy i drukarka. Wszystko to jest w jakiś sposób swojskie, a jednocześnie obce, jak zapach, który kiedyś czułam codziennie, a później o nim zapomniałam. W sali siedzą także zwyczajni klienci. Siwy mężczyzna w garniturze i kolorowych skarpetach pyka fajkę i prowadzi przez telefon żywiołowy monolog:

– Ja wam załatwię spotkania w czterech miastach. Stary, ja tę książkę przeczytałem, jak wyszła po angielsku. To jest wydarzenie literackie dekady. Majstersztyk. Słuchaj, ja na tym spotkaniu nie będę, bo

prowadzę w tym czasie inne spotkanie z jakimś autorem kryminałów, ale będę na bankiecie po tamtym spotkaniu, to tak się spotkamy.

Przypominam sobie, w jakim jestem mieście. Młody Latynos przestaje katować pianino i wypija łyk piwa. Obraz na krawędziach rozmazuje się, zostaje tylko ostry punkt pośrodku. Przecieram oczy. Do pomieszczenia wchodzi wysoki dźwiękowiec. Włosy pozostawione na czubku ogolonej głowy ma związane w kok. Z włochatym mikrofonem na długiej tyczce wygląda jak wojownik dzikiego plemienia. Za nim wchodzi Eryk. Zauważa mnie i, zaskoczony, szybko podchodzi się przywitać.

– Mery, Mery, Mery… Za godzinę kończymy plan i będzie alko i żarcie. Super, że przyszłaś – mówi bardzo szybko i całuje mnie w oba policzki.

Uśmiecha się szeroko, ale jego oczy z rozszerzonymi nienaturalnie źrenicami uciekają na boki. Ciekawe, czy ładuje tyle co na studiach. Dopiero teraz zauważam, że jest podobny do Słonecznego, zwłaszcza ten głupkowaty wyraz twarzy mają identyczny. Uśmiecham się krzywo.

– Przyjemnie się tu urządziliście, widzę. Co to za film?

– A taki jakiś, LGBT kino, wiesz, o gejach, politycznie zaangażowany – mówi, kiwając głową. – Fajna miejscówa, barmani są spoko, właściciel też. Ogólnie spoko jest, a co u ciebie?

– Spoko – mówię i kiwam głową tak jak on.

Jest za bardzo naćpany, by zauważyć, że go przedrzeźniam. Krótkofalówka, którą ma przy sobie, nadaje komunikat: wszyscy za dwie minuty mają być w gotowości do kręcenia kolejnego ujęcia.

– Dobra, to spoko. Lecę! Tu jest ekspres do kawy, jak chcesz coś z baru, to mamy zniżkę dziesięć procent. – Salutuje mi lewą ręką i wylatuje z sali.

Wychodzę za nim i przeciskam się do baru. Siadam na wysokim stołku. Kojarzę barmana. Pracuje tu od kiedy pamiętam. Niski, w okularach, o miłych, łagodnych rysach twarzy. Miłośnik palenia zioła, zawsze ma coś do sprzedania w promocyjnej cenie. Przeglądam w telefonie zdjęcia Weroniki. Prawie wszystkie są takie same. Zrobione w ciemnych kawiarniach albo w jej kuchni. Ma na nich przymknięte oczy albo półotwarte usta, albo jednocześnie przymknięte oczy i półotwarte usta.

– Cześć – mówię do barmana, kiedy odwraca się w moją stronę. – Ja poproszę Martini Bianco z lodem.

Wybieram jedno ze zdjęć i czekam, aż barman skończy przygotowywać martini. Nie wiem, po co je zamówiłam.

– Mam takie pytanie, dziwne, szpiegowskie właściwie – mówię, starając się, żeby moje słowa brzmiały lekko.

– Tak, słucham – mówi barman, spoglądając na mnie znad okularów.

Drzwi do kawiarni ciągle trzaskają, ekipa co chwilę wchodzi do środka, żeby się rozgrzać. Pokazuję barmanowi zdjęcie Weroniki.

– Kojarzysz pewnie tę dziewczynę, Weronikę Podolską? – pytam, a on kiwa głową i smutnieje.

– Boże, tak… My dalej nie możemy się po tym otrząsnąć – mówi, wsypując lód do szklanki.

– Chciałam zapytać, czy często tu przychodził z nią taki wysoki brunet, z wąsem, kojarzysz go? – pytam, a on nie zastanawia się nawet przez chwilę.

– Pan Szopen? – pyta retorycznie.

– Pan Szopen? – powtarzam po nim, zaskoczona.

– Tak, niektórzy go tu tak nazywają. Bo dużo mówi o muzyce. Zresztą jest muzykiem, pianistą. Pracuje w filharmonii. – Odpowiedź barmana

mnie zaskakuje, ale nie przerywam mu. – No tak, tak. On tu przychodzi codziennie rano i codziennie zamawia to samo, tak zwany zestaw podstawowy. Kanapkę z ricottą, pesto i rukolą i czarną kawę. Często tu siedzieli razem, ale zawsze tak jakby przypadkiem. On po prostu przychodził, kiedy Weronika akurat sama siedziała przy stoliku, coś pisała albo rysowała. Rozmawiali dużo, ale tak, jak wszyscy tu, jakby czekali na coś albo kogoś innego. Wiesz, o co mi chodzi? – pyta, a ja spoglądam na zblazowaną parę przy stoliku koło okna. Sączą kawę, od niechcenia przeglądają jakieś albumy i czasem wybuchają śmiechem.

– Tak, wiem. Dzięki – mówię i wracam do palarni z drinkiem.

Siadam na wygodnej kanapie w rogu sali. Bolą mnie kark i oczy, najchętniej zasnęłabym w nieświeżej pościeli Słonecznego i obudziła się za tydzień. Telefon w kieszeni kurtki wibruje. Dzwoni Łukasz Sosnowski. Odbieram.

– Przegięłaś. Agencja rozwiązuje współpracę z tobą. Nie mamy czasu na użeranie się z pojebanymi małolatami. Miałaś przynosić nam kasę, jak chcesz sobie pozwalać na jakieś fochy, to lepiej zostań poetką – wyrzuca jednym tchem i rozłącza się.

Chowam telefon do kieszeni i wypijam od razu całą szklankę. Zapalam papierosa. Robi mi się niedobrze. Ból rozsadza skronie. Loguję się na konto Weroniki na Facebooku. Przesuwam jej rozmowy z Tomkiem do tych sprzed jakichś kilku miesięcy.

11 października, 01.58

Tomek Potoczek:

Miałem ostry atak lękowy

Zasłaniałem okna kocami

Patrzyłem przez okno i wydawało mi się, że tam jest jakiś krajobraz jak z westernu postapokaliptycznego

Weronika Podolska:

Chyba musisz mniej ćpać

Tomek Potoczek:

Ja wcale nie ćpam
czasem tylko kodeina
KODEINĘ MOŻNA KUPIĆ W APTECE
HAHAHAHAHA
To jest lekarstwo na miłość
Wymaż to ostatnie

Weronika Podolska:

Znowu mnie zjechali
Jestem gównianą malarką
Wrzucili mój obraz na taki fanpage, który ciśnie bekę z shitu w galeriach

Tomek Potoczek:

Widziałem xd

Weronika Podolska:

To nie jest śmieszne

Tomek Potoczek:

Daj spokój
Pieprzyć ich

Polecimy do Nowego Yorku

I będziemy machać tym frajerom z okien samolotu

Weronika Podolska:

Hahahahahaha

Tomek Potoczek:

Tak będzie

https://www.youtube.com/watch?v=LPKcVY2S8Cs

Weronika Podolska:

Paranoja

Tomek Potoczek:

To jest paranoja

https://www.youtube.com/watch?v=1t–gK–9Elq4

ostatnio nie spałem dwa dni z rzędu

i tylko tego słuchałem

Przestaję czytać, gdy do Weroniki przychodzi wiadomość od Tomka: „DLACZEGO CZYTASZ NASZE ROZMOWY?".

Szybko wylogowuję się z jej konta. Czuję się znowu tak jak kilka godzin temu, kiedy przyłapał mnie na strychu. Weronika rozmawiała z nim ciągle, my dzwoniłyśmy do siebie raz na tydzień. Zatapiam się w kanapę i zasypiam. Nie wiem, jak długo śpię, ale budzi mnie głośna muzyka i piskliwy śmiech.

– O, Mery się obudziła – woła Eryk i podchodzi do mnie z drugiego końca sali z brodatym reżyserem.

Podnoszę się na łokciach z kanapy, czuję gorycz w ustach. Mała palarnia wypełniła się roześmianymi ludźmi z lampkami wina w dłoniach.

– To jest Zygmunt Nehrebecki. Pamiętasz? Mieliśmy z nim warsztaty na drugim roku. – Eryk przedstawia mnie brodatemu reżyserowi i przypominam sobie, że właśnie dlatego go kojarzę. Przypominam sobie też, że kiedy upadła mi krótkofalówka, wlazł ze mną pod wielką makietę lasu i macał mnie po tyłku.

Wstaję, żeby uścisnąć jego dłoń. Podchodzi blisko, bliżej niż dopuszczalne pół metra – tak, że czuję zapach jego perfum i alkoholu.

– My się znamy – mówi, uśmiechając się obleśnie.

– Tak, rzeczywiście – odpowiadam z uśmiechem i wymijam go.

– Ładna fryzurka – mówi i puszcza mi oko.

Eryk ciągnie mnie w tłum. Przedstawia mi operatora, aktorów, producentki, które oderwały się od telefonów, dźwiękowców. Kilka osób kojarzę. Z kostiumografką, elegancką blondynką w beżowym płaszczu, kiedyś pracowałam. Żartujemy, piję wino, wszyscy rozmawiają o swoich projektach, chwalą się, ile zarobili ostatnio kasy. Ktoś opowiada o reportażu z wojny na Ukrainie i wszyscy słuchają w skupieniu, a potem wracają do żartów z tematu przyznawania państwowych funduszy na filmy. Wypijam coraz więcej wina. Idę do baru po drink z wódką. Eryk odciąga mnie na bok. Opowiada mi o swoim pomyślę na scenariusz o osiemnastolatce z zespołem Downa, która zachodzi w ciążę i chce urodzić dziecko. Pyta mnie, czy chcę wziąć pigułę – on co prawda strzelił sobie już trzy, ale ze mną chętnie weźmie. Zgadzam się. Różową, okrągłą tabletkę z wytłoczonym znakiem dolara popijam colą z wódką. Czuję się dobrze. Tańczę do piosenki, której słowa brzmią: *„I'm in love with your*

brother". Lubię tę piosenkę. Zapominam na chwilę. Biorę kolejną pigułę. Zapominam zupełnie.

Palę papierosa. Mdli mnie już od nich. Eryk mówi o ojcu dziewczynki z Downem, który umarł, gdy miała pięć lat, ale ona dalej nosi w kieszeni jego kompas. Ktoś podchodzi i pokazuje na ekranie telefonu swoje zdjęcia zrobione na Ukrainie. Zabandażowane głowy młodych żołnierzy, zburzone domy, czołg i dziecko ściskające wyrywającego się kota.

Kostiumografka wymiotuje w toalecie, brudząc swój beżowy płaszcz. Zygmunt Nehrebecki wyciera jej usta papierowym ręcznikiem.

Zakładam różową perukę. Miga flesz aparatu.

Czekam na zielone światło. Przez przejście dla pieszych wolno przejeżdża samochód z uchylonymi szybami. Mężczyzna z otłuszczonym karkiem woła, że jego kolega chce się ze mną ruchać. Eryk wrzeszczy, że ma spierdalać. Mężczyzna odkrzykuje, że jestem wariatką, i samochód odjeżdża z piskiem opon. Odwracam się zdziwiona, zapomniałam, że Eryk dalej ze mną jest i dalej opowiada mi o dziewczynce z zespołem Downa. O jej pasji do zbierania szklanych figurek i o matce, która jej nie kocha. Mówi też, że idziemy do jego dilerki.

Mieszkanie w starej kamienicy. Śmierdzi trawą. Pod ścianą na łóżku jakaś para pieprzy się głośno. Mają na sobie takie same swetry w norweskie wzory.

Dilerka z okrągłym kolczykiem w przegrodzie nosowej. Przeźroczysta torebka z kokainą.

Klub dla gejów. Mokra podłoga. Rozbite szkło. Głośne techno. Eryk pieprzy się z dilerką w darkroomie. Wychodzę zapalić papierosa. Przygląda mi się blondyn z wytatuowanym na szyi lisem. Ogon lisa porusza się. Wygląda jak słup ognia. Lecą z niego iskry. Blondyn siedzi

na ogrodowym krześle, nogi ma rozstawione szeroko, a ręce wsunięte w kieszenie czerwonego dresu, który ciasno przylega do ciała.

– Jak się bawisz? – pyta nagle.

– Świetnie.

– A wyglądasz na smutną.

– Wydaje ci się. Jesteś dilerem?

– A wyglądam?

– Nie wiem.

– A potrzebujesz czegoś?

– A co masz?

– Piguły.

– Nie mogę brać narkotyków, mam wadę serca.

– To mogę ci dać jedną za darmo.

Połykam kolejną tabletkę. Zieloną, z wytłoczonym serduszkiem. Popijam ją piwem.

Kolejny klub. Ciężkie techno. Ludzie ubrani na czarno snują się po wąskich korytarzach. Nikt z nikim nie rozmawia. Zatrzymuję się na chwilę. Wytatuowany mężczyzna kończy malować w kwiatowe wzory ciało młodej, nagiej dziewczyny. Ludzie zgromadzeni w sali obserwują to w skupieniu.

Idę dalej. Zatrzymuję się przy zatłoczonym barze. W kolejnej sali, która jest głównym parkietem klubu, widzę dziewczynę bardzo podobną do Weroniki. Szczupłą blondynkę w granatowej połyskującej sukience z golfem i długim rękawem. Muzyka, a właściwie dźwięki 220 BPM. Ściany drżą. Fale dźwiękowe rozchodzą się w moim brzuchu. Dziewczyna wyróżnia się na parkiecie. Wszyscy poruszają się spazmatycznie, a ona bardzo delikatnie, jak w transie, buja się na

czubkach palców, a potem podskakuje rytmicznie, obracając się wokół własnej osi. Jej ręce i włosy latają bezładnie. Jakby jakaś obca siła podrywała ją w górę.

Jasne niebieskie światło. Na ścianie projekcja: chuda dziewczynka na łące przytula owcę. Dziewczynka na projekcji jest naga, a z jej sutków wychodzą długie macki. Przeciskam się przez podskakujący w konwulsjach tłum w stronę dziewczyny w granatowej sukience. Tańczę tak samo jak ona. Dziewczyna uśmiecha się do mnie. Zdejmuje mi kurtkę i sama ją zakłada. Tańczy w niej przez chwilę i znika gdzieś. Wraca do mnie i łapie mnie za rękę. Czuję, że wcisnęła mi w dłoń małą tabletkę. Sama oddala się kawałek i popija narkotyk łykiem piwa. Otwieram dłoń i patrzę na mały niebieski krążek z wytłoczonym motylkiem. Połykam tabletkę i podchodzę do dziewczyny. Tańczę z nią. Dotyka mnie i całuje. Łapię ją za bok. Przeciągam dłonią po jej plecach. Czuję coś lepkiego, mokrego. Zaczynam krzyczeć. Dziewczyna słabnie i opada na mnie.

– Wyjdźcie stąd! I zadzwońcie po karetkę! – krzyczę, a ludzie otumanieni narkotykami i ogłuszeni muzyką bezładnie odsuwają się od nas.

Dziewczyna nie traci przytomności. Kładę ją na podłodze. Widzę, jak na jej sukience powiększa się krwawa plama. Materiał jest rozcięty nożem.

– Co się stało? – pyta mnie i pierwszy raz słyszę jej głos. Jest cienki i zachrypnięty.

– Leż spokojnie.

– Ale chcę tańczyć!

– Nie ruszaj się… Na co się gapicie?! Dzwońcie po karetkę! – krzyczę i w tym momencie do sali wchodzi barman.

– Jakie pogotowie!? Co się dzieje?! – woła do mnie, przekrzykując muzykę.

– Ona jest ranna! – krzyczę i pokazuję mu swoją zakrwawioną dłoń.

Wychodzi z sali i po chwili wraca z jakąś brudną szmatą, przyciska ją do boku dziewczyny.

– Ktoś ją dźgnął nożem – mówię, czując, że brakuje mi powietrza.

– Pogotowie już jedzie. Jakiś frajer wybiegł z klubu przed chwilą.

– Jak wyglądał?! – Łapię barmana za ramię.

– Nie wiem, był w kapturze, wysoki. Czy ktoś może wyłączyć tę muzykę?! – wrzeszczy barman.

Parkiet jest pusty. Didżeja też nie ma. Rytm się nie zmienia. Zacięta płyta. Wychodzę z sali. Był tutaj. Jestem za tobą. Już nie zapomnę.

Idę do toalety. Odkręcam kran. Woda spłukuje krew z moich dłoni. Wymiotuję do kosza na śmieci.

Pusta kamienica. Zdjęcia. Mężczyźni w oknach na różnych kondygnacjach. Eryk wchodzi do łazienki.

– Pójdziesz ze mną – mówię i łapię go za rękę. Widzę, że zupełnie nie kontaktuje.

Przeciskamy się korytarzem do wyjścia. Pod klubem pakuję go do taksówki. Pyta, dokąd jedziemy. Odpowiadam, że na lepszą imprezę. Wysiadamy pod kamienicą, do której zamierzałam nigdy nie wrócić. W oknie na piętrze Weroniki pali się światło. Może to okno Tomka? Idę pod opuszczoną kamienicę. Próbuję otworzyć drzwi. Eryk zanosi się głośnym śmiechem. Zdejmuje but i próbuje rozwalić nim zamek. Narusza go trochę. Gestem pokazuje, że mam się odsunąć. Nie wiem, skąd znajduje taką siłę, ale wyważa stare drzwi. Wchodzimy do środka. Pyta mnie, gdzie jest ta impreza. Chyba odzyskuje świadomość.

Idę w kierunku schodów. Wszystko staje się gęstsze, nawet moje ruchy zwalniają wbrew mojej woli. Obecność Eryka coraz bardziej się zaciera. Słyszę, że prosi, żebyśmy stąd wyszli, że nie ma tu żadnej imprezy. Wchodzę na górę. Na półpiętrze jakaś starsza kobieta pali ognisko ze śmieci i połamanych mebli. Mruczy jakąś melodię, która brzmi jak kołysanka.

Podnosi głowę i mówi szeptem:

– Nie wchodź tam, lepiej nie idź na górę. Lepiej stąd idź. Tylko nie rób hałasu.

Ale wchodzę dalej, wyżej. Widzę otwarte drzwi, przechodzę koło niskiej wnęki w ścianie. Siedzi w niej skulony nagi, umorusany białym popiołem mężczyzna. Obsesyjnie zagarnia pył na kupkę. Nie ma brwi. Widzę otwarte drzwi. Wchodzę do środka. Puste pomieszczenie oświetla niebieski neon. Przy oknie stoi Weronika w granatowej sukience z golfem. Porusza wargami i choć nic nie słyszę, przypuszczam, że nuci jakąś piosenkę, bo jej palce wystukują na parapecie wolny rytm. Zaczyna tańczyć, porusza się szybko, coraz szybciej. Chcę do niej podejść, ale przeczącym ruchem głowy daje do zrozumienia, że mam tego nie robić. Po jej nogach spływa krew. Niebieskie światło gaśnie. Wycofuję się na klatkę schodową i wchodzę na kolejne piętro. Klatka jest odrapana, brudna. Podłogę pod ścianami pokrywa skorupa ptasiego gówna, pióra i osypany tynk.

– Tu nic nie ma, nic nie ma.

Wchodzę do kolejnego mieszkania. Wygląda tak, jakby ktoś kilkadziesiąt lat temu musiał się wyprowadzić w pół godziny. Stół z jednym krzesłem, samotna kuchenka gazowa, stare naczynia, książki, połamane meble, donice wypełnione suchą ziemią. W małym korytarzu stoi dziecięcy rowerek. a dookoła niego leżą nagie, zniszczone Barbie.

Wychodzę i idę jeszcze wyżej. Słyszę, jak ktoś na dole wchodzi po schodach

– To ty? Nie poszedłeś sobie? – wołam, ale nie słyszę odpowiedzi.

Ten ktoś się zbliża. Biegnę więc po schodach jeszcze wyżej. Te piętra chyba nigdy się nie skończą, a przecież kamienica nie może być tak wysoka. Tracę oddech. Kroki stają się coraz głośniejsze. Próbuję otworzyć drzwi do jakiegoś mieszkania. Zamknięte. Wychylam się przez barierkę i patrzę w górę, gdzie wije się niekończona i ciemna klatka schodowa. Siadam pod ścianą i zamykam oczy. Kroki stają się coraz bliższe i głośniejsze. Nagle wszystko cichnie.

36. Ostatni dzień

Otwieram oczy. Leżę na podłodze w pustym mieszkaniu. Drzwi na korytarz są otwarte. Wpada przez nie lodowate powietrze z klatki schodowej. Ktoś szczelnie okrył mnie moją kurtką. Może Eryk, ale nie pamiętam tego. Sprawdzam, czy mam ze sobą torbę, bo przypomina mi się, że przecież dalej jest w niej pistolet. Torba leży obok. Pistolet jest w środku, dokumenty, telefon też. Podnoszę się z trudem. Przechodzę do kolejnego pokoju, tu kiedyś była łazienka. Część kafelków odpadła ze ścian. Potem wlokę się do miejsca, które było kuchnią. Na oknie widzę przyklejoną wiadomość – taką samą jak ta, którą znalazłam na lustrze Słonecznego. Kartka w kratkę, chyba wyrwana z zeszytu, litery wyklejone z gazetowych stron: „TO TUTAJ, ALE JA NIGDY NIE JESTEM TUTAJ. NIGDY NIE MAM CAŁKOWITEJ KONTROLI, ALE NIEKIEDY MOGĘ POWSTRZYMYWAĆ NIEPRZEMYŚLANE RUCHY. ZAJMUJĘ SIĘ GŁÓWNIE PATROLOWANIEM. NIE BÓJ SIĘ”.

Wyglądam przez okno, które jest idealnie naprzeciwko miejsca, z którego Weronika zrobiła zdjęcia tamtym typom. Stali mniej więcej tu gdzie ja. Przechodzę przez puste pokoje. Nie ma nawet połamanych mebli, wszędzie leży tylko ptasie gówno pokrywające podłogę, nawet tapety ktoś zdarł ze ścian. Nie ma nic. Żadnych wielkich dowodów zbrodni, żadnej mafijnej meliny, squotersów palących ogniska, nic. Tylko twoje zasrane, ćpuńskie urojenia, Mery. Trzeba stąd spierdalać zanim jakiś dozorca zadzwoni po policję. Trzeba w ogóle wyjechać, zostawić

wszystkie te sprawy, których nie da się rozwiązać, i skupić się na tych, które się da.

Schodzę szybko na dół. Przed kamienicą nie zauważam nikogo. Jest chyba wczesny ranek. Albo popołudnie. Wchodzę do pobliskiego sklepu. Wita mnie podejrzliwe spojrzenie ekspedientki. Włóczę się między regałami. Biorę butelkę wody. Kiedy przechodzę koło lodówek, widzę swoje odbicie. Jestem brudna. Umazana – chyba – ptasim gównem i popiołem.

Zostawiam przy kasie jakieś drobne i wychodzę. Nie czekam, aż podejrzliwa ekspedientka skończy je przeliczać. Znowu przechodzę koło dwóch kamienic. Siadam na ławce w pobliskim parku. Biorę łyk wody. Wyciągam telefon i loguję się na konto Weroniki. Piszę do Tomka: „Dlaczego zostawiasz mi wiadomości na lustrach? Kim ty jesteś?". Wyślij. Czekam chwilę na odpowiedź, przychodzi po kilku sekundach: „Nie jestem tym, kogo szukasz. Ale wiem, gdzie on jest". „Tak? Gdzie?", wystukuję szybko, widząc, że kończy mi się bateria. „W piekle", odpowiada Tomek i wysyła link do filmu z płonącym na cmentarzu Danielem. Telefon się rozładowuje. Po drugiej stronie parku widzę starszą kobietę z białym psem, takim samym jak pies Weroniki. Kobieta znika za rogiem. To nie był przecież pies Weroniki. Jestem jeszcze poza swoim ciałem, ale odzyskuję już ostrość widzenia. Podnoszę się z ławki i idę w kierunku kamienicy Słonecznego.

Obsesyjne myśli. Kamienica, w której stara kobieta paliła ognisko, a Weronika tańczyła w granatowej sukience. Co jeszcze nie jest prawdą? Wiadomości, których nie potrafię odczytać, NIE BÓJ SIĘ, dziewczyna zraniona nożem w klubie, list Daniela, jego samobójstwo na cmentarzu i brak alibi, wiadomość na lustrze, „TO NIE ON", „JESTEM ZA TOBĄ", kroki za drzwiami łazienki, dwóch porywaczy, wspólnik i morderca,

ukryta kamera Tomka, kłótnia Weroniki i Daniela i ich rozstanie, o którym z taką pewnością mówiła Kinga. Mijam kiosk w drodze do mieszkania Słonecznego. Brukowce już osądziły podejrzanego. „MORDERCA WERONIKI P. SAM WYMIERZYŁ SOBIE KARĘ". „SZOKUJĄCE NAGRANIE UJAWNIA SPRAWCĘ SKANDALICZNEJ ZBRODNI". Wszyscy zapomnieli o drugim sprawcy. Może on nie istniał? Karolina sugerowała, że Weronika była w szoku, dlatego mogła kłamać. Syndrom sztokholmski – współwina to nie współudział.

Przez chwilę bezmyślnie przyglądam się gazetom oblepiającym kiosk. Drugą sensacją stron tytułowych jest ostrzeżenie o wybuchu w mieście plagi lisów. Bezosobowa Straż Miejska mówi: „W poniedziałek o świcie mieliśmy zgłoszenie o lisie na ulicy Jesionowej w rejonie ścieżki rowerowej. Kolejne zwierzę było widziane na Słodowej, koło stacji pogotowia ratunkowego. Nasz patrol był na miejscu, ale zwierząt nie spotkał". Gazeta ostrzega przed podchodzeniem do agresywnie zachowujących się lisów i zaleca informowanie o każdych rozkładających się zwłokach. Mogą być zarażone wścieklizną.

Zepsuty zamek w drzwiach mieszkania Słonecznego. Jemu też nie można ufać. Opracował taktykę zamykania od zewnątrz drzwi na łańcuch, gdy któreś z nas wychodzi. Skonstruował w tym celu specjalne urządzenie z drutu, które nosi ze sobą zamiast kluczy. Dzwonię do drzwi. Znowu nikt nie odpowiada. Walę więc pięściami. Słyszę, jak Słoneczny idzie przez mieszkanie, burcząc pod nosem jakieś przekleństwa.

– Mam już dość ludzi, którzy dobijają się do mojego mieszkania! – rzuca gniewnie, zdejmując łańcuch.

– Co ci się stało? – pytam, gdy otwiera, a ja dostrzegam rany na jego twarzy. Ma podbite oko i przeciętą wargę. Do łuku brwiowego przyciska

zwinięty ręcznik.

Nie odpowiada na moje pytanie. Wraca do pokoju i kładzie się na łóżku. Siadam obok na krześle. Słoneczny ignoruje mnie i patrzy w sufit, przyciskając ręcznik do skroni.

– Nie chcesz, to nie mów… – Odkładam ostrożnie torbę z pistoletem na stół i wychodzę do łazienki. Zdejmuję ubrania i biorę prysznic. Spłukuję z siebie wczorajszą noc. Zakładam majtki, które miałam na sobie, bo pewnie i tak już nie mam w plecaku żadnych czystych, i sweter Słonecznego, który akurat leży zmięty na pralce.

Kiedy wracam, Słoneczny przewraca oczami i mówi:

– Był u mnie Bruno, ten z Red Velvet. Dowiedział się, że to ja sprzedałem gazecie zdjęcie… Znaleźli go jacyś pojebani łowcy pedofilów z internetu. Teraz zajmują się też zbokami od sado-maso. Dostaje jakieś pogróżki, nachodzą go w knajpie. – Podnosi ręcznik i przygląda się z niepokojem rosnącej czerwonej plamie. Ma rozcięty łuk brwiowy, z którego wciąż sączy się krew.

– I dlatego dostałeś wpierdol? – pytam, siadając na brzegu łóżka.

– Tak. I przypomniał mi, że mam u niego dwa tysiące długu. Mam to oddać do poniedziałku – wzdycha Słoneczny i przymyka oczy.

Patrzę na jego poranioną twarz i ogarnia mnie to uczucie, które zabijam w sobie od dawna, uczucie, którego nienawidzę. Słabość do mężczyzn wywróconych brzuszkami do góry, jak bezradne żuczki na plaży. To nie jest istotne, to nie ma związku z uczuciami, to tylko mój moment poddania się, ostatecznej porażki. Jak wzięcie heroiny w brudnym kiblu, jak palenie marihuany, którą bezdomny wyciągnął ze swojego śmierdzącego buta, jak rozebranie się na środku ruchliwej ulicy, jak picie denaturatu, jak zjedzenie wszystkich czekoladek z półek w supermarkecie. Chcę, żeby Słoneczny mnie zerżnął.

Pochylam się nad nim. Patrzy mi w oczy i czeka na to, co zrobię. Całuję najpierw jego szyję, potem brodę, policzek, ucho. Delikatnie badam skórę muśnięciami warg. Powieki, nos, czoło. Wracam do czułego miejsca za uszami. Jego oddech przyśpiesza. Kładzie mi dłoń na szyi. Kciukiem obrysowuje moje usta. Wsuwa go między wargi i wysuwa. Podniecenie łączy się ze wspomnieniem wszystkich nocy, które ten gest zaczynał. Słoneczny był bez wątpienia najlepszym seksem mojego życia. Fakt, że to nie wystarczało, nie ma teraz znaczenia. Ważna jest tylko krótka rozkosz, która może nastąpi po wszystkich tych niezdarnych, zwierzęcych ruchach. One nadają sens tej zabawie, ale zarejestrowane amatorską kamerą ustawioną przed łóżkiem, bez zmiany kadrów, światła i cięć montażowych przywodzą na myśl tylko kopulację psów w parku. Słoneczny całuje mnie w usta. Wstaję i szybko zdejmuję ciężki sweter, który mam na sobie. Obserwuje mnie uważnie. Nie myślę o bliźnie na moim udzie, o nieogolonych nogach i włosach łonowych. Nie myślę o tym, czy w ogóle mu się jeszcze podobam. Okrakiem siadam na jego biodrach. Myślę o krwi, którą nabrzmiewa jego penis. Odciągam dłoń, którą dalej przyciska do czoła ręcznik. Liżę otwartą ranę na jego skroni. Syczy z bólu.

– Wiesz, że ślina dezynfekuje rany? – pytam i w ramach przeprosin sięgam językiem do czułego miejsca za uchem.

– Ta… a sperma poprawia cerę – odpowiada, pomrukując cicho, kiedy wkładam mu do ucha język. Nie ma w tym niepewności pierwszego spotkania. Wiem, że to lubi. Ściska moje piersi. Przygląda im się z lekkim uśmiechem.

– Chyba trochę urosły, od kiedy je ostatnio widziałem – mówi i gryzie mnie w sutek.

Uśmiecham się tak jak on – tylko kącikiem ust. Patrzy uważnie na moją twarz, kiedy przymykam oczy, gdy wkłada dłoń między moje uda. Przeciąga tę chwilę. Rozpina spodnie, pomagam mu je ściągnąć.

– Trochę zmalał, może ma za dużo pieprzenia – mówię i biorę do ust jego fiuta. Jakiś zaplątany włos łonowy wchodzi mi w usta, wypluwam go.

Słoneczny unosi biodra tak, że zaczynam się dławić i łzy ciekną mi z oczu. Podnoszę głowę i łapię powietrze.

– Jesteś wredną dziwką, wiesz? – mówi i szybko wywraca nas tak, że jest teraz nade mną. Rozsuwam uda. Słoneczny łapczywie gryzie mój brzuch i piersi, całuje mnie w szyję, szepcze mi do ucha: – Możesz krzyczeć, sąsiadom to nie przeszkadza.

Wsuwa się w moje ciało i od razu czuje, że jestem tak mokra, że może właściwie od razu zacząć mnie pieprzyć. O to od początku chodziło, ostre rżnięcie, atak ciała na ciało. Oddaję mu swój ból, jak tylko potrafię, wbijając paznokcie w jego plecy i pośladki, zostawiając czerwone ślady zębów na jego ramionach. Dotykam rany nad jego okiem, tak jakbym po prostu chciała ująć w dłoń jego głowę. Zaciskam palce, a z rozciętego łuku brwiowego sączy się krew. Syczy z bólu, łapie mnie za nadgarstek i przyciska go do materaca nad moją głową. Pieprzy mnie jeszcze mocniej.

Mam ochotę wypowiedzieć teraz jego prawdziwe imię, ale nie robię tego. Wypowiedzenie imienia odbiera moc. Gdybym teraz to zrobiła, nie poczułabym uderzającego w środku wytrysku. W tej sekundzie przed orgazmem pod powiekami wyświetlają mi się obrzydliwe, niechciane obrazy. Tomek posuwający lalkę, obryzgana czerwoną farbą Kinga leżąca w otwartej trumnie obok zwęglonego szkieletu, mój ojciec dyszący nade mną, mężczyzna, który stoi za drzwiami łazienki, wyważa je, gwałci

mnie, a potem ginie, bo naciskam spust. Muszę zepchnąć te obrazy, zniszczyć je. Dopiero wtedy poczuję orgazm. Słoneczny ciężko opada na mnie w tej sekundzie, w której mięśnie rozluźniają się, serce zwalnia, a źrenice wracają do normalnych rozmiarów. Wysuwam się spod jego ciała. Oglądam ranę nad okiem, którą Słoneczny właśnie ociera z krwi, zaciskając zęby.

– Trzeba to zszyć – mówię.

Sperma wycieka ze mnie i spływa po udach. Wstaję i wycieram ją swoimi majtkami. Całe szczęście w walizce mam jeszcze jakąś czystą bieliznę.

– Nie mam ubezpieczenia. Nie stać mnie na lekarzy – odpowiada krótko i patrzy na mnie wyczekująco.

Nie odpowiadam, bo nie wiem jeszcze, czy słabość do przewróconych na plaży żuczków nie ulotniła się przypadkiem wraz z orgazmem. Podchodzę do okna. Widzę, że tajniak i jego toyota wrócili na swoje stanowisko.

– Ja zapłacę za lekarza, ale zabierz swoje rzeczy. Tyle, jakbyś wyjeżdżał na tydzień – mówię, obserwując znudzonego mężczyznę w samochodzie.

Słoneczny rozgląda się po pokoju. Nie gromadzi zbędnych przedmiotów. Chyba wszystkie ubrania, jakie ma, leżą wymięte na fotelu.

– Gdzie ty byłaś całą noc? – pyta, przeszukując dużą szafę, w której, jak podejrzewam, i tak nie znajdzie nic przydatnego.

– Przecież byłeś ze mną – odpowiadam zaskoczona i w tej samej chwili uświadamiam sobie, że to był przecież Eryk, a nie Słoneczny. Mylą mi się.

Słoneczny prycha rozbawiony, pewnie myśli, że już kompletnie oszalałam, ale nie dopytuje.

Upychamy najpotrzebniejsze rzeczy do mojej walizki. Szczoteczka do zębów, ręcznik, laptop. Po chwili zastanowienia pakuję też kasety ojca, które zabrałam od matki ze szpitala. Dzwonię po taksówkę, przyjeżdża po kilku minutach. Kiedy wychodzimy z kamienicy, odgrywamy spektakl dla tajniaka. Najpierw wyprowadzam Słonecznego, udajemy, że ma złamaną nogę. Wspiera się całym ciężarem na moim ramieniu. Potem pakuję do bagażnika walizkę.

Wybieram największy szpital w mieście. Z masą budynków, wejść i wyjść. Tajniak jedzie za nami. Kiedy wchodzimy do szpitala, sprawdzam, czy został w swojej toyocie. Gra aktorska Słonecznego nie budzi w nim chyba żadnych podejrzeń. Zostaje w samochodzie.

Wystarcza jeden szew, żeby zatamować krwawienie z rany Słonecznego. Pytam lekarza, czy można to samodzielnie zdjąć po kilku dniach. Słoneczny patrzy na mnie podejrzliwie. Lekarz odpowiada, że lepiej tego nie robić. Wychodzimy drzwiami na tyłach budynku. Nigdzie nie widzę tajniaka. Pewnie czeka na nas tam, gdzie wysiedliśmy z taksówki. Słoneczny nie oponuje, nawet nie pyta, co właściwie robimy.

37. Jak najdalej

Wiem, że ktoś za nami jedzie. Słowa „JESTEM ZA TOBĄ” z kartki na lustrze traktuję jako obietnicę. Ale on nie pozwoli się zdemaskować, tak jak chudy policjant z toyoty. Wyjdzie z ukrycia dopiero, kiedy będzie pewny, że mamy zamknięte oczy. O tym aspekcie naszej wyprawy nie mówię Słonecznemu.

Stacja benzynowa na wylotówce za miastem jest pusta, choć nie jest jeszcze późno. Długi biały tir podjeżdża zatankować. Oddalam się na bezpieczną odległość i zapalam papierosa. Dym miesza się z zapachem lasu. Wmawiam sobie, że w tym miejscu oddycham już czymś innym niż trującym oparem miasta pełnym skisłych wydechów innych ludzi. Słoneczny wychyla się z samochodu. W kieszeni wibruje mi telefon. Ojciec. Nie odbieram.

– Czemu dalej tak stoisz? – woła Słoneczny.

Wyrzucam papierosa i podchodzę do samochodu.

– Znasz jakiś opuszczony dom? – pytam, siadając za kierownicą.

– Taki nawiedzony?

– Niekoniecznie. Po prostu taki, który od lat stoi pusty i na uboczu.

– Chyba nie.

– A ja znam… – mówię cicho, właściwie tylko do siebie.

Z samochodowego radia sączy się komunikat lokalnej rozgłośni o zbliżającej się obławie na lisy nękające miasto. Rozpoznaję głos Huka. Informuje, że mieszkańcy konkretnych rejonów miasta zajętych przez lisy proszeni są o niewychodzenie z domów w przyszły poniedziałek

między godziną 23.00 a 1.00 w nocy. Wjeżdżam na wylotówkę z miasta i sygnał słabnie. Głos spikerki co kilka sekund przerywa popowa piosenka z ogólnopolskiej stacji. Audycja lokalnej rozgłośni wraca do tematu lisów. Jakaś starsza kobieta opowiada o ataku lisa w czasie mszy. Wściekłe zwierzę miało wbiec do kościoła Świętej Anny i gonić wiernych zmierzających do przyjęcia komunii świętej. Lis zniszczył dwa wazony i figurę Jezusa oraz pobrudził ścianę krwią, bo prawdopodobnie skaleczył się o potłuczone wazony. Wierni odparli atak, układając barykadę z kościelnych ławek. W końcu sygnał zanika.

38. Kluczenie

Nie mogę powiedzieć Słonecznemu, że to nie jest podróż bez celu, bo jego cele nudzą. Jeśli powiem, że tak naprawdę to „gdzieś daleko", gdzie jedziemy, jest bardzo konkretnym miejscem, wysiądzie z samochodu i wróci autostopem do miasta.

Właściwie gdzie moglibyśmy pojechać, żeby naprawdę jechać przed siebie setki kilometrów? Chyba tylko w głąb Rosji albo w drugą stronę – do Portugalii. A to już robi się skomplikowane, to już rodzaj turystyki. W tym kraju powieść drogi kończy się na kluczeniu po swoich śladach, od jednej granicy do drugiej.

Staram się nie myśleć i skupić się na drodze, rejestrować tylko przesuwający się przed oczami krajobraz i płynącą z radia muzykę. Koncentruję się na szczegółach pozbawionych znaczenia, na przykład na pogodzie. Od kilku dni mamy wielkie roztopy. Temperatura wzrosła do poziomu, przy którym oczy nie łzawią już z zimna. Świeci słońce i właściwie jest to przyjemna, korzystna dla zdrowia psychicznego pogoda. Samochód, który wypożyczyłam, czarny volkswagen polo, został wyposażony w przypadkowy zestaw płyt, które znaleźliśmy w schowku. „Illuminations" Santany, „Among my Swan" Mazzy Star i największe przeboje Boney M. Kiedy Słoneczny słucha szósty raz *Bahama mama*, zmieniam płytę na Santanę, on się denerwuje, włącza Mazzy Star i doprowadza mnie do szału przedrzeźnianiem głosu wokalistki. Znowu więc wracamy do *Bahama mama*. Zatrzymujemy się na stacjach benzynowych, żeby kupić kawę, hot dogi i papierosy. Obserwuję

pracowników. Im dalej od miasta, tym stają się coraz bardziej nieobecni, powolni, niewyspani, małomówni. Przy jednej ze stacji benzynowych jest hodowla pawi. Przechadzają się dumnie między dystrybutorami. Pytam rudą ekspedientkę, czy właściciel nie boi się, że uciekną. Odpowiada, że kiedyś próbowały, ale po kilku dniach zawsze wracały. Teraz uspokoiły się już zupełnie i porzuciły myśli o ucieczce.

Słoneczny pozostaje obojętny wobec wszystkiego, co mijamy po drodze. Drapie się tylko ciągle po szwie na łuku brwiowym i patrzy w okno. Nie rozmawiamy prawie w ogóle. Dużo śpi na rozłożonym siedzeniu obok albo nuci, oczywiście *Bahama mama*. Nie ma prawa jazdy, więc nie mogę się z nim zamieniać, ale nie przebywamy dziennie dużych dystansów. Nie jeździmy autostradami, nie musimy się śpieszyć. Samochód toczy się wolno, bocznymi drogami. Jedzie za nami srebrny ford, który przeważnie trzyma się w bezpiecznej odległości. Słoneczny chyba go nie zauważa, co mnie dziwi, zwłaszcza kiedy kierowca zmniejsza dystans i przez dłuższy czas siedzi nam na ogonie. Próbuję w lusterku dostrzec jego twarz, ale obraz zawsze jest rozmyty. Zatrzymujemy się w motelach przy stacjach benzynowych. Siedzimy w pokoju i pijemy piwo. Oglądamy w telewizji najgorszą szmirę: popowe teledyski, reality show o damach i wieśniaczkach, nudne transmisje z obrad sejmu, żenujące kabarety. Czasem, zwłaszcza gdy w pokoju nie ma telewizora, uprawiamy seks. W nocy, kiedy nie mogę spać, wychodzę z pokoju i słucham w samochodzie kaset ojca. Słucham, jak opowiada matce o tym, co robił przez cały dzień, z kim rozmawiał albo że nie rozmawiał z nikim, czy pije więcej czy mniej, jaka jest pogoda, która ulica dostała nową nazwę, gdzie otworzyła się nowa kwiaciarnia. Mówi, że myśli o niej zawsze, kiedy przechodzi koło kwiaciarni. Na razie nie wspominał nic o mnie.

Czuję się jak poszukiwany przestępca, jak ktoś, o kim mówi się „zbieg". Nie patrzę w oczy ludziom spotykanym w wiejskich sklepach, w których to sprzedawczyni podaje towary. Na każdej stacji z bankomatem sprawdzam stan konta. Oszczędności topnieją. Czasem, gdy mamy dobry humor, udajemy bohaterów *Urodzonych morderców*. Przymierzamy okulary, robimy do siebie głupie miny między regałami, udajemy, że chcemy coś ukraść, i śmiejemy się z podenerwowanych naszym zachowaniem sprzedawców. Po dniu jazdy przez ponure wsie i pola, na których spod topniejącego śniegu wyłaniają się przegniłe trawy, kolorowy asortyment sklepu wciąga jak dobry film. Czytam etykiety produktów spożywczych: skład kremowego serka z zielonym pieprzem, ekologicznego koziego jogurtu z sosem malinowym, pasty do smarowania z czerwonym kawiorem, serka topionego o smaku grzybów, ciastek owsianych o smaku chałwowym, wegańskich kotletów schabowych, czipsów ziemniaczanych o smaku bekonowym (tylko 5% tłuszczów nasyconych). Słoneczny przegląda w tym czasie komiksy dla dzieci wystawione przy kasie i testuje wiatraczek, który jednocześnie jest pojemnikiem na kolorowe cukierki. Trudno mi się zdecydować, co wybrać z oślepiającej białym światłem lodówki.

– Stoisz tak już z dwadzieścia minut. Weź cokolwiek – mówi Słoneczny, podchodząc do mnie z paczką nachosów i słoikiem meksykańskiej salsy.

– Nie mogę wziąć czegokolwiek. Chcę wziąć coś, co dziś będzie mi najbardziej smakować – mówię, wpatrując się w lodówkę. Biorę z półki kremowy serek i śledzie z żurawiną. Odkładam je. Biorę kaszkę z syropem karmelowym. Odkładam. Wpatruję się w rzędy towarów na półkach lodówki. Pocę się, coś uwięzło mi w krtani. Ledwo przechodzi przez nią powietrze.

– Nie schizuj w sklepie. Weź to, to jest dobre – mówi Słoneczny, ściągając z półki sałatkę brokułowo-makaronową i jogurt o smaku owoców leśnych.

Odchodzi i wraca po chwili z dwoma parami takich samych czarnych okularów. Tłumaczę sobie, że kupujemy je tylko dlatego, że w czasie jazdy słońce razi w oczy. Kiwam głową i idziemy do kasy.

A może wychodzimy bez płacenia? Może straszymy sprzedawcę pistoletem, który dalej mam ze sobą w torbie, i kradniemy jedzenie warte kilkanaście złotych? A może kiedy jesteśmy już przy samochodzie, Słoneczny przypomina sobie o czymś, bierze ode mnie broń i idzie do sklepu, z którego wraca szybko, ściskając w drugiej dłoni dwie paczki papierosów?

Nie, po prostu płacimy. Wychodząc, mówimy: „Do widzenia" i dopiero po tym odjeżdżamy z piskiem opon, albo nawet i bez niego.

W tej podróży, niby donikąd, stacje benzynowe stają się celem samym w sobie. Kręcimy się w kółko. Od jednej nowej paczki papierosów i rzuconego koło dystrybutora foliowego opakowania do kolejnej świecącej w ciemności lodówki i hot doga z sosem arabskim. Nie robimy nic oprócz tego. Żremy, oglądamy telewizję i palimy papierosy. Kiedy powoli wtaczamy się na kolejną uśpioną stację, uchylam szyby w samochodzie, a Słoneczny zakłada czarne okulary. Z radia w samochodzie wciąż na cały regulator gra *Bahama mama*. Czarne okulary, opuszczone szyby i *Bahama mama* są jak napalm otwarty przed tym sterylnym, białym budynkiem i spalenie wszystkiego, bez brania jeńców. Kiedy tankuję benzynę, wyobrażam sobie, jak Słoneczny, podrygując w rytm piosenki, nagle wyrzuca zapalonego papierosa i wszystko zajmuje się ogniem, nawet las za stacją. Dwa zaparkowane nieopodal tiry z benzyną wybuchają i dopiero teraz możemy odjechać

z piskiem opon. Z lasu za stacją wybiegają spłoszone lisy i tylko ich jest mi trochę żal.

39. Dziewczyna z klubu

Lola jest technonarkomanką i to pozwala jej utrzymać się przy życiu. Lola czasem nie śpi kilka dni z rzędu. Prosto z klubu idzie na uczelnię. Prosto z klubu idzie odwiedzić ojca w szpitalu. Prosto z klubu idzie na rozmowę o pracę. Prosto z klubu idzie na randkę, z której wyjdzie znudzona i wróci do klubu. Każda droga Loli musi przebiegać przez klub techno. Lola nie potrzebuje narkotyków, ani nawet alkoholu, i to odróżnia ją od wielu technonarkomanów. Kiedy Lola schodzi po stromych schodach do dudniących muzyką piwnic, czuje się, jakby ktoś otworzył przed nią bramy zaczarowanej krainy, pełnej ciemnych pomieszczeń, niebieskich i czerwonych świateł, brokatu na twarzach, adidasów o świecących podeszwach. Wszyscy są w transie i nie trzeba z nikim rozmawiać. Można przemykać pod ścianami po swoich śladach: bar – parkiet – toaleta. Lola od razu kieruje się w stronę źródła dźwięku. Fale dźwiękowe poruszają ścianami i wnętrznościami w jej brzuchu. Lola wyraźnie czuje każdy milimetr swojego ciała, tak długo, jak dźwięk rozchodzi się w niej. Dzięki muzyce wszystko nabiera wyraźnych kształtów, jest ostre, namacalne, prawdziwe. Lola czuje też pustkę w głowie. Wszyscy wokół niej po nią tu przychodzą. Zresetować mózgi, zryć sobie banie, zapomnieć, że na zewnątrz jest świat pełen zakazów i barier, których nie da się obejść.

W toalecie jest najjaśniej, to jedyne miejsce, gdzie można przyjrzeć się twarzom. Na parkiecie i przy barze ciemność rozświetlają już tylko stroboskopy. To dlatego Lola nie może przypomnieć sobie twarzy

mężczyzny, który zaatakował ją w klubie. Widziała go tylko przez ułamek sekundy, kiedy ta łysa, ładna dziewczyna układała ją na plecach na podłodze. Widziała wtedy jego twarz dokładnie, ale teraz wypadła już z jej pamięci. A może tylko wydaje jej się, że widziała jakąś twarz? Na dobrą sprawę pamięta tylko czarny kaptur. Lola rozmawiała z policją, a nawet z prokuratorem. Wydał jej się miłym człowiekiem, choć trochę przesadnie zareagował, gdy powiedziała, że w klubie tańczyła z nią wtedy łysa dziewczyna. Uspokoił jednak Lolę, tłumacząc, że najprawdopodobniej to nie ona była celem nożownika. Lola pomyślała wtedy, że to ironiczna metafora jej życia: zawsze dostaje coś tylko rykoszetem. Ktoś macha jej na ulicy, ona odmachuje, a potem okazuje się, że chodziło o osobę za jej plecami. Standard. Lola ma jednak poczucie, że powinna sobie przypomnieć tę twarz, że to może nadać znaczenie wszystkim pozbawionym go sprawom w jej życiu. Czarny kaptur, a to, co w środku, to obraz zamazany jak na nagraniu z sali sądowej w telewizji. Ta luka dręczy ją jak tytuł piosenki albo filmu, który wyleciał z głowy, jak trudne słowo, którego nie można sobie przypomnieć.

40. Więzienie

– Nie wyjdziesz stąd, dopóki nie zrozumiesz, co zrobiłeś! Słyszysz mnie?! – mówi Amelia i podkreśla swój wyrok uderzeniem pięścią w drzwi pokoju syna.

– Tak! – woła Tomek i wali głową w poduszkę.

– Nie hałasuj! I nie histeryzuj! To wszystko dla twojego dobra! – krzyczy Amelia i wraca do swojej sypialni. Siada na łóżku i połyka trzy okrągłe tabletki na uspokojenie. Kładzie się i włącza radio. Słucha popołudniowej relacji z budowy nowej świątyni w dzielnicy miasta, w której do tej pory było za mało świątyń. Próbuje zasnąć.

Tomek wie, że walka z matką nie ma sensu. Wie, że i tak przegra, bo ona ma rację, a racją tą są pieniądze i akt własności tej kamienicy. On sam należy do matki tak, jak wszystkie meble w tym mieszkaniu, ale nie rozumie, dlaczego go tu zamknęła, nie rozumie, co takiego zrobił, czym sobie na to zasłużył, a może jednak rozumie, ale wypiera tę myśl. Wygląda przez okno. Wykrzywia wściekle twarz w stronę przechodniów pędzących po chodnikach. Nikt go nie zauważa. Siada przed komputerem i wchodzi na stronę lightningmaps.com. Można na niej śledzić zmiany pogody w całej Europie. Z dokładnością do kilku minut na mapie pojawiają się pulsujące czerwone punkty, które oznaczają uderzenia pioruna. Burza w zimie to zła wróżba. Oznacza zbliżające się nieszczęście. Klęskę, która spotka całe miasto albo wybierze tylko jedną osobę. Tomek przesuwa mapę. Jedyne miejsce w Europie, w które uderzają teraz pioruny, to Berck we Francji, nad kanałem La Manche.

Tomek wyobraża sobie, jak tam jest. Mieszkańcy z niepokojem patrzą w ciemne niebo. Ci, którzy nie zdążyli wrócić do domów, ukrywają się w otwartych jeszcze piekarniach. Wchodzi na Google Maps i wpisuje nazwę miasta. Upuszcza ludzika na przypadkową ulicę. Rue Jeanne, spokojna przybrzeżna uliczka z małymi, białymi domkami o czerwonych dachach i niebieskich okiennicach. Ludzie prowadzą tam zupełnie inne życie. Jedzą na śniadanie bagietki z dżemem pomarańczowym, piją kawę z misek niebieskich jak kominy ich domów, a wieczorami wychodzą na spacery brzegiem morza.

Trafił idealnie na skrzyżowanie trzech ulic. Zastanawia się przez chwilę, która z nich prowadzi nad morze. Wybiera najwęższą. Okna zasłonięte antywłamaniowymi roletami wychodzą prosto na chodniki tak wąskie, że trzeba schylać głowę, przechodząc pod zwisającymi z parapetów roślinami, których nazw Tomek nie zna. Wszystkie domy są takie same: biało-kremowo-ceglano-błękitne. Przed jego oczami pojawia się ogromny parking. Kilka samochodów zaparkowanych w dużych odległościach od siebie świadczy o tym, że być może znajduje się blisko mniej popularnego zejścia nad brzeg. Widzi w oddali białą linię plaży i cieszy się, że wybrał właściwą drogę. Mija ogromny biały ośrodek wypoczynkowy, który wygląda jak baza wojskowa albo szpital. Podchodzi tak blisko linii brzegu, jak tylko pozwalają na to wytyczone na mapie ścieżki. Niżej nie da się zejść, na samej plaży nie ma oficjalnych dróg zarejestrowanych przez satelitę. Pustka połaci białego piasku i równa linia horyzontu nad wodą. Przypomina sobie wyjazd nad morze z matką kilka lat temu. Cieszył się, że spaceruje nabrzeżem i patrzy na spokojne morze, dopóki matka nie zaczęła prześladować go pytaniami, dlaczego nie chce się rozebrać. Przecież po plaży nie można chodzić w T-shircie i długich spodniach. To zniszczyło całą przyjemność z wyjazdu. Chciałby

pojechać tam sam. Mógłby tam nawet pojechać z Weroniką. Teraz to już niemożliwe, a poza tym pewnie by się nie zgodziła. Wraca do mapy pogodowej. Pioruny wciąż uderzają w okolicach Berck.

Wyłącza komputer i kładzie się na łóżku. Ma sen. W tym śnie idzie z Weroniką przez opuszczoną kamienicę. Wchodzą do windy. Przejście jest bardzo niskie, trzeba wczołgiwać się na czworakach. Wczołgują się razem. W środku windy zawieszone na linach schody prowadzą w górę szybu. Nagle zrywa się jedna z lin i cała winda zaczyna się chwiać. Miejsce się zmienia. Idą teraz przez opuszczony parking w Berck. Ale dziewczyna idąca przed nim nie jest już Weroniką. Ma długie czarne włosy. Która to może być z tych eterycznych, ładnych dziewczyn, które nie chciały go kochać? Zawsze wybierały jakichś bezmózgich przystojniaków na motorach, w jeansowych kurtkach i czapkach z daszkiem, skurwysynów. To nieważne która, one i tak wracają tylko w tych obsesyjnych snach. Nie chce ich tam. Chce się obudzić. Nad białym ośrodkiem kołują czarne czaple. Mijają wyschnięte baseny z wielkimi kubistycznymi fontannami. Wszystko jest ogromne, kilkanaście razy większe od nich, jakby znaleźli się w krainie olbrzymów. Dziewczyna nagle daje mu znak głową, że powinni skręcić w lewo, ale on zawraca i zaczyna biec. Sen się kończy.

Budzi się zlany potem. Wygląda przez okno, na zewnątrz jest już ciemno. Podchodzi do drzwi, żeby sprawdzić, czy dalej są zamknięte. Matka trwa przy swoim wyroku. Tomek zdejmuje koszulkę i zaczyna robić pompki. Przestanie jeść i pić. Będzie robił pompki aż do utraty tchu. Ciało należy tresować. Ciało jest zbędne, to balast, nad którym trzeba sprawować ciągły nadzór. Będzie zapisywał w zeszycie, jak długo wytrzyma bez jedzenia i ile uda mu się zrobić pompek każdego dnia. Zostanie tu. Nigdy już stąd nie wyjdzie. Matka ma rację. Matka zawsze

ma rację. Ojciec nie chciał jej słuchać i źle skończył. Tomek czasem zastanawia się, kogo obwinić za to, kim jest. Matkę czy ojca? Łatwiej zwalić wszystko na ojca – nieudacznika. Tomek pamięta, że kiedy był mały, ojciec był jeszcze przynajmniej całkiem zabawny. Opowiadał ciągle kawały, z których matka śmiała się głośno, ale kawały nie zmieniały się z biegiem lat i coraz mniej bawiły matkę. W końcu zaczęła reagować na wygłupy ojca tylko złością i zniecierpliwieniem. A może nie chodziło wcale o te nieśmieszne już żarty, tylko o jego nieudane interesy? Tomek pamięta, że ojciec handlował spodniami z Chin w budce „szczęce" na bazarze. Czasem zabierał syna ze sobą, mówił, że nauczy go, jak robić biznes. Potem, gdy interesy szły coraz gorzej, Tomek nie widywał ojca prawie w ogóle. Kiedy wracał wieczorem albo wychodził wcześnie rano, dawał synowi prezenty, przeważnie karty do gry w Czarnego Piotrusia, żeby nie było mu smutno. Pamięta tylko, jak raz pojechał z ojcem samochodem sprzedawać spodnie z otwartego bagażnika w jakiejś uzdrowiskowej miejscowości. Ojciec to, co wtedy zarobił, wydał na wizytę u kurwy pod lasem w drodze powrotnej. Tomek wszystko widział. Podskakujący chudy, goły tyłek ojca. Rozkraczoną tlenioną lafiryndę. Porzygał się na tylnym siedzeniu samochodu. Interes szedł coraz gorzej, ojciec próbował założyć sklep, ale wszystko, co zarabiał, wydawał. Pewnie na kurwy. Kamienica w spadku po bezdzietnym wuju matki uratowała ich sytuację finansową i dała matce pełnię władzy nad Tomkiem i ojcem.

Tomek opada ciężko na podłogę. Chwilę leży bez ruchu, wdychając łapczywie powietrze. Wstaje i zapisuje w zeszycie liczbę siedemdziesiąt osiem. Tak będzie najlepiej. Musi izolować się od ludzi, zamknąć się w celi. Tylko tak osiągnie kontrolę.

41. Miasteczko

Słoneczny mówi, że nudzą go już stacje benzynowe i ciągnące się kilometrami wiejskie drogi.

– Dokąd jedziemy? – pyta, kiedy próbuję złapać jakąś stację radiową ze znośną muzyką.

Jedna z naszych czterech płyt zaklinowała się w odtwarzaczu, a cisza może doprowadzić do rozmowy, która skończy się tym, że jedno z nas wysiądzie z samochodu, trzaśnie drzwiami i zniknie gdzieś w lesie.

– Donikąd – zbywam go i przestaję manewrować pokrętłem. Trudno, będziemy słuchać muzyki ludowej z lokalnej stacji.

– Nie wierzę ci – mówi i sięga do tyłu po kolejną paczkę ciastek.

– Nie jesz za dużo? – pytam, skupiając wzrok na drodze.

Nawigacja w telefonie traci zasięg. Słoneczny, dotknięty moim pytaniem, zamiera z otwartą paczką w ręce.

– Oddam ci kasę za tę wycieczkę, jak tylko wrócimy – mówi, otwiera okno i wysypuje przez nie całą zawartość paczki.

Nie komentuję tego głupiego gestu.

– Może pożyczysz od Brunona? Tysiąc w jedną albo drugą nie robi już chyba różnicy. Najwyżej znowu dostaniesz wpierdol – mówię, ale Słoneczny, obrażony, nie odpowiada.

Nie odzywamy się do siebie przez następne kilka kilometrów. Właściwie nie wiem, po co go ze sobą zabrałam. Może ze strachu przed niesłyszeniem ludzkiego głosu. Pamiętam takie stany, gdy w końcu po kilku dniach siedzenia w domu i nieodbierania telefonów wychodzi się

do sklepu i głos załamuje się, kiedy przy kasie trzeba powiedzieć: „Dziękuję, do widzenia". Nawet jeśli mówię do siebie przez kilka dni przebywania w izolacji, mój głos nie jest przygotowany na wypowiedzenie słów do drugiego człowieka. Patrzę na Słonecznego. On wiele lat temu zrobił to, na co ja wciąż nie mam odwagi. Zrezygnował. Maksymalna obojętność. Gdybym nagle weszła w rolę, powiedzmy, jego szurniętej matki i w dodatku zaczęła myśleć, że naprawdę nią jestem, na Słonecznym nie zrobiłoby to wrażenia. Gdybym nagle zaczęła… W kieszeni wibruje telefon. Dzwoni ojciec. Pokazuję Słonecznemu gestem, że ma się nie odzywać, i odbieram.

– Mery, wiem, że wyjechałaś, to dobrze. Muszę cię o coś zapytać. Właściwie o dwie rzeczy.

– To pytaj – mówię i zatrzymuję samochód. Już kompletnie nie mam pojęcia, w którą stronę jechać, żeby wydostać się z tego lasu.

– Czy jesteś ze Słonecznym? Ostatni raz widziano go z tobą w szpitalu.

– Nie, jestem sama – kłamię, chociaż na wielu innych poziomach jest to prawda.

Przechodzi mnie dreszcz. Niewiedza ojca świadczy o tym, że wlekący się za nami całą drogę ford nie należy do żadnego z policjantów.

– Na pewno? On jest dalej podejrzany w sprawie Weroniki. Miał nie opuszczać miasta – dopytuje Huk swoim najbardziej drażniącym, upierdliwym tonem.

– Tak, na pewno. Coś jeszcze? – Coraz bardziej się denerwuję.

– Nie widziałaś sprawcy ataku na tę dziewczynę w klubie, prawda?

– Nie, nie widziałam – odpowiadam i nie kontynuujemy rozmowy.

Oboje wiemy, co znaczą słowa, których nie dopowiadamy. On chciał zabić ciebie, Mery, nie ją. Lepiej nie wracaj do miasta i uciekaj daleko.

Wysiadam z samochodu i zapalam papierosa. Gdyby było lato, w tym miejscu byłoby pięknie. Rozłożyste buki, owocujące krzaki jagód, śpiewające ptaki, promienie słońca przebijające przez korony drzew. Ale jest początek marca i czapy topniejącego śniegu spadają z gałęzi świerków. Słoneczny też wysiada z samochodu i wystawia twarz do słońca. Mruży oczy. Kiedyś próbowałam sobie odpowiedzieć na pytanie, co jest ważne, co ma w moim życiu wartość, i uznałam, że on. Błędy poznawcze. Mam już dość myślenia o życiu – jakby to była pieprzona Opowieść wigilijna – że ludzie, którzy pojawiają się na twojej drodze, mają do opowiedzenia swoją historię, która cię zmieni i to będzie ich wkład w twoje życie. Takie mądrości nadają się tylko do motywacyjnych broszurek, które rozdają w korporacjach.

– Dobra, może wyjedziemy z tego lasu do wieczora – mówię i wsiadam z powrotem za kierownicę.

Słoneczny zajmuje miejsce obok mnie. Postanawiam jechać prosto i w razie konieczności skręcać tylko w prawo. W końcu krajobraz się zmienia. Przed nami połacie łąki i w oddali małe miasteczko. Dość nietypowe zjawisko: wcześniej zwykle były las, łąki, kilka domów, wieś, która dopiero po kilku kilometrach łagodnie przechodziła w blokowiska i miejskie zabudowania. Tu miasteczko od razu wyrasta przed naszymi oczami, jak fatamorgana. Chcę zapytać Słonecznego, czy też je widzi, ale rezygnuję, bo to chyba głupie pytanie. Samochód z podziurawionego asfaltu wtacza się na kostkę brukową. Nigdzie nie widzę tabliczki z nazwą miejscowości. Widząc niską zabudowę, która kojarzy mi się tylko z nadmorskimi miasteczkami na południu Europy albo we Francji, zastanawiam się, czy nie przekroczyliśmy granicy. Wszędzie wąskie domki jednorodzinne, ściśnięte jeden na drugim. Białe ściany i brunatne dachy. Zamknięte błękitne bramy skrywają stare, drogie samochody

i zadbane ogródki. Otwieram okno i czuję zapach morza. Chodnikiem powoli idzie staruszka z balkonikiem. Hamuję. Samochód wolno toczy się obok niej.

– Przepraszam panią, jak nazywa się to miasto? – pytam przez uchylone okno.

Nie reaguje, sunie do przodu, pchając balkonik. Słoneczny z obojętną miną sięga po kolejną paczkę ciastek.

– Przepraszam? Słyszy mnie pani? Jak nazywa się to miasto? – powtarzam trochę głośniej.

Staruszka odwraca się do mnie. Hamuję gwałtownie. Jej oczodoły są puste.

– Miasto? – powtarza po mnie. Patrzy przeze mnie, wyobraża sobie, że coś widzi. Jej spojrzenie obiega planetę i wraca w to samo miejsce.

Dźwięk kruszącego się ciastka wypełnia samochód. Słoneczny powoli przeżuwa.

– Miasto? To właściwie skansen – mówi staruszka i z jej pustych oczodołów wychodzą białe robaki.

Budzę się.

Słoneczny śpi obok na wąskim łóżku w jednym z pokoi na ostatnim piętrze starego hotelu. W pokoju jest zimno. Ogrzewanie w ramach oszczędności włączono na minimum, dlatego śpimy razem. Wstaję, starając się go nie obudzić. Zakładam spodnie i dwa swetry. Schodzę na dół po skrzypiących schodach. Portier i właściciel hotelu siedzi w kapciach i szlafroku przy elektrycznym grzejniku i popijając herbatę ze szklanki, słucha nocnej audycji z muzyką Mieczysława Fogga. Zerka na mnie podejrzliwie zza kontuaru. Wychodzę z hotelu i wsiadam do samochodu, który samotnie stoi na wielkim parkingu. Wkładam do odtwarzacza kasetę z nagraniem dla matki sprzed kilku tygodni.

W samochodzie rozlega się głos Huka. Słyszę, że jest trochę pijany. Język mu się plącze.

„Znalazłem film, który nagrałem, gdy Marianka miała trzy lata. Jest lato. Siedzimy w kuchni i jemy śniadanie. Dawno nie jadłem takiego śniadania. Tylko ty robiłaś takie śniadania. Truskawki w małych miseczkach, twarożek ze szczypiorkiem, domowe dżemy, słodkie bułki z cynamonem, kawa w dzbanku. Na sam widok zachciało mi się jeść. Miałaś na sobie niebieską, luźną sukienkę, taką z bufiastymi rękawami. Próbowałaś czytać gazetę, ale Marianka siedziała ci na kolanach i jak tylko przewracałaś stronę, porywała ją swoimi małymi rączkami i pchała sobie do buzi. Śmialiśmy się, że jest taka ciekawa świata, że już czyta, że na pewno wyrośnie z niej taka mądra dziewczyna. Nie rozmawiałem z nią od pół roku. Zadzwoniłem w święta i nie oddzwoniła".

Wyłączam kasetę. Zaciskam dłonie na kierownicy i przez chwilę bezmyślnie patrzę na czarny las za hotelem. Wysiadam z samochodu i wracam do środka. Pewnie portier śledzi mnie spojrzeniem aż do samego szczytu schodów, może nawet wychyla się trochę zza kontuaru, kiedy znikam mu już z pola widzenia. Wchodzę do pokoju i siadam na łóżku.

– Obudź się – mówię cicho do ucha Słonecznego.

– Co się dzieje? – pyta przez sen.

Delikatnie wypycham go do pozycji siedzącej.

– Mam taki szalony pomysł – mówię szybko i zakładam mu przez głowę gruby wełniany sweter.

– Jaki masz szalony pomysł? – pyta, przedrzeźniając mnie, i przeciera oczy. Sprawdza godzinę na zegarku przy łóżku. Jest dokładnie północ. Kiwa głową, by dać mi do zrozumienia, że nie jest to jeszcze najgorsza pora na szalone pomysły.

– Nie mogę spać. Nosi mnie – mówię i szukam jakiejś pełnej butelki alkoholu w walizce. Znajduję wiśniową wódkę i jedno piwo. Znajduję też plastykową torebkę z marihuaną. Siadam przy małym okrągłym stole w pokoju i zaczynam skręcać jointa.

– Wiesz, co… – Słoneczny siada przy stole i nieprzytomnym spojrzeniem śledzi moje palce niezgrabnie rolujące bibułkę. – Chodźmy zagrać w tenisa.

– Dobra – mówię i odpalam jointa.

Zaciągam się i podaję mu go przez stół. Wciąga w płuca trzy buchy i łzy napływają mu do oczu.

– Ten recepcjonista się nie wkurzy? Da nam piłkę? – pyta Słoneczny i oddaje mi blanta.

– To jest właściciel. Jesteśmy jedynymi gośćmi w tym hotelu, gdybyś go poprosił, przyszedłby tu nago zatańczyć na stole – mówię i wybucham śmiechem, gdy Słoneczny naśladuje anemicznego, siwego mężczyznę.

Chowam pod kożuch butelkę wódki. Korytarze obite czerwoną tapetą są oświetlone przez ażurowe kinkiety. Sprawdzam, czy winda dalej jest zepsuta. Podejrzewam, że na okres zimowy została wyłączona w ramach oszczędności. Schodzimy na dół po drewnianych kręconych schodach. Siwy właściciel-portier ogląda czarno-biały film na małym telewizorze. Dolatuje do mnie jedno zdanie: „Ktoś powiedział jej coś bardzo ważnego, ale zapomniała co". Przypominam sobie Tłuściocha i jego wypożyczalnię filmów. Właściciel hotelu odrywa wzrok od ekranu i przygląda nam się nieufnie. Pewnie wyobraża sobie, że jesteśmy parą napadających na banki ćpunów. My też sobie to wyobrażamy. Niechętnie wypożycza nam dwie rakiety i piłkę. Wychodzimy na kort tenisowy za hotelem. Może w lecie to miejsce cieszy się większą popularnością? Stary drewniany

hotel u podnóża wąwozu. Basen, kort tenisowy, restauracja serwująca regionalną kuchnię. Tak, w lecie musi tu być spory ruch.

Kort pokrywają kałuże topniejącego śniegu. Pijemy wódkę i udajemy, że gramy w tenisa. Żadne z nas tak naprawdę nie umie nawet zaserwować. Gdy chociaż raz udaje nam się dwa razy odbić piłkę, krzyczymy z radości i bierzemy duży łyk wiśniówki. W małym oknie na tyłach hotelu zapala się światło. Właściciel obserwuje nas zdegustowany. Jedna z lamp oświetlających kort zaczyna migać. Nienawidzę migających lamp. To takie niezamierzone efekciarstwo życia codziennego. Przechodzisz ciemną ulicą, widzisz migający neon sklepu, czekasz, aż coś się wydarzy, ale nigdy nic się nie dzieje. A migająca coraz szybciej lampa oznacza, że niebezpieczeństwo jest coraz bliżej. Słoneczny opuszcza rakietę i nasłuchuje.

– Też to słyszysz? – pyta i zdziwiony potrząsa głową.

Warkot zbliżającego się samochodu. Pędzi bardzo szybko. Dźwięk jest coraz bliższy. Samochód z piskiem opon zatrzymuje się zaraz przed siatką otaczającą kort tenisowy. To srebrny ford, który jechał za nami całą drogę. Po chwili wysiada z niego Daniel. Ubranie płonie na nim, ale jemu to wcale nie przeszkadza. Idzie w naszą stronę bardzo powoli. Wczepia palce w siatkę. Porusza ustami, jakby próbował coś powiedzieć. Podchodzę bliżej.

Budzę się po raz drugi. Chyba tym razem naprawdę. Słoneczny śpi na drugim łóżku zawinięty w swoje dwa swetry, choć temperatura w pokoju wydaje się odpowiednia. A może to ja nie czuję już zimna? Wyglądam przez okno. Migający szyld stacji benzynowej. Oddycham z ulgą. Otwieram laptop i kilka razy nerwowo odświeżam stronę mojego banku.

42. Ciągle sny

Alberta budzi koszmarny sen. Znowu śnił mu się sosnowy las przy drodze. Nagie, zakrwawione ciało na śniegu. Sprawdza dziewczynie puls i nagle ona łapie go za rękę. Albert pochyla się nad ciałem i słyszy popularną w latach osiemdziesiątych piosenkę, ale nie może sobie przypomnieć jej tytułu. Stoi w śniegu, patrzy w dół, plama krwi wokół jego stóp rozrasta się, pożera biały śnieg, ale przecież to nie on krwawi. Widzi w oddali łysą dziewczynę w kożuchu. Słyszy krzyk kobiety. Długi, przeraźliwy krzyk bólu i przerażenia i kolejny – krótki, urwany. Albert budzi się i nasłuchuje. To jeden z takich snów pojawiających się zaraz przed przebudzeniem, które sprawiają wrażenie rzeczywistego przeżycia. Tak myśli Albert, kiedy zlany potem siedzi na skraju łóżka. Znikąd nie słychać żadnych krzyków, tylko Alicja dyszy głośno przez sen. W ciszy mieszkania wsłuchuje się w chrapanie żony i wie, że już dzisiaj nie zaśnie. Wstaje i przykłada ucho do ściany, łączącej jego sypialnię z mieszkaniem obok. Nic. Cisza. Idzie do kuchni. Włącza małą lampkę nad piekarnikiem i parzy sobie zioła na uspokojenie. Otwiera lodówkę, ale nie jest głodny. Zakłada kurtkę na kraciastą piżamę i wychodzi z mieszkania. Na kuchennym blacie zostawia kartkę. „Wyszedłem pojeździć wokół parku. Jestem pod telefonem".

Winda jest zepsuta. Albert schodzi więc po schodach, ale nie włącza światła na klatce. Schody są wystarczająco oświetlone przez latarnię uliczną, której poświata wpada tu zza szyb. Na piętrze niżej Albert zatrzymuje się nagle, bo słyszy coś bardzo wyraźnie. Szuranie.

Gwałtowne szuranie o drewnianą podłogę. Wsłuchuje się w dźwięk i podchodzi do drzwi mieszkania numer siedem. Zerka w wizjer, ale jest zakryty. Przykłada ucho do drzwi. Ktoś przestawia szafę albo komodę. Dyszy, z wysiłkiem pchając mebel po podłodze. Dźwięk staje się coraz głośniejszy, zbliża się do drzwi. Albert odchodzi kilka kroków. Zastanawia się przez chwilę, czy nie powinien zadzwonić do tego mieszkania, ale rezygnuje. Przemeblowywanie mieszkania o drugiej w nocy jest dość ekscentryczne, ale nie można przesadzać w sąsiedzkiej czujności. Ostatecznie nie jest to nic złego. Wizjer jest zakryty, meble szurają po podłodze, to zupełnie normalne.

Przed blokiem uderza go mroźne powietrze. Naciąga czapkę na uszy, wsiada do samochodu i włącza radio. Nie może złapać żadnej stacji oprócz jakiejś lokalnej rozgłośni nadającej ludową muzykę.

Całe osiedle pogrążone jest we śnie. Szyby w samochodzie są zaparowane. Albert zdejmuje okulary, żeby szybko przetrzeć ich zaszłe mgłą szkła, i w ostatniej chwili hamuje z piskiem opon. Coś leży na ulicy. Przez chwilę, kiedy zaciska dłonie na kierownicy, zastanawia się, czy nie lepiej będzie wycofać samochód, odjechać stąd i wrócić prosto do ciepłego mieszkania. Zostawia włączony silnik i wychodzi. W świetle reflektorów leży lis. Albert podchodzi bliżej. Zwierzę patrzy na niego wybałuszonymi ślepiami. Przebiera w panice przednimi łapami, ale nie może się podnieść. Tylne łapy i grzbiet ma właściwie zmiażdżone. Musiał potrącić go samochód. Albert wzdycha ciężko i wybiera numer Straży Miejskiej.

– Dobry wieczór, podobno trzeba zgłaszać wszystkie przypadki rannych lisów. No to ja takiego właśnie znalazłem – mówi i patrzy w wytrzeszczone oczy lisa. Podaje adres i w odpowiedzi dostaje informację, że odpowiednie służby już są w drodze.

Wraca do samochodu. Kładzie głowę na kierownicy i zamiera. Nie wie, jak długo tak siedzi. Myśli o lisie, który umiera przed kołami jego samochodu. Wysiada i podchodzi do niego. Lis dalej wściekle walczy z bezwładnością swojego ciała. Przesunął się nawet o kilka centymetrów. Albert kuca, żeby lepiej przyjrzeć się zwierzęciu. Z naprzeciwka nadjeżdża mała, szara, okratowana ciężarówka. Lis przestaje skrobać łapami o ziemię i zamiera wpatrzony w oczy Alberta. Źrenice zwierzęcia rozszerzają się. Z ciężarówki wychodzi gruby mężczyzna w ciężkich, wojskowych spodniach.

– To pan zgłaszał? – pyta Alberta, nie tracąc czasu na wymianę uprzejmości.

– Tak. Pewnie potrącił go samochód. Ja przejeżdżałem obok – mówi Albert i czuje się trochę zawstydzony kraciastą piżamą wystającą spod puchowej kurtki.

Mężczyzna ma przyczepiony do ciężkich spodni pas z kaburą, z której wystaje rękojeść pistoletu. Obrzuca spojrzeniem lisa leżącego bez ruchu na asfalcie.

– Trzeba go było od razu trzasnąć w łeb – mówi i wyciąga broń. Celuje w głowę lisa i naciska spust.

Po osiedlu rozchodzi się huk. Mężczyzna chowa pistolet, bez słowa wsiada do swojej ciężarówki i odjeżdża. Albert wciąga głęboko powietrze, żeby odetkać zatkane hukiem wystrzału uszy. Lis drży przez chwilę w pośmiertnych konwulsjach. Mózg wylewa się na asfalt z przestrzelonej czaszki.

Albert czuje, że zbiera mu się na wymioty. Wraca do samochodu i zaciska dłonie na kierownicy.

43. Ciało

– Chcę się wykąpać! Słyszysz mnie? – woła Tomek, zbliżając głowę do otworu u dołu drzwi, który matka wycięła małą piłką do drewna zakupioną w sklepie z narzędziami przy sąsiedniej ulicy.

Od tygodnia przez tę dziurę srał i jadł. Potem przestał jeść. Po kilku dniach nie musiał już załatwiać się do plastikowej miski, którą matka jak pielęgniarka opróżniała, gdy wściekle walił w drzwi. Nie protestowała, kiedy zaczął jej oddawać nienaruszone posiłki. Nie stworzyła dla niego specjalnej karnej diety. Gotowała to samo, co dotychczas. Pachnące, smaczne domowe obiadki. Musiał przestać jeść, nie mógł znieść wypróżniania się do plastikowej miski. „Jak zgłodniejesz, sam będziesz się prosił". Tylko tak to skomentowała. Zabierała jego nieruszony talerz i zjadała sama w salonie, wpatrzona w ekran telewizora.

Zresztą i tak chciał przestać jeść. Przestać mówić. Oddychać. Poruszać się. Nie robił już pompek, choć doszedł do dwustu dziennie. Jeszcze tylko kilka godzin i pozbędzie się tego ciała. Potem przejdzie przez drewniane drzwi, nawet przez ścianę przejdzie, i zabije matkę.

– Muszę się wykąpać! – krzyczy trochę głośniej.

Matka wychodzi ze swojej sypialni. Tomek nie może już znieść zapachu swojego ciała. Ogarnia go wściekłość. Brud, który go oblepia, smród potu. Nie pozbędzie się ciała, jeśli ono będzie dalej tak śmierdzieć. Matka staje pod drzwiami. Widzi jej opuchnięte kostki w skórzanych kapciach. Mógłby chwycić jej nogę i zmiażdżyć ją w dłoni. Nie zrobi tego, nie może.

– Wypuszczę cię, ale masz to zrobić szybko – mówi ostro matka.

Klucz trzaska w zamku. Tomek wstaje z kolan. Matka szybko oddala się kilka kroków, pod przeciwległą ścianę korytarza. Trzyma przed sobą długi kuchenny nóż. Tomek wybucha spazmatycznym śmiechem. To ona jest tu szalona, nie on.

– Idź do łazienki i wykąp się szybko – mówi matka.

Tomek unosi ręce w geście kapitulacji. Idąc do łazienki, czuje jej nieufne spojrzenie na plecach. Wchodzi do wanny i odkręca wodę. Zrzuca ubrania. W ogóle nie czuje gorącego strumienia, który parzy jego skórę. Kąpie się dokładnie. Wychodzi z wanny i staje przed lustrem, żeby się ogolić. Matka drepcze nerwowo pod drzwiami.

– Co ty robisz? – woła zaniepokojona, a on nie odpowiada.

Choć ręce w ogóle mu nie drżą, zacina się raz, na lewym policzku. Dwie małe krople krwi spływają w dół po szyi. Wyciera je ręcznikiem. Wyciąga z szafki małe srebrne nożyczki, którymi matka od dziecka obcina mu włosy. Skraca grzywkę, która kłuje go już w oczy. Wyrównuje włosy nad uszami. Nie śpieszy się, chociaż matka dobija się do drzwi łazienki. Przycina włosy ostrożnie, kosmyk po kosmyku. Matka krzyczy coś, ale ani jedno jej słowo do niego nie dociera. Wyciąga żyletkę z golarki. Wraca do wanny. Proste, krótkie cięcie wzdłuż ramienia. Scena, którą oglądał w wielu filmach. Powtarza ją bezbłędnie i bez wahania. Nie czuje bólu. Kładzie ręce wzdłuż wanny.

– Skończyłeś już? Co ty tam robisz? Wychodź! – wrzeszczy Amelia i szarpie klamkę. Tłucze w drzwi pięścią. Idzie do sypialni po zapasowy klucz do łazienki.

Otwiera drzwi i krzyczy. Mogłaby się już zamknąć. Dać sobie spokój z całym tym cyrkiem. Skórzane kapcie klapią nieprzyjemnie w rozchodzącej się po podłodze plamie krwi.

Amelia wykręca numer alarmowy, z którego wcześniej nigdy nie korzystała, choć przynajmniej raz powinna.

44. Okna i drzwi

Wysiadam z samochodu. Słoneczny, zaskoczony, wystawia głowę przez okno z wyrazem twarzy, który mówi: „Przejechaliśmy pół kraju w obie strony, żeby wrócić tu?”.

– Jechaliśmy okrężną drogą, załóżmy – odpowiadam na pytanie, którego nie zadał.

Dom jest dokładnie taki sam, jak w dniu, kiedy spakowałam swoje rzeczy i wyprowadziłam się na kilka miesięcy do Słonecznego, a potem wyjechałam z miasta. Zabytek. Dziewiętnastowieczne straszydło. Chociaż nie wiem, czy naprawdę jest aż tak stary. Na pewno został zbudowany przed wojną. Nie jest rozłożysty i prosty jak wiejskie dworki, tylko wysoki i zbity. Jakby ktoś przez lata dobudowywał balkony, wieżyczki, a w końcu oszkloną oranżerię na południowej stronie. Weranda, na której z matką spędzałyśmy długie godziny, obierając porzeczki, porosła bluszczem. Z tego, co mogę stąd dostrzec, dach jest dziurawy – w jednym miejscu czarny gont zapadł się do środka. Może pod naporem śniegu w zimie? Pewnie belki pod stropem przegniły. Pamiętam, jak ojciec mówił, że latem trzeba będzie je zaimpregnować.

To jedyny dom w okolicy. Najbliższy sąsiad mieszka dopiero za lasem. Tam też jest przystanek autobusowy, z którego do miasta jedzie się trzydzieści minut. Cofam się o kilkanaście kroków. Słoneczny wychodzi z samochodu. Dom na wzgórzu, przed nim łąka, z ciągnącą się przez środek piaszczystą drogą, prowadzącą do głównej szosy, a za domem las. Uśmiecham się gorzko. To wszystko wina tego pieprzonego

miejsca. Gdybyśmy mieszkali w mieście, w bloku albo kamienicy, to nie miałoby szans się wydarzyć. Ktoś usłyszałby krzyk matki albo mój, strzał z pistoletu, który zabił policjanta siedzącego w samochodzie na podjeździe, śmiechy grupy mężczyzn i szczęk łamanych krzeseł, przewracanych szaf, talerzy wyrzucanych z szafek.

Wchodzę po drewnianych schodach na werandę. Skrzypią i boję się, że się pode mną zapadną. Słoneczny idzie za mną. Na drzwiach wisi ciężki żelazny łańcuch. Obchodzimy dom i wchodzimy przez dziurę, którą ktoś wybił w szklanych ścianach oranżerii. Zanim ojciec przeniósł się do mieszkania po babci, sprzedał wszystkie wartościowe elementy wyposażenia: pianino, obrzydliwy kryształowy żyrandol, poroża jeleni. Resztę rozkradli pewnie miejscowi zbieracze złomu. Na ścianach ktoś sprejami namalował niezrozumiałe symbole, pewnie wariacje podpisu autora. W lecie ten dom musi być dla ćpunów świetną miejscówką.

W salonie został tylko kominek, z którego komuś udało się wymontować mosiężne elementy, stół – niestety bez krzeseł – i zielony fotel, który już lata temu nadawał się do wyrzucenia. Ojciec nie pozwalał matce się go pozbyć. To dziwne, że nie zabrał go ze sobą. A może wcale nie takie dziwne? Na drugie piętro, gdzie oprócz dwóch małych pokoi jest jeszcze łazienka, prowadzą przegniłe dębowe schody. Śmierdzi pleśnią i wilgocią.

– Przyniesiesz walizkę? – pytam Słonecznego, który dłubie w ścianie, próbując ocenić, kiedy to wszystko runie nam na głowę. Siadam ostrożnie w zielonym fotelu.

– Chcesz tu spać? Zdechniemy po jednej nocy – mówi, ale na widok mojej miny wychodzi, machając ręką.

45. Trop

Prokurator Huk odtwarza jeszcze raz nagranie z zajścia na pogrzebie Daniela wrzucone do sieci przez Kyle893. Ustalili wcześniej, że pod tym pseudonimem ukrywa się Tomasz Potoczek, sąsiad Weroniki. Chłopak został wezwany na przesłuchanie. Huk czekał na niego podekscytowany, choć wcześniejsze przesłuchania chłopaka nie wzbudziły w nim żadnych podejrzeń. Gdy Potoczek się pojawił, Huk zaczął się zastanawiać, czy ten chłopak rzeczywiście mógłby mieć z tym wszystkim cokolwiek wspólnego. Granatowy polar zapięty pod szyją, zapadnięta klatka piersiowa, tłuste czarne włosy i jakiś obrzydliwy mech pod nosem. Czy on byłby w stanie wpakować bezwładne ciało do samochodu, a potem zaciągnąć je z szosy do lasu? Na dyskach twardych z jego komputera nie znaleziono nic prócz pornografii i pirackich e-booków z komiksami.

Kolejny raz odtwarza nagranie, które na szczęście już zniknęło z sieci. Dryblas wylewa czerwoną farbę na trumnę Daniela. Marianka odchodzi kilka kroków i ponad głowami zszokowanych ludzi patrzy prosto w obiektyw telefonu.

– Panie prokuratorze! – Wchodzi Karolina, wyraźnie czymś podekscytowana.

Huk niechętnie przenosi na nią spojrzenie.

– Są wyniki ekspertyzy materiału genetycznego z niedopałka znalezionego w mieszkaniu Michała S. po włamaniu. Po porównaniu z materiałem genetycznym wszystkich świadków jednoznaczna

zgodność jest tylko z materiałem genetycznym Tomasza Potoczka – mówi szybko Karolina.

Huk przez chwilę przetwarza jej paplaninę i szybko podejmuje decyzję.

– Przywieźcie go na przesłuchanie i wezwijcie na okazanie tę ćpunkę, która dostała nożem w klubie – mówi stanowczo i wyłącza komputer.

Uderzenie gorąca. Przypływ ekscytacji. Prawdziwy prokurator, sprawa posuwa się do przodu, aresztuje w końcu jakiegoś gnoja, gazety będą pisać.

– Myśli pan, że to mógł być on? – pyta Karolina.

– A mamy jakichś innych podejrzanych? – Huk wstaje od biurka, zirytowany głupotą swojej asystentki.

– Z tą dziewczyną może być problem – mówi Karolina.

– To znaczy?

– Widziałam ją dziś rano w telewizji. Przykuła się z jakimiś anarchistami pod tym klubem techno. Ludzie protestują przeciwko wypowiedzeniu przez miasto umowy wynajmu tego lokalu.

– Co mnie to obchodzi. Ma tu być za pół godziny! Potoczek też! Wyślij po niego radiowóz na sygnale! Ma być cyrk. Jest zatrzymany do postawienia zarzutów – krzyczy Huk i wychodzi z gabinetu, Karolina wybiega za nim.

– Jest jeszcze jedna sprawa, panie prokuratorze, mniej ważna – zaczyna, idąc za nim w bezpiecznej odległości kilku kroków.

– Jaka? – odburkuje Huk.

– Te lisy…

– Jakie znowu lisy?! – Huk zatrzymuje się i patrzy na Karolinę, jakby właśnie powiedziała jakiś mało śmieszny żart, jakby przebrała się miarka

absurdalnych oczekiwań tego świata wobec niego.

– No, lisy…

– Niech je wystrzelają i będzie spokój – mówi, robiąc jakieś nieskoordynowane gesty rękami, i odchodzi szybko, chcąc się uwolnić od irytującej obecności Karoliny.

Dlaczego w tym mieście nic nie jest tak, jak powinno? Dlaczego wszystko wymyka się spod kontroli? Zapomina, dlaczego wyszedł ze swojego gabinetu, i wraca do niego, okrążając budynek prokuratury. Przekręca klucz w zamku. Przykłada ucho do drzwi, żeby upewnić się, czy nie słychać zbliżających się szpilek Karoliny. Cisza, w końcu cisza. Otwiera szafkę i wyciąga z niej butelkę brandy.

46. Mieszkanie numer siedem

Alicja kładzie na kuchennym stole talerz kanapek. Albert przygląda się równym plastrom pomidora. W jednym z nich widzi małe, czarne, zgniłe ziarenko. Wydłubuje je końcem noża i wypija łyk kawy z ulubionego kubka z wyszczerbioną krawędzią.

– Kto teraz mieszka pod siódemką? Wcześniej chyba jakaś rodzina wynajmowała to mieszkanie? – pyta żonę, kiedy ta w końcu przestaje krzątać się po kuchni i siada przy stole.

– Tak, wyprowadzili się kilka tygodni temu. Nie jestem pewna, ale podobno wprowadził się tam syn właścicielki.

– Syn właścicielki? Nie widziałem go jeszcze – mówi Albert.

– Ja też nie, ale słyszałam, że nie jest rozmowny. Nie jesteś głodny?

Albert wyrwany z zadumy pakuje sobie do ust jedną kanapkę. Nie ma apetytu. Dziś znowu śniła mu się zakrwawiona dziewczyna w lesie. Dopija kawę i wstaje od stołu.

– Pójdę po gazety. Zaraz wracam – mówi, opuszczając kuchnię.

Szybko ubiera się i wychodzi z mieszkania. Winda dalej jest zepsuta, schodzi więc schodami i zatrzymuje się przed drzwiami mieszkania numer siedem. Zadzwonić do nich? Jest siódma rano. Może nie powinien niepokoić nowych sąsiadów? Nieważne, jeśli nikomu tam nic się nie stało i otworzy jakiś rozespany, zirytowany wczesną wizytą młokos, powie mu, co myśli o przestawianiu mebli w środku nocy. Albert naciska dzwonek. Nikt nie odpowiada. Naciska ponownie. Dalej cisza. Przytyka

ucho do drzwi i wsłuchuje się w ciszę, próbując wychwycić choćby najmniejszy dźwięk świadczący o czyjejś obecności.

– Halo?! Czy wszystko w porządku?! Proszę otworzyć! – woła, uderzając pięściami w drzwi. Czeka jeszcze kilka minut i szybko wraca na górę.

Dopada telefonu w przedpokoju i wybiera numer alarmowy.

– Co się stało? – Alicja wystawia głowę z salonu.

– Mam jakieś złe przeczucie – mówi Albert, czekając na zgłoszenie dyspozytora.

Alicja wstaje z fotela i podchodzi do niego.

– Jakie przeczucie? Chodzi o ten twój sen?

– To nie był sen – mówi Albert stanowczo.

W słuchawce odzywa się głos dyspozytorki. Młoda kobieta jest trochę zdezorientowana. Albert tłumaczy jej, że w mieszkaniu mogą znajdować się osoby, które potrzebują pomocy, bo wczoraj słyszał w nocy jakieś krzyki, ale myślał, że wszystko mu się przyśniło. Po kilku minutach rozmowy dyspozytorka decyduje się wysłać do mieszkania patrol policji. Albert siada w fotelu, Alicja o coś go pyta, ale on nie słyszy jej słów. Przypomina sobie lisa dogorywającego przed kołami samochodu. Dzwonek do drzwi. Dwóch rosłych policjantów czeka na korytarzu. Starszy ma na sobie ciepłą wełnianą czapkę. Schodzą razem piętro niżej. Albert powtarza jeszcze raz wszystko, co kilkanaście minut wcześniej zeznał dyspozytorce. Policjanci dzwonią do drzwi. Nikt nie podchodzi, żeby otworzyć.

– Jest pan pewien, że ktoś jest w środku? – pyta młodszy z policjantów.

– Tak – odpowiada Albert i zastanawia się, dlaczego jest pewien, że ktoś jest w środku. Przecież wcale tego nie wie.

Policjanci bez przekonania zabierają się do wyważania drzwi, którym po kilku uderzeniach puszczają zawiasy. Drzwi jednak dalej stawiają opór. Młodszy z policjantów zagląda przez szparę do środka i widzi, że ktoś zastawił wejście szafą. Teraz wszyscy mają już pewność.

– Kurwa – klnie policjant w czapce, a Albert początkowo myśli, że to z powodu wysiłku, jaki wszyscy trzej wkładają w przepchnięcie szafy. Chwilę później dochodzi jednak do niego smród, od którego chce się wymiotować.

– Pan zostaje tutaj. – Młodszy policjant zatrzymuje Alberta.

Policjant w czapce wyjmuje pistolet i wchodzi do mieszkania. Za nim ostrożnie wchodzi drugi funkcjonariusz. Korytarz jest pusty. Przechodzą przez niego i wchodzą do kuchni, ale nie znajdują w niej nic oprócz piętrzących się worków ze śmieciami, które gniją tu pewnie już kilka tygodni. Przechodzą dalej. Młodszy policjant naciska klamkę i otwiera drzwi do dużego pokoju. Uderza ich ten smród, który poczuli już przed wejściem. Kobieta leży pod ścianą. Jest naga. Z rozciętych brzucha i szyi już nie cieknie krew. Ma zamknięte oczy, a na poharatanej szyi naszyjnik z zawieszką. Młodszy policjant, zasłaniając nos rękawem, kuca i przygląda się wisiorkowi. To wyrzeźbiony w drewnie mały lis. Policjant w czapce otwiera drzwi do kolejnego pokoju. Przy stole siedzi mężczyzna. Jego głowa leży bezwładnie na blacie. Policjant podchodzi bliżej i dotyka jej lufą pistoletu. Głowa opada na drugą stronę. Otwarte oczy mężczyzny pusto patrzą w przestrzeń. Młodszy policjant wybiega z pokoju i wymiotuje do zlewu w kuchni.

– Tu sto dwadzieścia pięć. Sprawdziliśmy zgłoszenie. Znaleźliśmy dwa ciała. Kobieta i mężczyzna. Czekamy na prokuratora i techników – zgłasza przez krótkofalówkę drugi policjant i otwiera na oścież okno w kuchni.

Do pomieszczenia wpada podmuch zimnego powietrza. Policjant siada przy stole naprzeciwko martwego mężczyzny i zdejmuje czapkę.

Prokurator Feliks Pogorzelski zjawia się w ciągu piętnastu minut. Nigdy nie każe na siebie czekać. Wysiada z błyszczącego czarnego volvo i nie sprawdzając, czy winda działa, wchodzi po schodach sprężystym krokiem. Przeskakuje po dwa stopnie. Przed mieszkaniem numer siedem siedzi skulony młody policjant, którego prokurator ledwo kojarzy. Starszy mężczyzna siedzi na schodach pod ścianą i trzyma się za głowę.

– Nie wiem, co tu się stało, ale nigdy czegoś takiego nie widziałem – mówi chłopak i podnosi się z trudem.

Prokurator wchodzi do środka. Na drewnianej podłodze zauważa ślady po przesuwaniu szafy, ciągnące się aż z końca korytarza. Wchodzi do pokoju, który wskazuje mu młody policjant. Pogorzelski zakłada rękawiczki i kuca przy zwłokach młodej kobiety. Widzi dwa głębokie cięcia wzdłuż nadgarstków i po jednym na brzuchu i na szyi, ale nie zauważa żadnych śladów walki, najmniejszego otarcia, sińca czy zadrapania. Obok, na podłodze, leży długi, zakrwawiony nóż kuchenny. Pogorzelski wstaje i wchodzi do kolejnego pomieszczenia.

– Cześć, Foks – mówi policjant i wstaje, żeby uścisnąć dłoń prokuratorowi.

Pogorzelski siada na miejscu, które zajmował wcześniej policjant.

– Obejrzałem go. Nie ma żadnych obrażeń. Sekcja dopiero ustali – mówi policjant, zakładając czapkę.

Pogorzelski odchyla głowę mężczyzny. Za jego uchem dostrzega wypaloną papierosem dziurę. Trzask w drugim pokoju. Obaj mężczyźni podrywają się z miejsc. Młodszy policjant podtrzymuje Alberta, który osunął się na komodę.

– Proszę stąd wyjść – mówi spokojnym głosem Pogorzelski, idąc w stronę starszego mężczyzny.

– Mówiłem mu, żeby nie wchodził, ale powiedział, że musi sprawdzić, czy to ona. Tak powiedział – sapie młody policjant, podtrzymując chwiejącego się na nogach Alberta.

– To ona… Ona… Ona… – powtarza Albert i łapie za rękę Pogorzelskiego.

– Zna pan tę kobietę? – pyta prokurator, szukając kontaktu wzrokowego ze staruszkiem.

– To ona… – odpowiada Albert i osuwa się na młodego aspiranta, który wyciąga go na korytarz.

Policjant w czapce wyjmuje krótkofalówkę i prosi o wezwanie karetki. Pogorzelski kuca przed zwłokami dziewczyny.

– To wygląda na rozszerzone samobójstwo. Nie ma śladów walki. Może pozabijali się nawzajem, ale musimy zaczekać na techników, bo może być i tak, że każde poradziło sobie samo – mówi Pogorzelski, lustrując wzrokiem wisiorek na szyi dziewczyny. Drewniana, misternie wykonana miniaturowa replika lisa zwiniętego w kłębek. Zna kogoś, kto robi takie figurki, ale to chyba nie ma teraz znaczenia. Pogorzelski wstaje i zauważa kamerę stojącą na półce regału z książkami. Zakłada drugą rękawiczkę i ogląda urządzenie. Mogła być włączona… Na pewno była włączona. Ekran jest obrócony tak, żeby móc sprawdzić podgląd nagrania, nie ruszając jej z miejsca. Kamery nie da się uruchomić, jest rozładowana, ale Pogorzelski domyśla się treści nagrania. Sprawa jest właściwie zamknięta.

47. Przesłuchanie

Tomek poci się intensywnie. Nierówno przycięte włosy nad karkiem zmieniają się w mokre, posklejane strąki. Policzki i nos pokrywają drobne, tłuste krople. Czeka tu już bardzo długo, ale nie umie ocenić, ile dokładnie. W pomieszczeniu nie ma zegara. Tylko dwa krzesła, stół, kamera na statywie skierowana na niego, gołe, szare ściany i lustro weneckie, w które musi patrzeć. Wie, że obserwują go jak gada w tym terrarium. Zaraz zaczną pukać w szybę, żeby się ruszył. Zastanawia się, co wtedy zrobi. Chciałby się ruszyć, spełnić ich oczekiwania, ale nie może, nie jest w stanie podnieść żadnej kończyny. Swędzi go naruszona skóra pod bandażami na przedramionach. Naciąga rękawy czarnego polaru i zawija ich końce w pięściach. Drzwi się otwierają i wchodzi przez nie ten grubas. Tak o nim myśli. Grubas odsuwa krzesło i siada przed Tomkiem. Kładzie dłonie na stole.

– Dobrze. Zacznijmy od początku – mówi, mierząc Tomka wzrokiem. – Imię i nazwisko.

– Tomasz Potoczek.

– Data urodzenia.

– Siódmy lipca 1990 roku.

– Mieszkasz od dziecka w kamienicy przy ulicy Pomorskiej? – pyta grubas.

Tomek się denerwuje, nie lubi, kiedy obcy ludzie protekcjonalnie zwracają się do niego w drugiej osobie.

– Tak.

– Wciąż z matką?

– Tak.

– Nie chciałeś się nigdy usamodzielnić, wyprowadzić?

– Nie miałbym gdzie.

– No tak. Studiowałeś chemię, ale wyrzucili cię na drugim roku za kradzież wyparki. Chciałeś robić amfetaminę?

– Nie ukradłem jej. Wrobili mnie.

– Ach tak – teatralnie komentuje Huk i mruży oczy. – Nie pracujesz. Utrzymuje cię matka, ale ona nie będzie przecież żyć wiecznie. Co wtedy zrobisz?

– Pracowałem – odpowiada wymijająco.

– Tak, wiem. Jako szatniarz w filharmonii, ale wyrzucili cię, bo podrzucałeś skrzypaczkom prostackie liściki – mówi, a Tomek zaczyna się denerwować.

– Jaki to ma związek z tym wszystkim? A poza tym ja tego nie robiłem. One wszystko sobie zmyśliły – mamrocze Tomek. Nigdy nie rozmawia z ludźmi o tych wszystkich żenujących aspektach swojego życia i to absurdalne, że musi to teraz robić tutaj.

– Wszystko ma związek z tym przesłuchaniem. Wróćmy do początku. Twój ojciec nie żyje.

– Tak.

– Umarł dziesięć lat temu. Utopił się w wannie. Miałeś osiemnaście lat. To chyba straszne dla chłopaka w tym wieku stracić ojca?

– Nie płakałem na jego pogrzebie.

– Dlaczego?

– Był skurwielem! – podnosi głos. To po ojcu jest taki żałosny. Utopić się w wannie, nie ma bardziej bezsensownej śmierci.

Tomek opuszcza głowę. Huk czuje, że może przejść do rzeczy.

– Wiesz, dlaczego tu jesteś? Jesteś bardzo nieostrożny jak na to, co zrobiłeś. Zostawiłeś niedopałek na podłodze w mieszkaniu Michała Słonecznego i wiadomość na lustrze: „TO NIE ON. JESTEM ZA TOBĄ". Wiadomość była zaadresowana do Marianny Huk… To znaczy Mery Malinowskiej, tak? Dlaczego jej groziłeś? – wyrzuca z siebie jednym tchem, a Tomek zaskoczony zastanawia się, co odpowiedzieć.

Grubas wydaje się trochę zbity z tropu, nie zdążył ugryźć się w język, zanim wyjawił informację o swoim pokrewieństwie z Mery, ale to nie robi wrażenia na Tomku. Od dawna wie, że grubas jest ojcem Łysej. Co za rodzinka.

– To nie była groźba… – mówi prawie niedosłyszalnym szeptem.

– Co powiedziałeś?

– To nie była groźba – powtarza pewniejszym głosem i zdobywa się na to, żeby spojrzeć grubasowi w oczy.

– Próba ataku na Mery Malinowską w klubie Amnezja to też nie była groźba?

– Nie zaatakowałem jej – zdecydowanie zaprzecza Tomek. – Przyznaję się do tego, że zostawiłem wiadomość na lustrze, ale to nie była groźba. Ja mam, może, problemy z komunikacją. Ludzie często źle mnie rozumieją, ale to nie była groźba. Chciałem ją ostrzec, ale przyznaję, chciałem też, żeby się bała. Wie pan dlaczego? Ona szuka guza. Zachowuje się, jakby było jej wszystko jedno. Ja lubiłem Weronikę. Weronika nie chciałaby, żeby Mery coś się stało – mówi szybko.

Huk zdziwiony jego nagłą wylewnością stara się przeanalizować każde słowo.

– Nie wierzę ci. Łazisz za ludźmi i zostawiasz im liściki ze złotymi myślami, tak? Może powinieneś zacząć wypiekać chińskie ciasteczka

z wróżbami – mówi i śmieje się głośno ze swojego żartu.

– Nie wierzy mi pan, bo jestem dziwny, blady, chudy, mam krzywe nogi i mówię pod nosem. No, ale to nie znaczy, że jestem psycholem.

– Mówię tak, bo znalazłem na twoim dysku tony najbardziej zboczonego porno, jakie w życiu widziałem – odpowiada Huk, pochylając się nad stołem.

– To moja słabość, ale z tym walczę – odpowiada Tomek z poważną miną, a prokurator znowu wybucha śmiechem.

– Jesteś małym, bezwartościowym gnojem. Ile Daniel zapłacił ci za pomoc w tym pojebanym gównie, co? Masz alibi, ale to alibi od matki. Może być mało wartościowe, bo przecież ona chce cię chronić i dlatego kłamie, co? Powiem ci coś. Gdybym miał syna, to jak tylko zobaczyłbym w nim jakikolwiek zalążek takiego niedojdy jak ty, lałbym go codziennie pasem. Mamusia cię rozpuściła. Jesteś robalem i jak trafisz do pierdla, to cię tam rozdepczą na mokrą plamę. – Huk wie, że traci cierpliwość i to nie ułatwia mu przesłuchania.

– Moja matka nigdy nie kłamie – odpowiada Tomek spokojnie. Nie poci się już. Jest spokojny. Grubas sądził, że go zgnoi tymi żarcikami, ale nie wie, że wszystkie te myśli przepływają przez głowę Tomka dziesięć razy dziennie i nie mają już żadnej mocy.

Prokurator wstaje od stołu.

– Dobra, koniec gadania. Stań tu i się nie ruszaj – mówi Huk, wychodząc z pomieszczenia.

Po drugiej stronie weneckiego lustra czeka asystentka Karolina. Kiwa jej głową, że może już wprowadzić świadka. Lola wchodzi do pomieszczenia. Widzi Tomka za weneckim lustrem i od razu myśli, jaki to zajebisty gadżet takie lustro. Świetne.

– Czy to jest mężczyzna, który zaatakował cię w klubie? – pyta Huk bez żadnego słowa wprowadzenia.

Lola podchodzi pod samą szybę. Gdyby ta szklana bariera nie istniała, oddzielałyby ją od Tomka zaledwie dwa kroki.

– Nie, to nie on – mówi Lola po chwili.

– Jak to nie on? – pyta zdenerwowany Huk, a Karolina zerka na niego z niepokojem.

– No, po prostu nie on – odpowiada pewnie Lola.

– Proszę się przyjrzeć, w końcu nie pamiętała pani twarzy sprawcy. – Huk sili się na spokój.

– Ale mówiłam, że jeśli go zobaczę, to sobie przypomnę. Nie znam tego typa i to na stówę nie on – mówi Lola, przewracając oczami.

Huk przez chwilę mierzy ją wzrokiem. Wychudzona, blada, różowe włosy niemyte od tygodnia, kolczyk w nosie, srebrny, błyszczący płaszcz z naszywką „*fuck* and pills". Ta dziewczyna może nawet nie mieć pewności, jak wygląda jej matka. Potem patrzy na Tomka w czarnym polarze zapiętym pod szyję, zgarbionego przed weneckim lustrem, i na Karolinę gryzącą z nerwów ołówek. Zaciska dłonie w pięści i wychodzi, trzaskając drzwiami.

48. Rozwarstwienia

Wyobrażam sobie czasem, co pomyśleliby ludzie, których znam, gdybym popełniła samobójstwo. Wśród moich znajomych każdy ma depresję, prawie każdy mówi, że kilka razy dziennie myśli o śmierci, ale rzadko kiedy ktoś się na nią decyduje. Wszyscy zapewniają, że są na to zbyt silni, choć – oczywiście – życie nie ma sensu. Co gdybym ja okazała się słaba? Pewnie wszyscy by mną wzgardzili. Mówiliby: miała przed sobą całe życie, może nawet wielką karierę. Mieszkała w ładnym mieszkaniu i było ją stać na śniadania w drogich kawiarniach, wypady za granicę w weekendy, drogie ubrania od projektantów, dobre wino każdego wieczora i dwie paczki papierosów dziennie, miała kasę na narkotyki i psychotropy, żeby jakoś brnąć przez to całe pierdolone, w dupę jebane gówno.

Moja kawalerka o podwyższonym standardzie pokrywa się teraz kurzem. Pleśnieją brudne naczynia zostawione w zlewie. Białe meble zżółkły od dymu z wypalonych tu papierosów. To całkiem zabawne, że kiedy szeroko otworzysz drzwi w łazience, to z każdego miejsca w mieszkaniu widać kibel i okazuje się, że srasz, jesz i śpisz w jednym pomieszczeniu, za które płacisz cztery tysiące miesięcznie pieniędzmi, których nie masz, bo dopiero dostaniesz je za projekt. Projekt jest dalej w fazie prac koncepcyjnych, których nie prowadzisz, bo mimo że wypijasz kolejną butelkę wina dalej nie wiesz, co napisać. Ale nikogo nie obchodzi ten projekt. Ważne, że coś robisz, coś mówisz, nie stoisz w miejscu. Wrzucasz ciągle posty o tym, jak ciężko pracujesz.

Aktualizujesz swój status. Tak, musiała mieć jakiś problem ze sobą, i to poważny, że mimo tego wszystkiego i tak postanowiła umrzeć. Tak, musiała mieć, wy skurwysyny. To wszystko jest jedną wielką przesadą. Hiperbolą własnej rozpaczy, użalaniem się nad sobą, usprawiedliwianiem inercji. A może to tylko stan przejściowy? Może to trwa tylko kilkanaście minut? To wszystko, co do tej pory się nie zdarzyło. Kilkanaście minut, w czasie których myślisz o krwi tryskającej z ran na przedramionach. A może trwa dłużej – na przykład kilka tygodni? Ale to i tak tylko kilka tygodni. Potem wszystko wróci do normy.

Patrzę w ogień trzaskający w kominku. Zerwaliśmy podłogę na piętrze, żeby mieć czym rozpalić. Kupiliśmy kilkanaście butelek wódki w pobliskim sklepie. I od kilku dni zajmujemy się ich opróżnianiem, by nie zamarznąć. Słoneczny siedzi obok na podłodze w swoim wymiętym płaszczu i też patrzy w ogień. Kiedy mówi, że to najbardziej mistyczne przeżycie, jakiego doświadczył, że przypomina mu śmierć albo hibernację, przerywam mu i każę zamknąć ryj. Myśli kotłują mi się w głowie, przelatują w przyśpieszeniu obrazy zdarzeń z ostatnich lat i – nieproszone – pojawiają się scenariusze przyszłości. Czasem udaje mi się też osiągnąć stan uwolnienia, nieprzejmowania się niczym i niemyślenia. Ale wtedy wibruje telefon. Tym razem to wiadomość od Tomka.

18.45

Tomek Potoczek:

Musisz mnie uratować. Jestem uwięziony

Mery Malinowska:

Co się stało? Odkryli, że to ty zostawiałeś wiadomości?

Tomek Potoczek:

Tak, twój ojciec mnie przesłuchiwał. Jebany skurwiel. Ale wypuścili mnie. Matka zamknęła mnie znowu w pokoju.

Mery Malinowska:

Nie pomogę ci. Nie ma mnie w mieście.

Tomek Potoczek:

Leje na to. I tak już nic nie da się odwrócić. Nie ma ratunku.

Mery Malinowska:

Nie rozumiem?

Tomek Potoczek:

Mam taki film. Wysłać ci go?

Mery Malinowska:

Tak

Tomek przesyła mi film. Znowu nagranie z ukrytej kamery w mieszkaniu Weroniki. Daniel chodzi nerwowo od ściany do ściany. Weronika płacze. Podtyka mu pod nos coś, czego nie mogę dostrzec. Nagranie jest niewyraźne.

– Wiesz, co to jest? – pyta cicho Weronika.

– Wiem – odpowiada Daniel i odtrąca jej dłoń. Podchodzi do okna. Odwraca się do niej tyłem. Zaciska palce na parapecie.

– Jesteś idiotą… jesteś głupim skurwielem. Jestem w ciąży – mówi, ale Daniel nie odpowiada. Weronika wstaje z kanapy i zaczyna chodzić po mieszkaniu, tak jak Daniel. – Rozumiesz? Katastrofa, koniec, zgon, złoty

strzał, oddział ratunkowy, biały kaftan niezakrywający dupy, rozcinanie brzucha i ciepłe flaki, nabrzmiałe cycki, wszystko rozdęte, rozlane, umoczone w gównie, rozwarcie na pięć centymetrów, nacinanie krocza i tony gówna, wszystko w tonach gówna…

– Co ty w ogóle bredzisz?! – Daniel podchodzi do Weroniki i łapie ją za ręce. – Uspokój się. Takie jak ty nie zachodzą w ciążę.

– Takie jak ja? – Weronika zamiera i wbija w niego wzrok. Ma minę, jakby uderzył ją w twarz.

– Tak, takie jak ty. Rozumiesz? Mają przejściowe problemy i się ich pozbywają – mówi Daniel, potrząsa nią i odsuwa się. Jest zdegustowany tym, co przed chwilą powiedział, ale chciał to powiedzieć. Nie ma już odwrotu.

– Byłabym złą matką? – pyta Weronika prowokacyjnie. Świadomie brnie w tę rozmowę. Chce, żeby ją obraził. Chce mieć powód, uzasadnienie tego, że zaraz weźmie z kuchni największy talerz i rozbije na jego głowie.

– Byłabyś chujową matką i co ty w ogóle pierdolisz, to nie są kategorie dla ciebie. Weźmiesz tabletkę i będzie po sprawie – mówi Daniel, starając się uspokoić głos, zrezygnować z tonu obelgi. Mówi, jakby to wszystko było oczywistością, o której Weronika na chwilę zapomniała.

– Na to się już nie da wziąć tabletki, idioto. Ty masz coś zrobić, to jest twoja wina, jesteś skurwielem. – Weronika podchodzi do Daniela i łapie go za twarz. Wbija mu paznokcie w policzki.

Daniel z trudem odrywa jej dłonie i popycha ją na kanapę.

– Przestań pierdolić. To inaczej się tego pozbędziesz – mówi i z całej siły uderza ją pięścią w brzuch.

Weronika nie krzyczy, zwija się w kulkę koło kanapy i płacze. Daniel siada obok niej na podłodze.

– Przepraszam… – mówi i próbuje jej dotknąć.

Weronika odrzuca jego dłoń.

– Tego!? To jest nasze dziecko! – krzyczy Weronika i zaczyna okładać go pięściami.

– Nie wiem, czy nasze – mówi Daniel oschle, osłaniając się przed ciosami.

Weronika zamiera. Podnosi się z podłogi i podchodzi do lustra, które stoi nad ukrytym okiem kamery. Patrzy sobie w oczy.

– Wiem, że zapłaciłeś temu idiocie, Tomkowi, żeby zamontował u mnie kamerę. Obserwuje mnie ciągle. Ogląda nagrania i wali sobie konia. Nie obchodzi mnie to, słyszysz, nie obchodzi mnie to, że na mnie patrzysz – mówi do mnie Weronika przez oko kamery.

Łzy zasychają na jej twarzy. Nikt nie odzywa się przez kilkadziesiąt długich sekund. Kiedy odwraca się do Daniela, jest już spokojna.

– Wynoś się stąd. Jesteś tchórzem, jesteś pierdolonym tchórzem. Sama sobie poradzę, nie potrzebuję takiego zasranego skurwiela jak ty. Możesz sobie pierdolić, co chcesz, ale mi to nic nie zrobi. Próbujesz mnie zniszczyć. Od zawsze próbujesz mnie zniszczyć, tak sobie to wymyśliłeś, ale ja się nie dam. Nie potrzebuję cię, słyszysz? I spierdalaj z mojego parapetu. Wynoś się stąd i nie dzwoń do mnie! Nie przyłaź tu nigdy więcej!

W tym momencie nagranie się urywa. Słoneczny kręci głową.

– To jest jakiś pojeb.

– Kto? – pytam.

– Ten Tomek. Czemu on, kurwa, dalej ma te nagrania?

– Nie wiem. – Wstaję i podchodzę do okna.

Na zewnątrz jest kompletnie ciemno. W tym miejscu nie ma żadnego oświetlenia, nie ma nawet ulicy. Wyjdę w nocy i wyciągnę rękę. Zaczekam, aż złapie mnie za nią coś tak ciemnego, że do rana nic ze mnie nie zostanie.

Wiadomość od Tomka.

19.01

Tomek Potoczek:

On wiedział. „Nie wiem, czy nasze". Tak powiedział. To było moje dziecko. Dlatego ją zabił.
Patrzę przez chwilę bezmyślnie w ekran telefonu. Odpisuję:

Mery Malinowska:

To jest jakaś epidemia mitomanii, jakby wszystkim śnił się ten sam sen. Nie wierzę ci.

Tomek Potoczek:

Ja nie skłamałem ani razu. Bo nikt nie zadał mi właściwego pytania. Nie musiałem kłamać.

Mery Malinowska:

Jakie to pytanie?

Tomek Potoczek:

Pomyśl.

Mery Malinowska:

Zabiłeś Weronikę?

Tomek Potoczek:

Tak.

Mery Malinowska:

Nie wierzę ci.

Tomek Potoczek:

A teraz na poważnie. Nie ma żadnej Weroniki. Ona nie istnieje. Wracaj do domu.

Odwracam się i mrużę oczy, jakby to miało pomóc. Dziesięć pustych butelek wódki. Słoneczny siedzi po turecku przed kominkiem i patrzy w ogień. Podchodzę do starego fotela, na którym leży moja torba. Wyciągam z niej pistolet.

– Chodź na zewnątrz. Postrzelamy do butelek – mówię do Słonecznego i zakładam czapkę.

Podnosi się z podłogi i idzie za mną. Wpycham mu do rąk pięć pustych butelek i biorę resztę. Wychodzimy na zewnątrz. Nie ma już mrozu. Temperatura oscyluje w granicach pięciu stopni.

– Ustaw je na schodach – mówię i idę włączyć reflektory w samochodzie.

Słoneczny ustawia dziesięć butelek w rzędzie. Wyciągam pistolet. Odbezpieczam go. Czuję ten dziwny dreszcz, którego się wstydzę. Mrowienie z tyłu głowy. Ścisk w żołądku. Słoneczny staje obok mnie. Celuję w pierwszą z lewej butelkę. Naciskam spust. Huk. Odrzuca mnie. Pudłuję. Łapię pistolet w obie dłonie i zapieram się nogami. Znowu pudłuję. Zaczynam się pocić. Dziwny ucisk w skroniach. Nie potrafię. Nie potrafię tego zrobić. Nie trafię w tę butelkę. Naciskam spust jeszcze raz. Krzyczę ze złości. Znowu pudłuję. Słoneczny odsuwa się o kilka

kroków i obserwuje mnie z niepokojem. Podchodzę dwa kroki bliżej. Znowu pudłuję. Podchodzę szybko do butelki, jestem od niej może pół metra. Naciskam spust. Szkło rozpryskuje się. Czuję mały odłamek wbijający się w moją łydkę przez spodnie. Nieważne. Oddaję broń Słonecznemu.

– Masz, spróbuj – mówię i idę do samochodu.

Siadam na miejscu kierowcy i opieram czoło na kierownicy. Włączam kasetę ojca. Słoneczny strzela do butelki i też pudłuje. Głos ojca wypełnia samochód.

„I tak niczego nie słyszysz, ale Marianka wróciła. Dziwnie się zachowuje. Jej przyjaciółka Weronika, pamiętałabyś ją, przychodziła do nas często, chodziły razem do szkoły, no to właśnie jej przyjaciółka Weronika zabiła się, kilka tygodni temu. Podcięła sobie żyły w wannie. Marianka zachowuje się, jakby w to nie wierzyła. Rozumiesz? Jakby to było morderstwo, tyle przynajmniej zrozumiałem z tego, co mówi. Pewnie tak tylko żartuje. Może tu przyjść do ciebie i opowiadać ci jakieś dziwne rzeczy, ale nie przejmuj się tym, chociaż ty i tak się nie przejmujesz. To pewnie szok, pewnie jej przejdzie. Proszę ją, żeby wyjechała już z miasta. Żeby zajęła się znowu tymi swoimi filmami. Na pewno jej przejdzie. Poza tym myślę, że może się zgrywać. Wiesz, zgrywa się tak przede mną".

Kładę głowę na kierownicy. Łzy płyną mi z oczu. Nienawidzę tego. Nienawidzę słowa „łzy" i wszystkich kolejnych słów: „płyną", „mi", „z", „oczu". Wiem to wszystko. Przecież nie ma nawet takiego rodzaju szaleństwa. Coś musi być prawdą. Może to podwójna schizofrenia? Może tak się to nazywa. Wyciągam telefon. Chcę zadzwonić do ojca. Mam od niego dziesięć nieodebranych połączeń. I masę nieodczytanych esemesów. „TO SŁONECZNY ZNISZCZYŁ ZAMEK W DRZWIACH

PRZED PRZYJAZDEM POLICJANTÓW. MERY, JEŚLI WIESZ, GDZIE ON JEST, MUSISZ NAM POWIEDZIEĆ. MUSIMY GO PRZESŁUCHAĆ. ONI WSZYSCY TRZEJ W TYM SIEDZĄ. POTOCZEK, DANIEL I SŁONECZNY".

Podnoszę głowę znad kierownicy. Słoneczny strzela do butelki i trafia. Szkło rozpryskuje się na wszystkie strony. Znowu to spowolnienie. Odgłos wystrzałów otępia słuch. Wychodzę z samochodu. Zapalam papierosa. Patrzę na Słonecznego. Podchodzę do niego spokojnie.

– Daj mi teraz – mówię i odbieram mu pistolet.

Odsuwam się o kilka kroków. Mierzę w butelkę. Trzymam pistolet w obu dłoniach. Mierzę w butelkę. Pocę się. Odwracam się do Słonecznego. Mierzę w niego. W jego głowę. Odsuwam się o kilka kroków.

– Co ty robisz? – pyta, śmiejąc się.

– To nie jest zabawa – mówię cicho.

– Co?

– Mówię, że to nie jest zabawa. Zniszczyłeś zamek przed przyjazdem policjantów, dlaczego? – pytam, a Słoneczny milczy. – Dlaczego to zrobiłeś?

– Nie wiem. – Przeczesuje nerwowo włosy ręką. – Nie wiem… po prostu spanikowałem. Rozumiesz. Oni by przyszli, zobaczyliby nienaruszony zamek. Uznaliby, że ten ktoś musiałby mieć klucz, bo miał klucz, ale nie wiem skąd, bo widziałem, że to nie było otwierane wytrychem. Znowu ja byłbym podejrzany. Nie wiem, dlaczego to zrobiłem. Spanikowałem. Ludzie robią czasem głupie rzeczy.

– Ludzie robią czasem głupie rzeczy… Nie wierzę ci – mówię i podchodzę dwa kroki, cofa się. Widzi, że za chwilę nacisnę spust. Widzi

to i rzuca się w bok na ziemię. Strzelam, ale pudłuję. Słoneczny podnosi się i biegnie za dom. Strzelam i znowu pudłuję. Idę za nim. Jest za ciemno. Nie widzę, gdzie mógł się ukryć. – Nie zabiję cię, słyszysz? Za lasem jest przystanek, jeśli jesteś w stanie to wytłumaczyć, wracaj do miasta! Bo i tak nie masz dokąd pójść! – wołam i wracam do domu.

Siadam w fotelu. Nie słyszę żadnego ruchu na schodach ani przed domem. Nikt tu nie przyjedzie. Nikt za tobą nie jechał. To był tylko sen o płonącym ciele wysiadającym z samochodu. Możesz tu zamarznąć, zdechnąć, czekać kilka miesięcy, ale nikt za tobą nie jechał. Wyciągam telefon. Dzwonię do Łukasza Sosnowskiego, mojego agenta. Mojego byłego agenta. Nie odbiera. Nagrywam się na sekretarkę.

– Halo! Łukasz, przepraszam cię. Ja chcę wszystko odkręcić. Umów mnie na spotkanie z tymi producentami, ja chcę pracować, chcę nakręcić ten film. Ja nie mogę wszystkiego stracić. Rozumiesz? Coś się stało. Nie wyrzucajcie mnie, proszę. Wszystko naprawię. Nie wykręcę już żadnego numeru. Tylko oddzwoń.

Rozłączam się i rzucam telefon w kąt. Kilka butelek wódki. Zdarta podłoga na górze. Stary fotel. Ogień w kominku. Ogień w kominku. Ogień w kominku. Dlaczego tylko w kominku? Pakuję do auta torbę i walizkę. Wyciągam z bagażnika kanister z benzyną. To stary dom, stary drewniany dom. Wystarczy jeden kanister. Oblewam werandę i przednią ścianę. Oblewam podłogę wokół kominka. Rzucam zapałkę. Ogień. Moje najgorsze pragnienie. Byłam kiedyś z ojcem na zakupach. Usłyszeliśmy nagle syreny straży pożarnej i pogotowia. Ktoś w sklepie mówił, że zapaliła się cysterna. To był upalny dzień. Myślałam o tym, że pojadę tam, na parking, gdzie stoi płonąca cysterna, założę ciemne okulary, będę palić papierosa i patrzeć, jak zbiornik paliwa wybucha. Wychodzę przed werandę. Rzucam zapałkę. Drewno zajmuje się ogniem. Odsuwam

się. Wystarcza kilka minut i cały dom płonie. Nikt nie wezwie straży pożarnej. Może za kilkanaście minut, kiedy dym będzie unosił się już nad całą wsią, ale na razie nikt niczego nie widzi i nie słyszy. Trzeba stąd odjechać. Teraz już można.

49. Pożar

Ciągle oczekujesz od świata, że będzie czymś więcej, niż jest, że cię zabawi, sprzeda ci w promocyjnej cenie narkotyk, który obudzi cię z letargu. Psychoterapia, abonament na sekskamerki, podróż do Indii, weganizm, alkoholizm, sadzenie roślin na balkonie, zajęcia z *mindfullnes*, bieganie, konto na Netflixie. A tam w środku dalej jesteś taki sam, ale liczysz, że w końcu coś pęknie i sobie zaśpiewasz *Twist in my sobriety* i wcale nie będzie ci smutno. Czekasz, aż coś się wydarzy. Czujesz się jak w środku wielkiego, zamkniętego na okres zimowy parku rozrywki. Siedzisz na karuzeli, która się nie kręci. Palisz papierosa i czekasz, aż ktoś ją w końcu uruchomi. Z nudów obserwujesz szarpaną podmuchami wiatru plastikową reklamówkę. Wiruje po pustym placu, a ty palisz kolejnego papierosa. Karuzela włącza się. Krzyczysz, że chcesz szybciej. Karuzela spełnia twoją prośbę, dlaczego miałaby tego nie zrobić? Przyśpiesza do maksymalnej prędkości. Zeskakujesz z niej i wymiotujesz na chodnik. Ocierasz usta i myślisz: „Tylko tyle?".

Idziesz wzdłuż najszerszej alei miasta. Samochody pędzą z naprzeciwka. Schodzisz z chodnika w dozwolonym miejscu. Nigdy nie schodzisz z chodnika w miejscach niedozwolonych. Sygnalizacja świetlna jest zepsuta. Zatrzymujesz się na chwilę, na sekundę niezauważalną dla innych przechodniów. Dlaczego żaden z kierowców nie doda nagle gazu? Rozpędzony samochód zmiótłby cię z powierzchni ziemi, a może uderzyłby w ciebie, a ty nawet byś nie drgnął i to karoseria samochodu rozprysłaby się, raniąc innych?

Idziesz tą samą aleją, ale tym razem jest noc. Idziesz środkiem ulicy. Pojedyncze samochody wymijają cię, nie trąbiąc. I nawet nie zwalniają. Z naprzeciwka nadbiega lis. Zatrzymujesz się. Biegnie w twoją stronę. Prosto na ciebie. Czekasz. Liczysz do dziesięciu. Wiesz, że to się nie wydarzy. Ta scena, kiedy fala lisów zalewa miasto. Prawdopodobieństwo jest przecież nikłe. Zaciskasz dłonie w pięści i czekasz. Lis jest coraz bliżej. Oczy błyszczą mu w ciemności. Najpierw słyszysz, a potem widzisz, jak inne lisy wybiegają z pobliskiego parku, z uliczek przylegających do alei, z każdej dziury, kratki wentylacyjnej, kosza na śmieci. Lisy, wszędzie lisy. Biegną, jakby były jednym ciałem. Rdzawa fala płynie w twoją stronę. Wielkie, puszyste ogony. Czekasz na zderzenie, ale one przepływają, rozstępują się przed tobą, ocierając się o twoje nogi. Czujesz ciepło. To już nie fala, to ocean, który nie ma brzegów. Wypełnia każdą szczelinę. Odwracasz się. Na końcu ulicy czekają zaparkowane w świetle latarni szare, okratowane ciężarówki. Wychodzą z nich brodaci mężczyźni z karabinami. Huk wystrzałów. Kilka lisów pada trafionych między oczy, inne krwawiąc, biegną dalej. Roznoszą swoją chorobę. Histerię, paranoję, schizofrenię, nazwij to, jak chcesz. Kakofonia karabinów i megafonów nadających komunikat: „Prosimy nie opuszczać swoich domów. Sytuacja jest pod kontrolą”. W oknach zapalają się światła. Ludzie wychodzą z bram kamienic. Kurczowo trzymają w dłoniach wszystko, co znaleźli w mieszkaniach i uznali za odpowiednio ciężkie albo ostre: metalowe pręty z łóżek, kije od mioteł, noże kuchenne. Każdy chce mieć broń. Rzucają się na siebie, tryska krew. Łączą się w grupy. Słabsi wokół silniejszych. Wpadają do sklepów, których nikt nie pilnuje, więc nawet nie mają z kim walczyć. Wybijają szyby, wynoszą telewizory, meble, porcelanowe talerze. Potem grupy rozdzielają się, wyszarpują sobie zdobyte łupy. Przez miasto

przepływa rdzawa fala. Za kilka godzin ludzie zatrzymają się, otrzepią ubrania z pyłu i odłamków szkła i pomyślą: „Tylko tyle”? Ktoś będzie musiał zamieść rozbite szkło, zutylizować zwłoki i kawałki mebli. Za kilka dni wszystko wróci do normy i tylko najwięksi paranoicy, ci, którzy nie potrafią godzić się z przepływami, będą ostrożnie chodzić po zlanych wodą chodnikach i szeptać do siebie. Oni jeszcze długo będą się bać, że zaraz znów wytryśnie krew.

Straż Miejska i inne służby porządkowe dziękują mieszkańcom za współpracę przy operacji oczyszczania miasta z lisów. Rzecznik Straży Miejskiej informuje, że problem został zażegnany na kilka najbliższych sezonów. Wszystkie żywe lisy zostały zapędzone do klatek i wywiezione. Te bardziej oporne odstrzelono na miejscu, jednak – jak zapewnia Rzecznik – dołożono wszelkich starań, by ograniczyć użycie przemocy.

50. Pamiętam

Zatrzymuję się pod kamienicą ojca. W oknie jego mieszkania pali się światło. Wjeżdżam na chodnik. Prawie uderzam w latarnię. Próbuję zaparkować równo, ale po kilku próbach się poddaję. Obraz jest nieostry. Krawężnik i szary pas jezdni zlewają się. Zostawiam samochód blokujący połowę chodnika. Wychodzę na drugie piętro. Dostaję zadyszki. Oddycham ciężko, kiedy stoję pod jego drzwiami i zastanawiam się, czy zapukać.

Otwiera mi po dłuższej chwili. Nie wygląda, jakbym obudziła go ze snu. Ma na sobie stary czarny dres. Ponad gumką spodni wystaje owłosiony brzuch. Naciąga bluzę.

– Po co wróciłaś? – pyta na powitanie.

– Mogę wejść?

Przepuszcza mnie w drzwiach. Piżmowe perfumy i jak zawsze brandy. Mdłości. Przechodzę do salonu i opadam na fotel. On wciąż stoi przy drzwiach i obserwuje mnie uważnie.

– Po co wróciłaś? – pyta znowu.

– Musisz mnie zawsze atakować? – mówię i czuję, jak każde słowo uderza o zęby.

– Nie atakuję cię. Miałaś wyjechać, tak byłoby najlepiej dla wszystkich – mówi i siada na kanapie.

– To wszystko twoja wina. Rozumiesz? Ty na to wszystko pozwoliłeś – mówię i odwracam wzrok. Nie mogę znieść jego spojrzenia.

Patrzy na mnie uważnie, z niepokojem, jakby bał się, że za chwilę wyskoczę przez okno albo uderzę głową o ścianę i zostawię czerwoną plamę krwi. Będzie musiał znowu odmalować, położyć kolejną warstwę farby. Biała ściana, plamy po rozbitej butelce brandy, biała ściana, krew, biała ściana, i tak w kółko. Dopóki te wszystkie warstwy nie zaczną pękać i odpadać, kawałek po kawałku.

– Słuchasz mnie? Mówię do ciebie – podnosi głos i macha mi przed twarzą wielką łapą z grubymi paluchami.

Wstaję z fotela. Kilka razy przechodzę przez mieszkanie nerwowym krokiem. Pytanie, na które nie ma odpowiedzi, brzmi: „Co ja tu robię?". Zaciskam powieki. Znowu spowolnienie kroków, obraz rozmyty na brzegach, tylko jeden ostry punkt w środku.

– Chciałam porozmawiać. Dlatego tu jestem.

– O czym my możemy rozmawiać? Wyjedź stąd i nie odbieraj dalej moich telefonów. Tak jest chyba najlepiej.

– Dlaczego tak mówisz? – pytam i staję przed nim. Czuję łzy napływające do oczu. Nie rozumiem ich, nie są potrzebne. Teraz nie mogę wyjść. Nie mogę wyjść, jeśli on mi na to pozwala. Nie odpowiada na moje pytanie. Stopy skierowane piętami do siebie, splecione dłonie zwisają między kolanami. Zamiera w tej pozycji. Widzę ciemną plamę na jego starych, wytartych spodniach.

Podchodzę do niego. Podnoszę rękę gwałtownie, jakbym chciała go uderzyć. Nie reaguje. Siadam w fotelu. Przecieram oczy i czoło mokre od potu. Idę do kuchni i wypijam kilka łyków brandy. Kaszlę. Wyjmuję pistolet z torby. Biorę butelkę i wylewam resztę jej zawartości na świeżo odmalowaną ścianę. Wychodzę z mieszkania. Uciekam. Samochód znikł z chodnika pod kamienicą ojca. Nie obchodzi mnie, co się z nim stało. Może nie stał tam żaden samochód.

Idę do parku. Siadam na ławce. Wstaję i idę do galerii handlowej. Idę na stację benzynową. Pytam, czy ktoś widział mój samochód. Przechodzę przez halę odlotów na lotnisku. Za moimi plecami przejeżdża karetka pogotowia na sygnale. Jestem przed drzwiami mieszkania Słonecznego. Znowu przejeżdża karetka na sygnale, tym razem słyszę ją pod swoimi stopami. Zamek w drzwiach nie jest zepsuty. Wyciągam klucz spod wycieraczki. Kładę się na łóżku i od razu zasypiam. Budzi mnie piskliwy głos.

– Co ty tu robisz? Wypierdalaj stąd – mówi podniesionym głosem Nastolatka, ciągnąc za kołdrę. Chwyta mnie za ramiona i potrząsa mocno.

Odpycham ją i zrywam się z łóżka.

– A ty co tu robisz? – pytam i odsuwam się w stronę drzwi.

– Ja tu mieszkam.

– Od kiedy?

– Od roku i w ogóle co cię to obchodzi… Wynoś się stąd!

– Gdzie jest Słoneczny?

– Wyjechał. Ty jesteś tą popierdoloną laską? Spieprzaj stąd! – krzyczy Nastolatka i łapie mnie za kurtkę. Wypycha mnie z mieszkania, choć wcale się nie opieram.

Idę na dworzec kolejowy. Stąd mnie nie wyrzucą. Nie wyglądam jak bezdomna. Wyglądam jak ktoś czekający na pociąg, który rano tu przyjedzie i zabierze mnie do jakiegoś miasta, w którym będę załatwiać interesy i rozmawiać z ważnymi ludźmi w ładnych kawiarniach. Śpię na dworcu, bo nie było miejsc w żadnym hotelu, a moi znajomi wyjechali. Nigdzie nie pasuję, więc wszędzie mogę się wtopić. Zasypiam na plastikowej ławce. Budzę się rano. Najbliższy pociąg odchodzi o 8.35. To mój. Na niego czekałam. Wychodzę z budynku dworca. Nie widzę nic,

dopóki nie podejmę decyzji. Galaretowata maź otacza mnie ze wszystkich stron. Wchodzi mi do nosa i uszu. Pomarańczowa galaretowata maź. Odpycham się rękami, żeby stawić jej opór. Wchodzę do białej kawiarni. Ma jakąś francuską nazwę, której nie umiem wymówić. Czarno-białe płytki na podłodze. Jasnoniebieskie ściany. Drewniane stoliki przykryte koronkowymi obrusami. Ci, który przy nich siedzą, pracują albo udają, że to robią. Klepią coś wściekle na klawiaturach swoich białych laptopów, tak jak ja teraz. Stolik chwieje się niebezpiecznie. Obracam go kilka razy, próbuję unieruchomić. Krzesło jest niewygodne, oparcie wbija się w plecy. Po mojej prawej stronie na stoliku stoi wypełniona po brzegi petami popielniczka, po lewej stronie filiżanka kawy z mlekiem, obrzydliwie słodkiej. Podnoszę do ust szklankę, w której nie ma już wody. Po ściance spływa jedna kropla, która rozpada się na języku. Wykąpałam się rano, wysuszyłam włosy i umalowałam się, ubrałam czerwoną sukienkę, którą zakładam zawsze, gdy czuję, że dziś to już na pewno ostatni dzień. Szłam spokojnie ulicą, licząc kroki. W kawiarni przywitałam się z barmanami. Przychodzę tu codziennie. Zamawiam śniadanie, omlet i sałatkę, i kawę z mlekiem, obrzydliwie słodką. Karta odmawia dostępu do środków. Kawa jest już zrobiona. Jajka usmażone. Próbuję drugi raz. Chudy barman, hermafrodyta, z niechęcią czeka na wynik transakcji. Znowu odmowa. Wszyscy w kawiarni patrzą na mnie krzywo. Odmowa karty, odmowa dostępu do dzielenia z nami przestrzeni. Nie masz środków na koncie. Może jesteś ćpunką? Może żyjesz od przelewu do przelewu? Może matka odcięła cię od kasy? Pewne jest, że nie umiesz rozporządzać swoimi pieniędzmi. Zginiesz marnie, ale nie rozszarpiemy cię na środku tej pięknej sali, bo nie stanowisz dla nas zagrożenia. Nasze stoliki się nie chwieją, oparcia krzeseł nie uwierają nas w plecy. Wychodzę

i sprawdzam stan konta w bankomacie: 8,96 zł. Kupuję bułkę i sok w sklepie. Siadam na ławce w parku. Koniec przygód.

Biała szpitalna sala. Matka śpi. Oddycha spokojnie, ale gałki jej oczu, pod powiekami, poruszają się szybko.

Pielęgniarka stoi w drzwiach, kiedy pochylam się nad matką. Trzymam w rękach białą poduszkę i liczę do dziesięciu.

– Z medycznego punktu widzenia to nie jest możliwe, żeby niegroźny wypadek samochodowy poczynił w psychice takie uszkodzenia. Coś innego musiało ją niszczyć od wielu lat. Nie dowiemy się już co. Może hipnoza by pomogła. Nie można jednak hipnotyzować ciała pozbawionego świadomości. Możemy się tylko domyślać, co wywołało obecny stan pani matki.

Dziesięć. Przyciskam poduszkę do twarzy matki. Znowu liczę do dziesięciu. Budzi się nagle. Macha rękami. Zaciska je na białej pościeli. Liczę do dziesięciu. Podnoszę poduszkę. Patrzy na mnie tym samym martwym spojrzeniem. Oddycha szybko. Zachłannie łapie powietrze. To tylko chęć przetrwania, biologiczna reakcja ciała. Pielęgniarka łapie mnie za ręce, z tyłu, jak policjant, i wyprowadza ze szpitala.

Co dalej, co dalej, co dalej.

Wiadomość od wędrowca do jądra ciemności internetu. Pewnie siedzi teraz przed komputerem, popijając herbatkę, eksploruje najgorsze reprezentacje schizofrenii współczesnego świata. Tomasz Potoczek pisze: „ZOBACZ TO”.

Klikam w link. Znowu internetowa wersja brukowca „Rzeczywistość”.

> Szokujące nagranie krąży w internecie! Morderca Weroniki P. ujawnił się. Mamy nadzieję, że jego aresztowanie to teraz tylko

kwestia kilku godzin. Czytaj dalej.

Nad ranem dostaliśmy mrożącą krew w żyłach informację od jednego z czytelników. Na pornograficznych stronach krąży bardzo realistyczne nagranie gwałtu i tortur na młodej dziewczynie. Czytelnik rozpoznał w bohaterce filmu Weronikę P., ofiarę brutalnego mordu, o którym pisaliśmy wielokrotnie w poprzednich wydaniach [CZYTA] ARTYKUŁ]. Nagranie nie ujawnia twarzy sprawcy, ukrywa się on pod maską. Miejsce zbrodni wygląda jak strych w kamienicy, jakich wiele w naszym mieście. Prokurator Remigiusz Huk zapytany, czy policja ustaliła już adres IP komputera, z którego wysłano szokujące nagranie, odmawia udzielenia odpowiedzi.

ZOBACZ FILM!!! (uwaga! żeby film wyświetlał się prawidłowo, należy w przeglądarce internetowej pominąć ostrzeżenie o niebezpieczeństwie ataku hakerskiego)

Klikam w link do pornograficznej strony. Zatrzymany kadr. Naga Weronika przywiązana za przeguby dłoni do metalowego łóżka. Biała ubrudzona krwią opaska na oczach. Nie obejrzę tego filmu. Przesuwam stronę. Czytam komentarze w wielu językach.

raptor pisze:

suka dobrze gra zboczone kurwy lubią takie zabawy.

jebaka232 pisze:

zajebiste prawie jak real zwaliłem sobie już w trzeciej minucie.

fsfsffsd pisze:

najlepszy moment 14:03

gurusexu pisze:

pierdoliłbym ją

asad pisze:

prawie jej ryjem wylazł ten kij xd

jolo pisze:

kurwa, jak oni to nakręcili lol nie widziałem jeszcze takiego pornola

humdaf pisze:

szkoda że ma ryj zakneblowany

fuon pisze:

nie czaję tego, że ktoś się godzi na coś takiego to pewnie jakaś ukrainka ale zajebista jest xd

suoni pisze:

kurwa, ale to chyba jest real ja pierdolę

jebietwojastara pisze:

kurwa ale to nacinanie nożem to już hardcore sam wale konia od 15 minut i nie mogę dojść xd

ziomek pisze:

pobrałem sobie na kompa puszcze twojej matce jak będę ją ruchał

Weronika Podolska. Weronika P. Weronika. Ta dziewczyna. Obraz na ekranie. Obraz pragnień, wszystkich najgorszych impulsów, które przebiegają po twojej skórze. Zawsze uwiązana na łańcuchu wystarczająco długim, by mogła wierzyć, że żaden łańcuch nie istnieje. Nieważne, jak bardzo będzie próbować, zawsze istnieje tylko jako zbiór pikseli na ekranie. Nasza ofiara, nasz wieczny brak. Nagle piksele zlewają się w czarny obraz. Wyświetla się film. Czarne tło. Amatorska kamera. Mężczyzna w zielonej bluzie. Biała maska zakrywa twarz. Zaczyna mówić, a jego głos jest zniekształcony przez syntezator mowy.

Cześć, świecie. Jesteśmy tu, by przekazać wam dwie wiadomości. Pierwsza: jest na Ziemi taki kraj, który nazywa się Tarr. Jego ziemie zostały skradzione przez międzynarodową korporację, która wysiedla mieszkańców, żeby na miejscu ich domów zbudować największą na świecie fabrykę produkującą broń, która dostępna będzie na czarnym rynku. Czy wiedziałeś o tym? Ludzie stracą swoje domy. W miejscach, gdzie bawiły się ich dzieci, będzie produkowana broń, którą ubrani w garnitury ludobójcy sprzedadzą bojówkarzom w krajach na całym świecie, o których istnieniu nie masz pojęcia. Obywatele Tarru mają prawo żyć w spokoju. Zasługują na uwolnienie ich kraju i wypuszczenie wszystkich więźniów politycznych. Żyj długo, kraju Tarr! Teraz już możesz włączyć swój ulubiony teledysk albo wrócić do przeglądania pornosów. I tak nie możesz nic zrobić. Na nic nie masz wpływu. Chcieliśmy tylko, żebyś wiedział. Druga wiadomość brzmi: jesteśmy za tobą. Zajmujemy się głównie patrolowaniem i spisywaniem raportów. Pełna ochrona nie istnieje. Możemy cię dopaść.

Wiem, że między tym wszystkim istnieje jakaś relacja, ale części składowych jest zbyt dużo, żeby można było je połączyć. Nie ma kilku prostych elementów, które prowadzą do rozwiązania, odzyskania porządku i równowagi. Sprawca nie zostanie znaleziony. Zostanie po nim jednak krzyk, konwulsje, wymioty, rzadki kał spływający po udach, rozbite szkło raniące przełyk. Wyłączam telefon. Idę do Słonecznego. Przechodzę koło kasyna. Wchodzę do środka. Ignoruję krupierkę, która coś za mną woła. Nie ma go tu dziś. Kobieta przy maszynie do gry, pomarszczona jak stara cytryna wciska mi w rękę żółty żeton. Wychodzę.

Drzwi są zamknięte. Pod wycieraczką nie ma klucza. Dzwonię kilka razy. Walę w drzwi pięściami. Nikt nie podchodzi, żeby otworzyć. Wyciągam telefon i wybieram numer Słonecznego. Odbiera za trzecim razem.

– Musisz wrócić do miasta – mówię szybko, zanim się rozłączy.

– Przestań do mnie dzwonić! I nie przyłaź do mojego mieszkania! – krzyczy w słuchawkę.

– To ty uciekłeś.

– Nie uciekłem. Musiałem jechać do urzędu skarbowego w swoim mieście. Jesteś jakąś wariatką. To jest chore. Pojebało cię do reszty. Przespaliśmy się dwa lata temu, piliśmy parę razy wódkę. I tyle. Spierdalaj! – mówi i rozłącza się.

Chowam telefon do kieszeni. Wychodzę z kamienicy. Nie wiem, gdzie idę. Po prostu idę, ale znowu jestem w tym samym miejscu. Park przed kamienicą Weroniki. Starsza kobieta z białym psem. Widzę ją po drugiej stronie ulicy. Odwraca się nagle i odchodzi szybko, jakby uciekała. Widziałam ją już. Nad ranem, po nocy, którą spędziłam w opuszczonej kamienicy, ale teraz widzę ją wyraźniej. Nie mam

żadnych wątpliwości. Amelia Potoczek z białym psem Weroniki. Idę za nią. To nie było złudzenie.

51. IP

Huk już nie kryje się z tym, że popija z piersiówki na służbie. Siedzi na zimnej, niewygodnej ławce w kostnicy. Rutynowa identyfikacja zwłok. Jakiś samobójca. Kolejny tchórz. Otwierają się drzwi po drugiej stronie korytarza. Karolina na swoich wysokich szpilkach biegnie w jego stronę małymi kroczkami.

– Ustaliliśmy adres komputera, z którego wysłano nagranie na tę pornograficzną stronę – mówi szybko, pożerając końcówki słów.

– No i kto to? – pyta Huk i pociąga duży łyk z piersiówki.

– Potoczek – mówi Karolina i czeka w napięciu na reakcję przełożonego, który spokojnie zakręca piersiówkę i chowa ją do kieszeni.

– To jedźcie po niego – mówi i nie rusza się z ławki.

Wie, dlaczego tu siedzi. Wie, na co czeka i nie są to słowa Karoliny. Asystentka zamiera z półotwartymi ustami.

– Tego nie ma, rozumiesz? Tego nie ma – mówi Huk, opiera głowę o ścianę i zamyka oczy. Zaraz to wszystko się skończy.

52. Luki

Stoi w ciasnej wnęce między kamienicami. Ona za chwilę przejdzie obok. Z tym idiotą, Erykiem. Za chwilę pewnie zaświeci się ekran telefonu. Nie teraz. Teraz nie będzie rozmawiał z matką. Teraz musi iść za tą głupią suką. Musi jej pilnować. Założy kaptur i wejdzie za nią do klubu. Do tej śmierdzącej meliny, gdzie pijani i naćpani ludzie wyciągają ręce w stronę światła, a ich spocone ciała zlewają się w dygocącą narośl, jakieś obrzydlistwo, które powinno się wyciąć. Nikt nie zauważy, jak chodzi od ściany do ściany, nerwowo zaciskając ręce na nożu w kieszeni. Nikt przecież nie widzi noża w kieszeni. Nawet kiedy w końcu go wyciągnie, nikt nie zobaczy noża raniącego bok tej dziewczyny. Znowu chybiony strzał. Ucieknie z klubu, potykając się na schodach, zanim ona zacznie krzyczeć.

Otwierają się drzwi. Ledwo trzyma się na nogach. Matka przybiega w szlafroku. Mówi coś. Zlepki słów. Gdzie ty byłeś?! O takiej porze! Miałeś nie wychodzić! Boże święty! Ledwo stoisz. Ignoruje ją i idzie do swojego pokoju. Ona woła coś za nim. Zlepki słów. Dziecko. Mówię do ciebie. Wraca z pokoju i wtula się w matkę. Nie płacze. Ona głaszcze jego włosy i policzki. Sprawdza, czy ciekną po nich łzy. On wtula twarz w zagłębienie jej szyi. Wdycha zapach jej starego ciała. Ściska ją za mocno. Matka odpycha go i ucieka do swojej sypialni. Zamyka się w niej na klucz. Jutro stanie nad nim z nożem kuchennym i zamknie drzwi do jego pokoju od zewnątrz. Da mu karę. Zastosuje środki ostrożności. Tomek wraca do swojego pokoju i siada przy oknie. Zamiera wpatrzony

w ulicę przed kamienicą. Ona tu zaraz przyjedzie. Wypadnie z taksówki na chodnik, z tym idiotą Erykiem. Jest żałosna, okropna. Wyważą drzwi do kamienicy. Wyjdzie z mieszkania i pójdzie za nimi. Eryk ucieknie, a on będzie powoli wchodził za nią po schodach. Ona będzie coś krzyczeć przerażona. Uciekać, walić pięściami do drzwi, za którymi nikogo nie ma. Pójdzie za nią. Przykryje ją kurtką, kiedy straci przytomność. Zostawi wiadomość na oknie i wyjdzie.

Podświadomość produkuje, reprodukuje obrazy potwierdzające słuszność działania.

Pan Albert budzi się ze snu z krzykiem. Widział go. Między drzewami. Ten chłopak miał na głowie czarny kaptur i śmiał się, i widelcem zdzierał sobie skórę z przedramienia. Lola tańczy na ulicy. Protestuje przeciwko zamknięciu klubu techno. Zatrzymuje się jednak, kiedy nagle przypomina sobie tę twarz pod czarnym kapturem. To jednak był ten chłopak. Chudy, nieprzyjemny wymoczek z czarnym wąsem, którego pokazali jej przez weneckie lustro.

Żona Daniela powtarza przez sen słowa rozmowy, którą podsłuchała. Daniel chciał się przed nią ukryć w łazience, ale krzyczał do telefonu, tak głośno, że słyszała każde słowo. Pytał kogoś, jak mógł to zrobić.

Telefony w redakcji dziennika „Rzeczywistość” i na komisariacie dzwonią. Huk siedzi na zimnej ławce w prosektorium i wie, że to szaleństwo, sen, z którego nikt nie może się wybudzić. Podnosi się i wychodzi z prosektorium. Wsiada do radiowozu, ale przyjedzie na miejsce, kiedy będzie już za późno.

53. Ostatnie słowa

Drzwi na klatkę schodową są otwarte. Idę na górę. Pukam do drzwi. Otwiera Amelia.

– Co pani tu robi? – pyta, siląc się na spokój.

– Dzień dobry. Zostawiłam coś ważnego w mieszkaniu Weroniki.

– Dzień dobry… Miała pani wyjechać. Do Berlina…

– Tak, ale wróciłam, bo zostawiłam coś bardzo ważnego. Mogłabym klucz?

– Wróciła pani z Berlina? Nieważne, dobrze, otworzę pani.

– Nie… jeśli nie jest to problem, poprosiłabym o klucz. To coś dużego. Muszę zaczekać na taksówkę.

– Dobrze, niech pani zaczeka – mówi, zamyka drzwi i znika na chwilę w mieszkaniu.

Pewnie zgodzi się na tragiczny w skutkach przebieg sceny, którą odgrywamy. Teraz nie ma wyjścia. Drzwi po chwili otwierają się i podaje mi klucz.

– Dziękuję. To zajmie najwyżej pół godziny.

– Proszę, proszę. Żaden kłopot.

Czekam, aż Amelia zamknie drzwi. Wchodzę do mieszkania Weroniki. Chowam klucz w kieszeni i nie zamykam drzwi wejściowych. Siadam na parapecie. Patrzę na ulicę. Wstaję. Siadam z powrotem na parapecie. Słyszę, że ktoś wchodzi do mieszkania.

– Nie puka pani. Zupełnie jak syn – mówię cicho.

– Przyszłam zapytać, czyby pani nie pomóc, jeśli ciężkie – mówi Amelia nerwowo.

Biorę głęboki oddech.

– Ma pani psa?

– Ja? Nie…

– Wydawało mi się, że widziałam panią w parku.

– Teraz, tak? – mówi i zastanawia się przez chwilę. – Nie uwierzy pani. Pies Weroniki wrócił sam. Znalazłam go wczoraj. Ktoś wpuścił go na klatkę. Ujadał pod drzwiami. Pani miało już nie być w mieście, to pomyślałam, że go przygarnę.

– Ja już wszystko wiem – odpowiadam, chociaż wiem przecież, że mówi prawdę.

Jestem w kawiarni, idę do toalety i liczę na to, że ściany będą umazane krwią, a na podłodze znajdę martwą dziewczynę w błyszczącej sukience. Tej dziewczyny tam nie ma. Ściany są białe i czyste, ale ja widzę plamy krwi. Wiem, że mówi prawdę, ale to nieistotne. Amelia Potoczek siada na kanapie naprzeciwko okna. Obserwuję ją z parapetu.

– Nic pani nie wie… – mówi w końcu, nie patrząc na mnie.

– To, co wiem, policji wystarczy.

– Zwariowała pani… – mówi i kręci głową.

– Tutaj, tak? Może w tej pustej kamienicy. W piwnicy? Na strychu? A może w jej własnym mieszkaniu? Tu ją trzymaliście?

– Ja o niczym nie wiem.

– Kłamie pani – mówię i czuję, że za chwilę pęknie. Wierci się nerwowo, ucieka spojrzeniem, ale nie ma już innego wyjścia.

– Nie wiedziałam. Powiedział mi dopiero, jak zaczęło być z nią źle. On często przesiaduje w tamtej kamienicy naprzeciwko. Nie wiedziałam,

co tam robi. Nie wchodzę tam nigdy. – Amelia tego nie mówi, ale ja to słyszę. Wiem, jak brzmi ton jej głosu. Znam dźwięk każdej sylaby, która może paść z jej ust. Mogę sobie wyobrazić, jak to mówi. Mogę sobie wyobrazić, jak błądzi wzrokiem po mieszkaniu, żeby na mnie nie patrzeć.

– Jak zaczęło być z nią źle… I uznałaś, że lepiej będzie wyrzucić ją do lasu.

– Ja nie chciałam… Dalej nie mogę uwierzyć w to wszystko… Co ja miałam zrobić? Pani jej nie widziała… Co miałam zrobić, zadzwonić po pogotowie, po policję!? Oddać im syna!? Ona przecież była martwa, była martwa, nic by jej nie pomogło. – Zaczyna płakać.

– Nie miałaś prawa… żeby o tym decydować.

– Nie rozumiesz. On nie przeżyje w więzieniu. Zamęczą go. On jest chory… Mogłam go lepiej pilnować. Zamknęłam go. On nie będzie już wychodził. Nic już nikomu nie zrobi.

– To nie jest dziecko – mówię i czuję siłę, władzę swoich słów.

– Nie można go karać. On nie wiedział, co robi. On chciał dla niej dobrze. Kochał ją bardzo. Chciał z niej wypędzić złe duchy. Zrobił się bardzo religijny ostatnio, bardziej niż ja. On nie chciał zrobić niczego złego.

– Wiedział, co robi. Zaplanował to. Miał wspólnika.

– Nie miał. Zrobił to sam – mówi Amelia i przez chwilę nie rozumiem, o co jej chodzi.

– Nie chodzi mi o panią. Ktoś mu pomagał. Ktoś inny ją porwał.

– To on. Zgodziła się pójść z nim na kolację. Wiem, że nalegał. Może coś się wydarzyło wtedy. Ale to musiało być wcześniej w jego głowie. Miał wszystko przygotowane. Uśpił ją w samochodzie i zaniósł tam na górę.

– Weronika rozmawiała z policją w szpitalu…

– Wiem. Skłamała, nie powiedziała o nim, dlaczego? Wiesz, czyj numer podała w szpitalu? Mój! Ta dziewczyna nie miała nikogo.

– Była w szoku. Powiedziała, że „jak się obudzi, to sobie przypomni". Mogła przeżyć. Nie musiała tak umierać. – Wstaję z parapetu. To już koniec. Zaraz będzie koniec.

– Nie pójdziesz na policję… Kilka lat w więzieniu. Mnie też zamkną. Ja jestem już stara. Rozdzielą nas. Nie będę mogła go odwiedzić nawet. Ile ja jeszcze pożyję, kilka lat. W więzieniu, bez syna…

– Weronika nie zostawiła ci tych zdjęć? Tych, które mi dałaś?

– Nie… – przyznaje Amelia i spuszcza wzrok.

– Mogło się udać, było blisko.

– Co ty byś zrobiła na moim miejscu? To przecież mój syn. Zapłacę ci! Bardzo dużo. Oddam ci kamienicę – mówi i zrywa się z kanapy. Podchodzi do mnie. – Oni ci i tak nie uwierzą. Jakie niby masz dowody?

– Nie mam żadnych. Mam psa i wszystko, co powiedziałaś – mówię i Amelia wie, że już przegrała. Wzbiera w niej gniew.

– To idź. Idź już! Ona i tak źle by skończyła! I tak by się doczekała. Na dnie rzeki! A ty będziesz mieć na sumieniu starą kobietę! Po co ci to? – krzyczy i próbuje mnie zatrzymać, kiedy ruszam do wyjścia. – Poczekaj… Porozmawiajmy jeszcze… – jęczy i chwyta moją rękę. Jest słaba.

Łapię ją za ramiona. Szarpie się. Wpycham ją do sypialni Weroniki. Nie walczy długo. Przekręcam klucz w zamku. Wali w drzwi pięściami. Wychodzę na korytarz. Wrzaski Amelii dochodzące z mieszkania Weroniki roznoszą się echem po klatce schodowej. Kręcę się w kółko. Sięgam do torby, próbuję wymacać pistolet. Wywracam torbę i wysypuję jej zawartość na podłogę. Zostawiłam go na blacie w kuchni ojca. Drzwi do mieszkania Potoczków są otwarte. Podchodzę do nich. Nie czuję satysfakcji. Drzwi są otwarte. Idę ciemnym korytarzem. Na końcu jest

salon. Tomek siedzi na kanapie i patrzy w okno. Czeka. Nie wchodzę dalej. Zostaję w bezpiecznej odległości między nim a wyjściem.

– Gdzie jest pies Weroniki? – pytam na tyle głośno, żeby wyrwać go z osłupienia, żeby zauważył, że tu jestem.

– Nie ma psa. Nie ma Weroniki. Nie żyje – odpowiada spokojnie i dalej patrzy w okno.

Nic nie odpowiadam. Boję się wykonać jakikolwiek ruch. Nagle Tomek podrywa się z kanapy i rzuca we mnie stojącym na stoliku koło kanapy pustym wazonem. Pudłuje. Wazon roztrzaskuje się o ścianę, a ja rzucam się do wyjścia. Dopada mnie przed samymi drzwiami. Ciska mną o podłogę.

– Jesteś głupia, jak ona. Wszystkie jesteście głupimi szmatami. Po co tu przyszłaś? Co?! Po co tu przylazłaś!? – krzyczy, kiedy leżę pod ścianą.

Miota się nerwowo, odwraca się na chwilę i to jest jego błąd. Wyrywam ciężką podłogową lampę z kontaktu i uderzam go nią. Celuję w głowę, ale trafiam w plecy. Wyrywa mi ją. Znowu upadam na podłogę, a on siada na mnie okrakiem i zaciska dłonie na mojej szyi. Tracę oddech. Schodzi ze mnie, opuszcza spodnie i próbuję zedrzeć spodnie ze mnie. Mały, napęczniały fiut. Kopię go w twarz. Słyszę chrupnięcie, chyba łamię mu nos. To nie jest naprawdę.

Naprawdę siedzi przy stole w drugim pokoju i zażywa śmiertelną dawkę kodeiny i mefedronu.

Tutaj jednak przyciska dłoń do nosa, próbując powstrzymać krwawienie. Podnoszę się, wpadam do kuchni. Na blacie leży długi nóż do dzielenia mięsa. Nie zastanawiam się, wracam i wbijam nóż w jego pierś. Patrzy mi w oczy. Nie wierzy. Wbijam nóż jeszcze cztery razy. W pierś, w brzuch, w szyję, na oślep. Klękam przed nim na podłodze. Osuwa się na mnie. Odrzucam jego ciało i siadam z podkulonymi

nogami pod ścianą. Słyszę krzyki Amelii i walenie pięściami w zamknięte drzwi sypialni. Patrzę, jak Tomek skrobie palcami o parkiet. Liczę sekundy. Ręka przestaje się poruszać. Ciało przestaje drżeć.

***

Przyjeżdża młody aspirant z ładowarką pasującą do modelu kamery, którą Feliks Pogorzelski znalazł na regale. Prokurator siedzi na kanapie i patrzy na martwe ciało dziewczyny oparte o ścianę. Głowa opadła na bok. Jej łysa czaszka jest blada. Dlaczego młode dziewczyny teraz tak się oszpecają, co to za głupia moda? Policjant podaje Pogorzelskiemu kamerę. Ostatnie zarejestrowane nagranie. Twarz tej dziewczyny kilka milimetrów od obiektywu. Zbliżenie na ręce ustawiające kamerę na półce regału. Jej postać się oddala. Siada pod ścianą. W tym samym miejscu, w którym dziś rano znalazła ją dwójka policjantów. Dziewczyna przez chwilę patrzy bezmyślnie w obiektyw i zaczyna mówić.

– Od dawna rozmawiamy o tym, że może lepiej byłoby po prostu tak, niby przez przypadek, wpaść pod samochód, żeby rodzice mniej cierpieli. To byłoby fair, pomyśleliby, że to był wypadek. Ale oni i tak cierpią, bo jesteśmy tacy. My się chyba urodziliśmy z jakimś uszkodzeniem, bez ciężaru, który pozwala złapać równowagę i iść przed siebie, nie upadając co kilka kroków. To racjonalne wyjście. Nie robimy tego z rozpaczy, nie. Tylko dlatego, że nie ma innej możliwości. Szukamy winnych, tych, którzy nas zniszczyli, ale nie znajdziemy ich. Sami jesteśmy sobie winni, uwierzyliśmy nie tym, którym trzeba było wierzyć, i to był tylko nasz błąd. Tomek siedzi teraz w drugim pokoju, nie musicie nawet robić sekcji. Wszystko wam powiem. Zażywa śmiertelną dawkę mefedronu i kodeiny. Narkotyki dla biedaków. On tak chciał to zrobić, a ja chcę, żeby lała się krew. Może za tydzień by nam przeszło. Zawsze

przecież przechodziło. I zawsze wracało. Nie mogę patrzeć na siebie, na mojego ojca, na Tomka, na jego matkę. Ty idziesz ulicą i nie widzisz nic. Gdybyś widział to wszystko, całe to gówno, zrobiłbyś to samo. W internecie oglądasz trupy, a one leżą tu, na chodniku przed twoim domem. Nie chcę, żebyś mi pomagał. Nie chcę. Każdy powinien się sam sobą zająć, sam sobie pomóc. Dlatego ja siedzę tu, a Tomek tam, w kuchni. Mogę jeszcze wstać i nas uratować, ale to nie będzie w porządku.

Pogorzelski chciałby krzyknąć. Chciałby ją zatrzymać, ale to tylko nagranie. Dziewczyna podnosi długi kuchenny nóż. Najpierw cięcie wzdłuż ramion, potem podciąga bluzkę i nacina brzuch. Wygląda, jakby nie czuła bólu. Pewnie jest naćpana. Zamyka oczy. Pogorzelski ogląda dalej. Czeka, bo może ktoś zjawi się w obrębie kadru, choćby ten chłopak, który zażywa śmiertelną dawkę narkotyków w kuchni. Ale nie dzieje się nic. Ona umiera powoli i patrzy w kamerę. Pogorzelski wyłącza nagranie. Tak jak myślał, sprawa jest zamknięta. Wychodzi z mieszkania. Idzie do kawiarni na dole kupić podwójne espresso z mlekiem i wsiada do czarnego volvo.

54. Kostnica

Siedzi bez ruchu na długiej drewnianej ławce w poczekalni. Jego stopy stykają się piętami, a zaplecione dłonie zwisają między udami. Spędził w tej pozycji już kilkadziesiąt minut. Próbuje nie osunąć się na zabłoconą posadzkę. Musi wkładać w to całą siłę mięśni. Żyła na czole pulsuje. Krople potu spływają po skroniach, ociera je wierzchem dłoni. Ciało ciągnie go w dół, prostuje sztywno plecy i wbija wzrok w białą ścianę. Przed przyjściem do szpitalnej kostnicy wypił pół butelki wiśniówki.

To już było. To powtarza się ciągle.

Otwierają się drzwi i korytarzem zbliża się w jego stronę elegancki, dojrzały, ale przecież jeszcze młody mężczyzna. Wyciąga rękę w jego stronę.

– Feliks Pogorzelski, prokurator – przedstawia się.

– Remigiusz Huk – odpowiada, niezręcznie wstając z ławki.

Pogorzelski prowadzi go do pomieszczenia, które wygląda dokładnie tak, jak sobie wyobrażał. Może tu wszystko wygląda dokładnie tak, jak sobie to wyobrażasz. Marianna leży na stole, jest po pachy przykryta białą tkaniną. Jest po prostu martwa. Pogorzelski wzdycha i wyprowadza go na korytarz. Woła pielęgniarkę, tę samą, która wcześniej przeszła obok Huka, w ogóle go nie zauważając. Teraz musi podać mu mokry ręcznik, pomóc mu otrzeć wymiociny z ust. Kiedy pielęgniarka odchodzi, Pogorzelski siada obok starszego mężczyzny na niewygodnej ławce.

– Tak, to moja córka. Marianna. Co się stało? – cicho pyta Huk.

– Popełniła samobójstwo – odpowiada Pogorzelski. Pierwszy raz nie przychodzi mu to tak łatwo. Nie dlatego, że żałuje dziewczyny, ale dlatego, że nie umie połączyć wszystkich fragmentów obrazu w całość. Nie wie, jak to nazwać. Brakuje tu czegoś, co pozostaje zakryte, a siedzący obok ojciec dziewczyny oczekuje od niego, że jeszcze coś mu powie.

– Sąsiad wezwał policję. To właściwie dziwne, bo zrobił to z powodu snu. Znaleźli ją nad ranem w mieszkaniu należącym do matki jej chłopaka, Tomasza Potoczka. Pani Amelia Potoczek już zidentyfikowała syna. To właściwie tyle.

– Czy zostawiła jakiś list? – pyta Huk.

Pogorzelski zastanawia się nad odpowiedzią, ale trwa to na tyle krótko, że nie wzbudza w Huku żadnych podejrzeń.

– Nie, nie zostawiła. Co robiła pana córka? – pyta nagle Pogorzelski.

– Kręciła filmy, ale ostatnio nie szło jej najlepiej, chyba. Nie wiem, nie rozmawialiśmy za wiele – odpowiada Huk i wyjmuje piersiówkę. Pociąga duży łyk.

Pogorzelski przygląda mu się uważnie. Przypomina sobie słowa dziewczyny z nagrania.

– Dobrze. Jest pan już wolny. W sali dwadzieścia dwa szczegóły wydania ciała w celach pochówku – mówi chłodno i podaje rękę starszemu mężczyźnie. Dochodzenie przyczyn samobójstwa nie należy do obowiązków prokuratora.

55. Ja

Siedzę pod ścianą. Do salonu wchodzi pies Weroniki. Jest przestraszony. Podchodzi do mnie niepewnie. Przytulam go. Plamię jego białą sierść krwią. Podnoszę się i podchodzę do wyjścia. Nie patrzę na zakrwawione ciało na podłodze. Widzę kluczyki do samochodu na komodzie w korytarzu. Na klatce schodowej panuje cisza. Amelia nie dobija się do drzwi sypialni. Może w ogóle jej tam nie ma? Wychodzę z kamienicy. Pies idzie za mną. Chodnikiem z naprzeciwka nadchodzi młoda kobieta z dzieckiem. Widzi moje zakrwawione ubranie, przyśpiesza kroku i przechodzi na drugą stronę ulicy. Widzę, jak wyciąga telefon. Szukam samochodu. Migają światła w starej skodzie. Wpuszczam psa do środka i odjeżdżam. Musi być jakieś wyjście. Musi być jakaś alternatywa. Nie widzę jej, ale ona gdzieś musi być, jakiś inny świat, inny sposób. Krew wycieka ze mnie powoli. Kapie na podłogę w samochodzie. Jadę pustą drogą za miastem. Po prawej stronie rozciąga się las. Ziemię pokrywa cienka warstwa śniegu. Mówię do psa:

– Wiesz co. Mam już dość tego wszystkiego. Palę dwie paczki papierosów dziennie. Kiedyś paliłam dwie sztuki, rano i wieczorem, i było spoko. Ostatnio spaliłam trzy paczki, bo wstałam o ósmej i poszłam spać chyba koło piątej rano. Wyjedziemy na wieś. Zbuduję sobie na jakiejś łące taki mały drewniany domek. Taki, wiesz, kuchnia na dole połączona z pokojem, malutka sypialnia na antresoli. Założę takie gospodarstwo agroturystyczne. Będę mieć kozy i będę robić ser z ich mleka. Zasadzę sobie ziemniaki, marchewki, pietruszkę. Zrobię

szklarnię, żeby hodować pomidory i cukinie. Będę robić powidła z jabłek z sadu i konfitury z wiśni. Może znowu orzechy zaczną owocować, to będę sobie robić nalewkę z orzechów. Czasem będę coś pisać, jakieś teksty opisów mebli dla sklepów internetowych, żeby zapłacić za prąd. Może nawet zostanę pisarką i napiszę jakąś powieść, kryminał albo romans. To jest chyba proste. Będę mieć też kury. Zabiję sobie czasem jakąś na obiad. Potem kupię krowy i króliki. Królika też czasem zabiję na obiad. Będę hodować zioła w doniczkach. Wieczorem obejrzę film w telewizji. Posiedzę jeszcze na swojej drewnianej werandzie, poczytam książkę i pójdę spać.

Przecież tak też można żyć. Krew wycieka ze mnie, spływa po brzuchu, po udach, na podłogę. Spocone palce ślizgają się po kierownicy. Pies nie wie, o czym myślę. Niczego się nie spodziewa. Chcę umrzeć jeszcze raz. Chcę dodać gazu. Rozpędzić samochód do maksymalnej prędkości i gwałtownie skręcić. Po prawej stronie rozciąga się świerkowy las. Samochód uderzy w gruby pień i ja na pewno tego nie przeżyję. Muszę się opanować. Wiem, że to tylko chwilowa huśtawka. Tak wszyscy mówią. Chwilowa huśtawka. Jutro będę pracować. Nie upiję się znowu. Nie wypalę trzech paczek papierosów. Nie pójdę się naćpać w klubie techno. Zjem zdrowe śniadanie i będę pracować. Lepiej nie nadawać obrazom znaczeń. Jest ich za dużo. Za dużo. Za dużo. Nie mieszczą się w głowie. Potrzebujemy czegoś mocniejszego. Pamiętamy tylko sny o ogniu, o huku wystrzałów, o krwi tryskającej z ziemi, o dłoniach wypruwających wnętrzności z kasjera w banku, o gwałtach, o odciętych dłoniach, o zalegających w supermarkecie zwłokach, o płonących domach, o walących się wieżowcach, o wybuchach gazu w mieszkaniach komunalnych, o rozpryskujących się szybach sklepowych witryn, o kwaśnym deszczu wypalającym oczy, o waleniu głową twojego dilera

o krawężnik, o podrzynaniu gardła matce, o kłach psów rozszarpujących ciało ojca, o dźganiu nożem kochanka w spazmie orgazmu, o połykaniu kruszonego szkła.

Podglądanie służącej przez dziurkę od klucza na nikim nie robi już wrażenia, ale to nieprawda, że jesteśmy obojętni. Zostaliśmy zaprogramowani tak, że źrenica zwęża się na widok obrazu, który w pierwotnych okolicznościach by ją rozszerzył, uruchamiając mechanizm ucieczki. A ona się zwęża, bo to obraz na ekranie, czyli nie istnieje, ale wysyła bodźce. Organizm wyrabia sobie odporność na każdy narkotyk. Możesz udawać, że tego wszystkiego nie ma. Możesz nie wchodzić na te strony w internecie, gdzie to wszystko pokazują. Wyrzucić telewizor, nie czytać gazet. Ale te obrazy już są w tobie. Jak te małe rybki z amazońskich rzek, które zżerają ciało od środka.

Mam trzy lata i oglądam z babcią film o Auschwitz. Nic nie rozumiem, a ona nie chce mi nic powiedzieć, ale nie wyłącza telewizora. Widzę tylko wychudzone martwe ciała na stosie. Mówią, że Niemcy topili dzieci w beczkach. Siedzę potem przy oknie w kuchni i boję się, że od strony parku przyjdą Niemcy i utopią mnie w beczce, tak jak tamte dzieci. Mam pięć lat i oglądam relację z ataku na WTC. Widzę walące się wieżowce, tumany pyłu i uciekających ludzi, kartki papieru wirują w powietrzu. Wiem, że dzieje się coś złego, ale nikt nie chce mi wytłumaczyć co. Mam osiem lat i oglądam film pornograficzny. Mam piętnaście lat, otwieram gazetę. Artykuł o niskich rentach. Zdjęcie staruszki, która zza szyby ogląda pączki w cukierni.

Trzeba więc zamknąć oczy, odliczyć do dziesięciu, otworzyć je i już nie widzieć nic. Uchylam szybę. Chcę zapalić papierosa. Otwieram schowek i szukam zapalniczki. Nie znajduję jej. Nie ma żadnej pieprzonej zapalniczki. Tylko jakieś śmieci, papiery sprzed kilku lat:

paragony z wypożyczalni wideo, z kasyna, z klubu dla gejów, z lewicowej spółdzielni. Dwójka dzieci na przystanku tramwajowym. Dziewczynka i chłopiec. Chłopiec trzyma w obu dłoniach telefon. Mówi: „Powiedz, jak smakowały ci lody kawowe?". Dziewczynka tylko krzywi się i wystawia język. Chłopiec znowu pyta o to samo. Ona wykrzywia twarz i prycha. Chłopiec powtarza pytanie, tym samym cienkim głosikiem.

Kładziesz się na zimnej podłodze koło lodówki. Odcinasz sobie palec i zjadasz go. Matka wchodzi do kuchni i pyta. Nie odpowiadasz. Na to pytanie nie ma odpowiedzi. Pytanie brzmi: „Co ja tutaj robię?".

Patrzysz na swoje nagie ciało w lustrze. Nieważne, jak ono wygląda, nienawidzisz go. Masz to zaprogramowane. Włączasz internet. Galeria. Zobacz zdjęcia. Film pornograficzny.

Podłoga w klubie klei się od rozlanego piwa.

Zakrwawiony, zepsuty ząb leżący na srebrnej tacce.

Obesrany kibel na dworcu kolejowym. Cała ściana umazana gównem. Trochę zazdrościsz psychopacie, który to zrobił. Idziesz do toalety w galerii handlowej. Srasz na ziemię i otwartą dłoń zanurzasz w swoim gównie. Przeciągasz nią po białych kafelkach na ścianie. Nie, nie robisz tego. Tylko myślisz o tym. Twój histeryczny sobowtór biegający nago po mieście zrobi wszystkie obrzydliwe rzeczy za ciebie.

I jest jeszcze lęk. Wolno płynący lęk. Lęk ściskający krtań o szóstej rano. Napad wprawiający ciało w konwulsyjne drżenie. Gonitwa myśli płynących we wszystkich kierunkach. Lęk o przyszłość i strach przed przeszłością, której nigdy nie uda ci się przepracować, która w końcu przygniecie cię całym ciężarem nieukładających się w żadną całość obrazów i strzępków słów. Ojciec, który mówi, że tylko głupi się nie boi. Matka, która przytakuje mu bezmyślnie.

Wracasz nad ranem do domu. Idzie za tobą pijany menel. Przyśpieszasz kroku, choć on wcale cię nie goni. Pocą ci się dłonie. Nie możesz trafić kluczem do zamka. W końcu wchodzisz do klatki schodowej i przystawiasz głowę do oszklonych drzwi. Zaraz rozbije je butelka z benzyną. Czekasz jeszcze kilka minut. Żul przechodzi obok, mówi coś do siebie. Do siebie, nie do ciebie. Znowu ci się udało, ale to już ostatni raz. Następnym razem na pewno zginiesz. Tramwaj nie zatrzyma się w porę, trafi cię w plecy jakiś zabłąkany nóż, głowę rozbije ci kamień toczący się powoli z dachu, pięść niewymierzona w ciebie uderzy cię w brzuch, mechanizm blokujący ciężkie metalowe drzwi nie zadziała i zgniotą cię, wściekły pies zerwie się z łańcucha, ktoś w końcu zauważy twój kompletny brak kompetencji, to, że przy każdej czynności drżą ci ręce, że walczysz z łamiącym się głosem, ukradkiem ocierasz pot z czoła, i wylecisz z tej pracy, i nikt cię już nie zatrudni, i oszczędności się skończą, i umrzesz z głodu.

Przyśpieszam, tylko dlatego, że pies musi szybko trafić do weterynarza. Jest chory. Wymiotował całą noc i nie chce pić. Dzwoni Łukasz Sosnowski.

– Dziś o trzeciej spotkanie w Planie. Przynieś scenariusz. Wszystko w porządku?

– Tak. Tylko trochę boli mnie głowa. Jadę z psem do weterynarza – odpowiadam i rozłączam się, zanim powie coś jeszcze.

Wystarczy przyśpieszyć i skręcić gwałtownie kierownicę w prawo. Zerkam w lusterko. Nikt za mną nie jedzie. Nie będzie żadnych ofiar. Oprócz mnie i pewnie psa, ale ostatecznie to tylko pies. To się nie może tak skończyć. I co, po prostu kolejny dzień. Tak? Dzwoni Tomek.

– Zrobiłem obiad. Kiedy wracasz?

– Zrobiłeś obiad?

– Tak. Obiad. Mam dziś dobry dzień. Czuję się kompletnie spokojny. Wstałem, zaraz jak wyszłaś rano. Umyłem się. Posprzątałem w kuchni. Nawet w ogóle dziś nie brałem nic. Tylko spaliłem jointa. Zrobiłem zajebisty obiad. Placki z cukinii i zrobiłem do tego sos, taki wiesz, czosnek, jogurt, ogórki, koperek. Pyszny. Nie jedliśmy normalnego obiadu chyba od miesiąca – mówi, a ja słucham go w skupieniu. Zdejmuję nogę z gazu.

– Dobra, wrócę za godzinę – mówię i w tym momencie docieram na miejsce.

Wychodzę z samochodu i otwieram drzwi z tyłu. Pies jest bardzo słaby. Z trudem podnosi przednią łapę i próbuje wstać z wyścielonej kocem podłogi za siedzeniem kierowcy. Biorę go na ręce. Jest ciepły i tak samo ciężki jak zawsze, to dobrze, nie stracił bardzo na wadzę. Stopą zatrzaskuję drzwiczki samochodu. Dzień jest dzisiaj pogodny, nie pada śnieg, tylko zimny wiatr wieje nam w oczy, kiedy niosę go do gabinetu. Luks nie lubi wiatru, mruży powieki i wtula łeb w klapę mojego kożucha.

Korporacja Ha!art – Seria prozatorska